

nr 7
wiosna 1995

Rok III
ISSN 1231-5451

SCRIPTORES SCHOLARUM

Kwartalnik
uczniów i nauczycieli szkół lubelskich
oraz ich Przyjaciół

Lublin

SCRIPTORES SCHOLARUM

Kwartalnik
uczniów i nauczycieli szkół lubelskich
oraz ich Przyjaciół

Pismo powstało w środowisku Prywatnego Katolickiego Liceum Ogólnokształcącego
im. ks. Kazimierza Gostyńskiego.

Redakcja: Sławomir Żurek – redaktor naczelny, opiekun działu literackiego;
Grzegorz Żuk – zastępca redaktora naczelnego, opiekun działu kulturalnego;
Łukasz Garbał – sekretarz redakcji, kierownik działu literackiego; Paweł Ziemia –
kierownik działu filozoficznego; Jacek Wojtysiak – opiekun działu filozoficznego;
Przemysław Więczkowski – kierownik działu filologii obcych; Marek Skiba – opiekun
działu filologii obcych; dział kulturalny: Stanisław Żebrowski – kierownik;
Mateusz Kokoszka, Gerard Staniecki; Marcin Knap – kierownik działu historycznego;
Michał Bobrzyński – opiekun działu historycznego; Adrian Lesiakowski –
kierownik działu artystycznego; dział edukacyjny: Joanna Małarczyk – kierownik;
Danuta Kurczab – opiekun; Katarzyna Grzybowska.

Redaktorzy prowadzący: Łukasz Garbał, Sławomir Żurek.

Projekt okładki: Adrian Lesiakowski. **Ilustracje:** Dominika Kaczmarek.

Adres redakcji: Prywatne Katolickie Liceum Ogólnokształcące im. ks. K. Gostyńskiego
Droga Męczenników Majdanka 27, 20-325 LUBLIN, tel.(0-81) 415-09

Adres wydawcy: Teatr NN – Stowarzyszenie „Brama Grodzka”,
ul. Grodzka 34, 20-112 Lublin, tel./fax (0-81) 258-67

Kwartalnik „*Scriptores Scholarum*” może być wykorzystywany jako materiał
pomocniczy w nauczaniu szkolnym. Kuratorium Oświaty w Lublinie.

© Copyright by Teatr NN

ISSN 1231-5451

Pismo ukazało się dzięki pomocy następujących instytucji i firm: • Radio Lublin S.A. •
• Bank Depozytowo-Kredytowy S.A. • Bank Polska Kasa Opieki S.A. • Spółka Akcyjna
„Ruch” • Hurtownia KTS • Wydawnictwo „Norbertinum” • **DZIĘKUJEMY!**

Numer zamknięto w marcu 1995. Oddano do druku w maju 1995.

Skład i łamanie: „SHIFT” Studio Komputerowe s.c., Lublin

Druk: Drukarnia NORBERTINUM. Nakład 1000 egz.

Spis treści

Słowo wstępne	7
Pan Cogito czyta gazetę	9
Program Międzyszkolnych Warsztatów Dziennikarskich	10
<u>rozmowy o mass mediach i społeczności lokalnej</u>	
• <i>rozmowa akademicka</i> „Służyć prawdzie” – rozmowa z ks. prof. Leonem Dyczewskim	13
• <i>rozmowa warsztatowa</i> Agnieszka Kłoskowska, Julita Agnieszka Rybczyńska Środki przekazu w społeczności lokalnej – podsumowanie dyskusji ...	20
<u>kwartalnik w Małej Ojczyźnie</u>	
„Istotą manipulacji jest kłamstwo” – rozmowa z Wojciechem Chudym, zastępcą redaktora naczelnego kwartalnika „Ethos”	28
„Akcent” naprawdę – „Akcent” na prawdę. Spotkanie Redakcji „Akcentu” z Redakcją „Scriptores Scholarum”	36
Łukasz Garbał Jedność literatury i sztuki	40
Grzegorz Filip „Kresy” w szkole	45
„Kresy” inteligentów. Spotkanie Redakcji „Kresów” z Redakcją „Scriptores Scholarum”	48
Arkadiusz Bałajewski Esej jako forma wypowiedzi krytycznej	59
Grzegorz Żuk Marzenia Polaków	62
Sławomir Żurek „Scriptores Scholarum” czyli piąte koło u wozu	65
• <i>o prasie młodzieżowej</i> Antonina Gutowska Prasa młodzieżowa a wychowanie	69

prezentacje – Pliszczyn '95

Katarzyna Grzybowska	
Wiecej, ale za mało	81
Agnieszka Monika Mazur	
Porwanie Mistrza	83
Katarzyna Wilczyńska	
Ręce bez kompleksów	85
Łukasz Garbał	
Mosad	87
Łukasz Downar-Zapolski	
Piramida i słup	91
Agata Jarzmik	
Wyjął i straszą	93

gazeta codzienna w Małej Ojczyźnie

Stanisław Żebrowski	
Notatki z wykładu Franciszka Piątkowskiego o reportażu	98
Tomasz Gap	
Trzyście pytań do Jerzego Mościbrodzkiego	101
Al. Leszek Gzella	
Z historii „Dziennika”	103
Paweł Ziemia	
O warsztatach dziennikarskich i spotkaniu z Al. Leszkiem Gzellą słów kilka... ..	105
Magdalena Łodygowska	
O prasie amerykańskiej	108
Katarzyna Wilczyńska	
Moja przygoda z „Gazetą w Lublinie”	110
„Dziennikarstwo to przede wszystkim rzemiosło” – konferencja prasowa redaktora naczelnego „Gazety w Lublinie”, Wacława Białego	113
Grzegorz Józefczuk	
Kilka uwag o specyfice pracy w gazecie codziennej	118
• <i>absolutnie wszystko – recenzja</i>	
Michał Luszczuk	121
• <i>absolutnie wszystko – impresja</i>	
Katarzyna Kus	122
• <i>absolutnie wszystko – promocja</i>	
Agnieszka Kantor	123

dźwięk i obraz w Małej Ojczyźnie

„Największy teatr świata...” – rozmowa z Januszem Winiarskim, redaktorem naczelnym Radia Lublin	127
Zabawa w radio – rozmowa z Anną Kaczkowską, dziennikarką Radia Lublin	131
Sylwester Strzałkowski O informacjach kilka informacji	135
Piotr B. Nowak Katolickie Radio Lublin w pierwszą rocznicę działalności	139
Marcin Rozwałka Telewizja regionalna	142
• <i>być dziennikarzem</i>	
Violetta Krasnowska Być dziennikarzem. Ale – po co?	144
Irmína Łucja Kruszona O prawie prasowym – relacja ze spotkania z Violetą Krasnowską ...	147
Gazeta Polityczna – rozmowa ze Stanisławem Michalkiewiczem ...	149

wydawnictwo w Małej Ojczyźnie

Mateusz Kokoszka Wydawnictwo – szansa dla aktywnych i twórczych	153
---	-----

edukacja

Jacek Wojtysiak Józef M. Bocheński, czyli finezja rozumu	159
Teresa Kosyra-Cieślak Program autorski klasy twórczej dziennikarsko-regionalnej	162
Ewelina Piętka Mała integracja	167
Urszula Korona Szkola to nie mercedes...	171
Ewa Grela Może Wenus załagodzi mój jałowy smutek, czyli o sztuce uczenia się	175
Living in Australia – Education and Culture. Łukasz Michalkiewicz is speaking about schools in Australia	178

judaica

Katarzyna Grzybowska Sabataj Cwi – Mesjasz Żydowski?	183
Joanna Malarczyk Śmierć w wierzeniach i obyczajowości Żydów	188
Sławomir Żurek „AJIN” znaczy „NICOŚĆ”	200

przekłady i wiersze

Thomas Stearns Eliot

Portret kobiety	207
Kuzynka Nancy	210

Viktor Hugo

Kontemplacje	211
--------------------	-----

Marta Jędrzejko

Pomyłka	212
*** (mówił masz oczy pełne snu)	212
Tapczan	213
Nie bój się	213
Słów szukam	213
*** (przez chwilę stała na palcach przed lustrem)	214
*** (ciągle czekam)	214

Andrzej Włodarczyk

Listy	215
-------------	-----

Marta Kuszewska

Spirala	216
*** (nocne miasto)	216
Wabienie	216
Ogłoszenie	217

Marcin Pawłowski

*** (Sen, ciemność, nocne koszmary)	218
*** (Jestem człowiekiem dwulicowym)	218
*** (w pół czwartej godziny)	219

Wojciech Marczewski

Ja anioł	220
Dwie i pół nogi słonia	220

recenzje

Inwokacja	222
-----------------	-----

• impresje teatralne

Joanna Kowalczyk

Jasność	223
---------------	-----

Marta Cieślak

Ciemność	225
----------------	-----

• recenzja muzyczna

Anna Pietrasiewicz

Chcą nagrywać	227
---------------------	-----

listy	229
-------------	-----

informacje o autorach	233
-----------------------------	-----

aktualności	236
-------------------	-----

Słowo wstępne

Oto leży przed Państwem siódmy zeszyt „Scriptores Scholarum”, który w większości złożony jest z materiałów przygotowanych przez uczestników Międzyszkolnych Warsztatów Dziennikarskich „Środki społecznego przekazu w Małej Ojczyźnie”.

Mass media, termin angielski, oznaczający „masowe środki przekazu”, wskazuje na ich powszechność i obiektywność, wychodzącą z założenia, że prawda tkwi zawsze pośrodku sądów. Czy jednak środki przekazu powinny być masowe, tak jak sugeruje nazwa, czy też społeczne? Tłum zwykły tłumić obiektywność na rzecz demagogii, informacje podawane z myślą o masie szybko przestają być prawdziwe, wyrodnieją, obrastają w komentarze i mity. Społeczeństwo zaś jest ideą praktyczną, ponieważ jego istotą jest relacja człowieka do człowieka konkretnego, a zatem termin „społeczny” zdaje się w tym znaczeniu być tożsamy z pojęciem „personalny”, w sensie realności istnienia jednostki.

Mała Ojczyzna to przestrzeń ograniczona horyzontem, osadzona w konkretnym czasie historycznym, wypełniona działaniami i problemami żyjących w niej ludzi. Naszą Małą Ojczyzną jest Lublin i Region związany z tym miastem. W sensie duchowym Mała Ojczyzna to ci, którzy swoją aktywnością kulturotwórczą tworzą jej obraz oraz byty, które powstają na skutek tej działalności.

Zeszyt siódmy poświęciliśmy środkom społecznego przekazu w Małej Ojczyźnie. W pliszczyńskich warsztatach dziennikarskich brali udział twórcy lubelskich kwartalników, dziennikarze prasy codziennej, pracownicy radia i telewizji, właściciele lubelskich wydawnictw oraz uczniowie i nauczyciele szkół lubelskich.

Prezentujemy więc pięć lubelskich kwartalników, w tym również historię naszego pisma, które powoli odnajduje swoje miejsce na mapie kulturowej Małej Ojczyzny. Gazety codzienne („Dziennik”, „Kurier Lubelski” i „Gazeta w Lublinie”) reprezentowane są w osobach redaktorów naczelnych lub najlepszych dziennikarzy, których wskazała młodzież organizująca spotkania. W numerze umieszczamy również rozmowy z pracownikami Radia Lublin. O pracy wydawnictwa prywatnego mówią właściciele Kerygmy i Norbertinum.

Niewątpliwym sukcesem organizatorów spotkania w Pliszczynie było zgromadzenie w jednym miejscu, w ciągu czterech dni, ludzi tak bardzo różnych, o tak odmiennym sposobie widzenia roli mass mediów w społeczności lokalnej. Spotkanie dziennikarskie miało charakter warsztatowy, interesowały nas różne formy wypowiedzi publicystycznej, stąd obecność w kwartalniku tekstów poświęconych sztuce pisania: esej, reportażu, wywiadu, noty informacyjnej.

Tradycyjnie zeszyt rozpoczynamy od rozmowy z autorytetem uniwersyteckim, którym w obszarze dziennikarstwa jest dla nas ks. prof. Leon Dyczewski z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Pokażną częśćkę zeszytu zajmują judaica, czyli szkice poświęcone tematyce żydowskiej, tak ważnej dla historii i kultury naszej Małej Ojczyzy, którą do czasów drugiej wojny światowej tworzyły wspólnie różne narody i religie. Judaica są też sygnałem planowanego przez nas jesienno-zimowego zeszytu „Scriptores Scholarum”, który to chcemy poświęcić Lublinowi, jako miejscu spotkania kultur. Ważnym miejscem w tym spotkaniu jest dla nas lubelskie Stare Miasto, a szczególnie Brama Grodzka, siedziba naszego wydawcy – Teatru NN.

Wracamy również na łamach „Scriptores Scholarum” do problematyki szkolnej. Publikujemy więc teksty, które powstały jako głosy w dyskusji po wydaniu poprzedniego zeszytu „Scriptores Scholarum”.

Mamy również nadzieję, że spodoba się Państwu koncepcja plastyczna zeszytu, na którą składają się rysunki i exlibrisy Dominiki Kaczmarek.

Zeszyt dziennikarski jest zeszytem monograficznym, obiektem zainteresowania jest w nim „SŁOWO”. Opisujemy świat słowem, obserwujemy słowo, próbujemy układać słowa w logiczną całość, wadzimy się ze słowem. Dokonujemy więc zabiegu ryzykownego, ale również podstawowego dla egzystencji ludzkiej, wszak przecież „na początku było SŁOWO...”. I pozostaje nam tylko przekonanie, że sprostaliśmy wyzwaniu i że czynimy to, jako pismo dobrze!

Redaktorzy Prowadzący z Zespołem.

„Prasa (...) jest to najostrzejsza i najpotężniejsza broń naszej partii.”

Józef Stalin

Pan Cogito czyta gazetę

Na pierwszej stronie
meldunki o zabiciu 120 żołnierzy

wojna trwała długo
można się przyzwyczaić

tuż obok doniesienie
o sensacyjnej zbrodni
z portretem mordercy

oko Pana Cogito
przesuwa się obojętnie
po żołnierskiej hekatombie
aby zagłębić się z lubością
w opis codziennej makabry

trzydziestoletni robotnik rolny
pod wpływem nerwowej depresji
zabił swą żonę
i dwoje małych dzieci

podano dokładnie
przebieg morderstwa
położenie ciał
i inne szczegóły

120 poległych
daremnie szukać na mapie
zbyt wielka odległość
pokrywa ich jak dżungla

nie przemawiają do wyobraźni
jest ich za dużo
cyfra zero na końcu
przemienia ich w abstrakcję

temat do rozmyślania:
arytmetyka współczucia

Zbigniew Herbert, *Pan Cogito*

Międzyszkolne Warsztaty Dziennikarskie
„Środki społecznego przekazu w Małej Ojczyźnie”
Pliszczyn 21–24.02.1995 r.

Program

21.02. (wtorek)

- 10.30 – spotkanie organizacyjne, prezentacja uczestników, przedstawienie programu i metod pracy, podział na zespoły zadaniowe
- 11.30 – „Środki przekazu w społeczności lokalnej”, Agnieszka Kłoskowska i Agnieszka Rybczyńska
- 13.00 – spotkanie z Jackiem Gallantem, dziennikarzem, wiceprezydentem Lublina
- 15.30 – „Prawo prasowe”, Violetta Krasnowska
- 16.30 – „Sztuka informacji”, Sylwester Strzałkowski
- 18.30 – „Gazeta codzienna w regionie”, Alojzy Leszek Gzella
- 19.30 – „Redagowanie kwartalnika”, Waldemar Michalski
- 20.30 – praca w zespołach zadaniowych

22.02. (środa)

- 9.00 – „Lęki i rozterki recenzenta”, Mirosław Haponiuk
- 10.15 – „Specyfika i organizacja pracy w regionalnej gazecie codziennej”, Grzegorz Józefczuk
- 11.30 – „Esej jako forma wypowiedzi krytycznej”, Arkadiusz Bałajewski
- 12.30 – „Czy potrzebna jest telewizja lokalna?”, Jacek Dąbała
- 15.00 – prezentacje prac uczestników warsztatów
- 16.30 – „Reportaż”, Franciszek Piątkowski
- 19.30 – „Wywiad – sztuka łatwa czy trudna?”, Jerzy Mościbrodzki

23.02. (czwartek)

- 9.00 – „Dziennikarz – zawód odpowiedzialny”, konferencja prasowa Wacława Białego
- 10.30 – „Specyfika reportażu radiowego”, Anna Kaczkowska
- 12.30 – „Mass media lokalne w Stanach Zjednoczonych”, Ewa Dziadosz
- 15.30 – „Praca redaktora technicznego w gazecie codziennej”, Teresa Dras
- 19.00 – „Wydawnictwo – szansa dla aktywnych i twórczych”, Norbert Wojciechowski i Jerzy Bojarski
- 20.30 – spotkanie uczestników warsztatów dziennikarskich

24.02. (piątek)

- 9.00 – poranek z redakcją kwartalnika „Scriptores Scholarum”
- 11.00 – zakończenie warsztatów i wyjazd



**rozmowy o mass mediach
i społeczności lokalnej**

„Służyć prawdzie”

Rozmowa z księdzem profesorem Leonem Dyczewskim w Studium Komunikowania Społecznego i Dziennikarstwa KUL

Leon Dyczewski OFMConv, ur. 1936 r, dr. hab. profesor zwyczajny w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, kierownik Katedry Socjologii Kultury, dyrektor Studium Komunikowania Społecznego i Dziennikarstwa KUL; dyrektor Akademii Społecznej; członek wielu towarzystw naukowych, m.in.: Polskiego Towarzystwa Socjologicznego, Towarzystwa Naukowego KUL, Komitetu Problemów Pracy i Polityki Społecznej PAN, Rządowej Komisji Ludnościowej, Collegium Philosophicum des Forschungsinstitutes für Philosophie Hannover, Europäische Federation für Katholische Erwachsenenbildung (członek prezydium), Katolickiego Stowarzyszenia Dziennikarzy, Komisji Episkopatu d/s Środków Społecznego Przekazu oraz Komisji d/s Kultury, Rady Naukowej Instytutu Jana Pawła II, Rady d/s Polityki Społecznej przy Prezydencie RP, Towarzystwa Polsko-Austriackiego (wiceprezes oddziału w Lublinie). Kierunki badań: rodzina; działalność Kościoła katolickiego w okresie międzywojennym; teorie kultury; kultura i religia; tożsamość etniczno-kulturowa i pluralizm kulturowy; małe grupy jako ogniska kulturotwórcze i nośniki kultury; wartości, symbole, wzory osobowe, bohaterzy w kulturze polskiej. Autor ponad 200 artykułów i 20 książek, m. in: *Wież pokoleń*. Warszawa 1976; *Rodzina polska i kierunki jej przemian*. Warszawa 1981; *Ten, który rozdał życie*. Niepokalanów 1983, II wydanie 1989; *Św. Maksymilian Maria Kolbe*. Niepokalanów 1984; *Dokumenty nauki społecznej Kościoła*. 2 tomy. Rzym-Lublin 1987 (współred.), *Człowiek w społeczności. Refleksje nad społecznym nauczaniem Jana Pawła II*. Niepokalanów 1988 (red.); *Integrationsprozesse in der modernen Gesellschaft*. Lublin 1988 (red.); *Prywatność i życie publiczne w nowoczesnym społeczeństwie: USA – Polska*. Lublin 1992 (współred.); *Wspólnota miejscem tworzenia*. Niepokalanów 1992 (red.); *Wartości w kulturze polskiej*. Lublin 1993 (red.); *Kultura polska w procesie przemian*. Lublin 1993; *Polacy w Bawarii: tożsamość etniczno-kulturowa i wchodzenie w społeczeństwo niemieckie*. Lublin 1993; *Kultur im Wandlungsprozess der Gesellschaft*. Lublin 1993; *Private and Public Social Inventions in Modern Societies*. Paideia Press. Washington 1994 (Ed.), *Człowiek człowiekowi... czyli Rzecz o Św. Maksymilianie Marii Kolbe*. Oświęcim 1994; *Rodzina – społeczeństwo – państwo*. Lublin 1994; *Ludzie starzy i starość w społeczeństwie i kulturze*. Lublin 1994.

Paweł Ziomba: *Czy zechciałby ksiądz profesor na początku naszej rozmowy przedstawić, przybliżyć nam miejsce, w którym się znajdujemy, jak zrodził się pomysł stworzenia takiego wydziału na KUL-u?*

ks. prof. Leon Dyczewski: Wydaje nam się, że potrzeba w Polsce dziennikarzy wykształconych, dobrze przy-

gotowanych do wykonywania swego zawodu. Nasz uniwersytet ma różne wydziały, doszliśmy do wniosku, że brakuje nam jeszcze dziennikarstwa. Skoro Katolicki Uniwersytet Lubelski służy społeczeństwu już od tylu lat, to powinien też kształcić w dziedzinie, która jest w tej chwili nowa, ważna, a jaką jest komunikowanie

społeczne i dziennikarstwo. W ten sposób powstała szkoła. Istnieje już drugi rok i wydaje nam się, że przygotowuje dobrze do zawodu dziennikarza. Naszym zamiarem jest, by ludzie kształcili się tutaj w różnych dziedzinach mass mediów.

Dziennikarstwo jest w Polsce słowem-wytrychem. W nowoczesnych krajach więcej ludzi pracuje w dziedzinie tzw. „public relations”, aniżeli w dziennikarstwie. Nowoczesne społeczeństwo rozbudowuje sektor komunikowania społecznego. Człowiek w tej dziedzinie wykształcony jest potrzebny, chociażby w dużym przedsiębiorstwie, w dziale reklamy.

Dziennikarstwo jest u nas jednym z działów, bardzo istotnym, ale zdajemy sobie sprawę, że nie wszyscy, którzy tę szkołę skończą, będą pracowali jako dziennikarze. Rynek dziennikarski jest już zapełniony. Dostać pracę w radiu czy telewizji jest rzeczą bardzo trudną, natomiast otwarte są w tej chwili w Polsce możliwości takie jak: menedżerstwo, reklama, edytorstwo – te dziedziny są również w naszym programie. Ale dziennikarstwo jest najważniejsze.

Łukasz Garbal: *Czy dziennikarz może być w pełni obiektywny?*

ks. prof. Leon Dyczewski: Dziennikarz powinien być obiektywny. Natomiast czy może...? To zależy od różnych uwarunkowań. Na pewno powinien przedstawiać prawdę, odnosząc się do zdarzenia, do jakiejś kwestii czy też człowieka. Dziennikarz powinien służyć prawdzie. Dlaczego? Ponieważ jego praca zaspakaja jedną z najbardziej podstawowych potrzeb

człowieka, mianowicie potrzebę poznania. Zaś człowiek dąży do poznania prawdy, jego celem nie jest fałsz. Natomiast czy dziennikarz faktycznie przedstawia prawdę? Zwykle jest ona przy najlepszej nawet woli zniekształcona. Po pierwsze podchodzi do niej subiektywnie, bardzo często nie zna wszystkiego. Gorzej, gdy celowo zaciemnia fakty, bo komuś służy, uprawia propagandę. Czasami dziennikarz w sposób celowy i świadomy podaje nieprawdę. Nie po to, żeby komuś szkodzić, ale na przykład sprowokować. Robi tzw. trick dziennikarski. Zatem dziennikarz nie zawsze oddaje prawdę taką, jaka ona jest, lecz jest do tego zobowiązany.

Łukasz Garbal: *Dziennikarz jest więc z góry skazany na niepowodzenie, gdyż nie może być obiektywny?*

ks. prof. Leon Dyczewski: To może posłużę się przykładem: jest wypadek samochodowy, wzywają karetkę pogotowia, policję, przyjeżdża również dziennikarz. Chce ten wypadek zrelacjonować, nie był przy nim obecny, a zatem nie wie wszystkiego. Stara się odtworzyć prawdę na podstawie tego, co widzi, relacji świadków, którzy też wszystkiego nie widzieli, a każdy z nich mówi co innego. Dziennikarz wybiera i składa, dajmy na to, półgodzinny materiał filmowy. Wraca do studia i tam muszą z tego zrobić pięć minut. Nie robi tego osobiście, ale już cała ekipa wybiera to, co przydatne, eliminując rzeczy według nich zbędne.

Przedstawiając wypadek, uwypukla się jakiś jego aspekt: tragizm, przyczynę, np. nierówność drogi, pijanego kie-

rowcę. Właśnie owa aspektowość decyduje o doborze całego materiału.

Rzeczywiście więc możemy mówić, że dziennikarz, podając informacje do radia i telewizji, nie jest w stanie ukazać ich całkowicie obiektywnie.

Istnieje również coś takiego jak różnica mediów. W telewizji będzie to materiał bardzo krótki, oglądając go człowiek niewiele zapamiętuje, nie zatrzymuje się nad nim dłużej. Jeżeli ten sam wypadek zostanie opisany w prasie, to będzie to opis na ogół dłuższy. Ten kto czyta, ma czas na domyślenie się szczegółów, które zostały pominięte, a mogły mieć miejsce. Zatem lepszą relacją i na pewno głębszą jest relacja prasowa.

Wracając do kwestii obiektywizmu. Jeden i drugi dziennikarz chciał rzecz przedstawić obiektywnie, ale żaden nie był w stanie powiedzieć wszystkiego. Jeszcze jest kwestia, czy mówienie wszystkiego jest obiektywizmem.

Paweł Ziemia: *Czy dziennikarz powinien tylko informować, czy powinien też komentować fakty?*

ks. prof. Leon Dyczewski: To są dwie zupełnie różne, odmienne funkcje dziennikarstwa. Mamy w telewizji, w radio serwisy informacyjne. Powinny one być tak oddzielone, aby odbiorca wiedział, że to są czyste informacje. Oczywiście dziennikarze mają prawo komentować. Mogą to robić z różnych punktów widzenia: gospodarczego, politycznego, kulturalnego, religijnego czy etycznego... Dobry dziennikarz powinien ukazać dane zjawisko wieloaspektowo. Zazwyczaj też nie daje gotowego rozwiązania, prowokując czytelnika do

wysiłku umysłowego. Oczywiście dziennikarz nie może uchylać się od powiedzenia swojego zdania. W tej chwili w Polsce dziennikarze popadli w skrajność – nic od siebie. Unikają ukazywania własnych sądów, twierdząc, że to pouczanie, nachalne edukowanie.

Wydaje mi się jednak, że kiedy dziennikarz przedstawia np. problemy AIDS, to może wypowiedzieć i swoje zdanie na temat tej choroby. Jednak nie jako sąd obowiązujący dla wszystkich. Wtedy byłoby to nieporozumienie. Sam czytelnik ma zdecydować czy jest za tym, by chorzy na AIDS mieszkali razem ze zdrowymi, w miastach, czy żeby mieli jakiś wspólny, oddzielny teren. Dziennikarz nic nikomu nie może narzucać.

Łukasz Garbal: *Zdarza się, że dziennikarz usiłuje tworzyć nową rzeczywistość, manipulować nią. W jaki sposób odbiorca może odróżnić informację od propagandy?*

ks. prof. Leon Dyczewski: Zdecydowanie może. Istnieją specyficzne techniki właściwe dla propagandy i inteligentny odbiorca je wyczuwa. Natomiast dziennikarz nie może zwolnić się z odpowiedzialności za to, co przekazuje. Musi sobie zdawać sprawę z tego, jaki skutek może wywołać jego audycja. Dziennikarza obowiązują pewne normy. Na tym tle mówi się teraz wiele na temat scen gwałtu, terroru i przemocy w mass mediach. Można nakręcić film tego typu i oczywiście znajdą się świetni aktorzy, ale co będzie się działo w psychice dziesięcioletnich chłopców, którzy go będą oglądali?

Dziennikarzowi nie wolno pokazywać wszystkiego i to wcale nie jest cenzura. Nie jest prawdą, że dziennikarz może być zupełnie wolny, istnieją ograniczenia. Po pierwsze – zobowiązanie prawdą, po drugie – właśnie ów skutek, jakie mogą wywołać jego programy.

Niepotrzebna jest cenzura zewnętrzna, trzeba dobrze przygotowanych dziennikarzy. Dopuszczenie ludzi nieodpowiedzialnych do mediów jest wielkim nieporozumieniem...

Istnieje jeszcze jedno ograniczenie, podkreślone w tej chwili w krajach zachodnich – dziennikarz nie powinien służyć władzy. Dlaczego? Ponieważ w tej chwili jest ona tak potężna, ma tak rozbudowany aparat, że jeżeli jeszcze dziennikarz będzie jej służył, to odbiorca będzie wobec władzy absolutnie bezbronny.

Grzegorz Żuk: *W jaki sposób można się bronić przed propagandą? Czy mógłby książd profesor zdradzić techniki ewentualnej obrony?*

ks. prof. Leon Dyczewski: Pierwszą taką techniką obrony przed propagandą jest różnorodność centrów nadawczych, otwarty dostęp do informacji. Najgorszy jest człowiek wychowany tylko na jednej książce. Jak mówi rzymskie przysłowie: „*Ti meo lectorem unus libri*” (tzn. boję się człowieka jednej książki). Taki człowiek jest ciasny. Bardzo niewiele wie. Można to przysłowie interpretować inaczej: on tak dobrze zna tę książkę, że moja dyskusja z nim zawsze skończyłaby się niepowodzeniem.

Poza tym musimy zdawać sobie sprawę, że to, co otrzymujemy w

mass mediach jest iluzyjne, że to nie jest pełna prawda, bardzo często montaż. Przy nowoczesnych środkach z naszej rozmowy można zmontować coś takiego, że wyjdę na człowieka niepoważnego. Technika daje nam takie narzędzia. Każde słowo można oddzielić, dlatego też taśma magnetofonowa nie może być dowodem w sądzie, można ją zmontować. Amerykanie, którzy mają tego pełną świadomość, najbardziej lubią bajki, ponieważ wiedzą, że są one nieprawdziwe, nierealne, a rozwijają wyobraźnię. Konieczne jest u ludzi kształtowanie mechanizmu selekcji, żeby świadomie wybierali w telewizji takie programy, które są pożyteczne.

Ważne jest wychowanie ludzi aktywnych, reagujących na to, co się w telewizji lub w radio nadaje, a także przygotowanie ludzi do odważnego wyrażania swojej opinii publicznie. U nas jeszcze ludzie nie mają do tego odwagi. W szkołach na Zachodzie nauczyciele oduczają uczniów używania takich form jak: „mówi się”, „słysz się” – ty masz mówić sam i w swoim własnym imieniu. Kształtowanie postawy aktywnej, która byłaby zwrócona do nadawcy jest również przeciwdziałaniem propagandzie.

Joanna Malarczyk: *Zaczęliśmy mówić o etyce dziennikarskiej, jak mi się wydaje to bardzo ważny temat, zatem czy mógłby książd przedstawić nam go szerzej?*

ks. prof. Leon Dyczewski: Problemy natury etycznej stają przed dziennikarzem już w momencie kiedy podejmuje temat, gdy stawia sobie pytanie: do jakiej gazety pisać?

Także sposób ukazania tematu, na przykład wywołujący agresję, stanowi problem etyczny. Dzisiaj wydaje się, że elementem, który dominuje w dziennikarstwie jest sensacja. Sensacja przyciąga. Pani jako dziennikarz musi być sensacyjna, choć trochę. Znowu pojawia się konflikt, bowiem kładąc nacisk na sensację łatwo zatracić meritum, to, co najważniejsze. Powrócę do tematu: dziennikarz człowiek odpowiedzialny. Na pewno słyszała pani takie określenie – brukowiec. Wiadomo, że w takiej gazecie będzie i gwałt i trochę seksu, przemocy, trochę taniej sensacji, trochę nieprawdy też. Każdy szanujący się dziennikarz powie: „ja tu nie będę pisać!”.

Może jeszcze przykład: pani jest, dajmy na to biologiem i jednocześnie dziennikarzem od reklamy. Szef mówi: „proszę zrobić reklamę promującą artykuł ten i ten”. Pani zaś wie, z racji swojego wykształcenia, że ten produkt jest szkodliwy dla zdrowia. Znowu stajemy przed problemem etycznym: z jednej strony pieniądze za reklamę, z drugiej szkodliwość produktu. Trzeba rozstrzygnąć. Podobnych problemów jest bardzo dużo, nie sposób wszystkich wymienić. Dziennikarz napotyka je niemal na każdym kroku.

Grzegorz Żuk: *Czy dziennikarz powinien być rzemieślnikiem, czy też spełnia jakąś misję? To pytanie zadaliśmy już podczas Warsztatów Dziennikarskich. Ciekawi jesteśmy zdania księdza profesora na ten temat.*

ks. prof. Leon Dyczewski: Wydaje mi się, że to jest powołanie, że dziennikarz powinien mieć poczucie

pewnej misji. Dlaczego na przykład, dziennikarze chcą albo godzą się jeździć do Jugosławii? Przecież to niebezpieczne, tam jest wojna, dziennikarze giną, kariera dziennikarza wojennego jest niedochodowa. Oni chcą tam jechać, żeby pokazać, jakie są skutki wojny. Ostatnio oglądałem na festiwalu reportaż, ukazujący akcję odbijania ludzi porwanych przez terrorystów. Jestem święcie przekonany, że gdyby ci dziennikarze nie mieli poczucia misji, to nigdy by tego reportażu nie zrobili. Ale zgadzam się z państwa kontekstem – wielu jest dziennikarzy, którzy wykonują czysto rzemieślniczą robotę i nie wiadomo, których jest więcej.

Joanna Malarczyk: *Czy można mówić o jakichś specjalnych cechach, predyspozycjach, którymi powinien wykazać się dobry dziennikarz lub kandydat na takiego?*

ks. prof. Leon Dyczewski: Chyba tak. Pierwsza cecha to ciekawość. Dziennikarz musi być ciekawy świata, ludzi, problemów. Musi więcej widzieć, więcej czuć, więcej rozumieć. Musi mieć bardzo rozwiniętą postawę poznawczą. Dziennikarz musi przekazać odbiorcy to, co wie, musi to zrobić w taki sposób, aby go zaciekawić. Drugą ważną cechą jest sposób widzenia, ujmowania i przekazywania. Na egzaminie dajemy kandydatom zdjęcia. Każdy wybiera sobie jedno. Prosimy, aby na jego podstawie sprecyzować jakiś problem. Okazuje się, że na tej samej fotografii dwoje ludzi dostrzeże co innego i inaczej to przedstawi. Jedni robią to lepiej i ciekawiej niż inni.

Grzegorz Żuk: *W dziedzinie, o której rozmawiamy panuje swoisty mętlik terminologiczny. Mówi się o mass mediach, środkach społecznego przekazu, środkach masowego przekazu, o środkach społecznego komunikowania. Czy to jest tylko różnica słów?*

ks. prof. Leon Dyczewski: Nie, to nie jest tylko różnica słów, ale różnica merytoryczna, daleko idąca. Dawniej używano określeń: środki masowego albo społecznego przekazu – u nas w Polsce jak też na Zachodzie. Co to znaczy?

Komunikowanie społeczne oparte było na schemacie: wszystko idzie od góry na dół. Istnieją duże centra nadawcze i z nich idą przekazy do odbiorców, do nas. Odbiorcy są bierni, nie powiązani ze sobą, siedzą tylko przed telewizorami, radiem i nie reagują. Obraz taki przypisywany amerykańskiemu socjologowi Russellowi funkcjonuje w tzw. systemach propagandy – nie tylko totalitarnych. Dotyczy on np. propagandy funkcjonującej w latach 40-tych w Ameryce. Natomiast obecnie funkcjonuje zupełnie inny model. Komunikowanie we współczesnym społeczeństwie jest działaniem sprzężonym. Centra nadają, przekazują, ale odbiorca jest bardziej aktywny – dzwoni, pisze, alarmuje – wie, co to jest dialog. W taki sposób powstało pojęcie „system komunikowania społecznego”. Jest to zmiana nie tylko w nazwie, ale w całej koncepcji. To zjawisko nazywa się demokratyzacją mass mediów.

Paweł Ziemba: *Wiadomo, że mass media przekazują dorobek kultural-*

ny, ale czy same wnoszą też jakiś wkład?

ks. prof. Leon Dyczewski: Wydaje się, że w tej chwili dużo. Istnieje teatr telewizyjny. Telewizja jest mecenasem, organizatorem i jednocześnie realizatorem tego teatru. W tym przypadku telewizja tworzy sztukę. Tak samo dyrektor radia czy gazety zamawia u twórcy serię audycji, artykułów. Jest więc mecenasem literatury, w taki sposób może powstać arcydzieło. Klasyczny przykład „Ogniem i mieczem” powstało na zamówienie. Sienkiewicz pisał do warszawskiej gazety, nie zaniósł tam powieści w całości, pisał na bieżąco. I rzeczywiście powstało arcydzieło literatury polskiej.

Mass media odgrywają dziś szczególną rolę kulturotwórczą. Każdy tytuł prasowy, redakcja radiowa, telewizyjna, gromadzą wokół siebie ludzi twórczych, którzy więcej widzą, więcej czują. Oni tworzą ognisko kulturowe – to też jest bardzo ważne.

Grzegorz Żuk: *Czy pokusiłby się książdź profesor o diagnozę środowiska dziennikarskiego w Polsce, jakie ono jest, czy służy społeczeństwu?*

ks. prof. Leon Dyczewski: To trudne pytanie. Powiedziałbym, że mamy bardzo wielu dobrych dziennikarzy, mamy bardzo dobrze rozwinięty serwis informacyjny, ale opiera się on głównie na agencjach amerykańskich, BBC, czy Reuterze. Efekt jest taki, że mamy bardzo dużo informacji, które nas w ogóle nie interesują. Np., że w bloku w Nowym Yorku wybuchł gaz. Gaz wybuchł i w Polsce. Serwisy informacyjne są przełado-

wane. Dziennik w Niemczech trwa 10 minut, u nas prawie pół godziny. Wynikiem tego jest powstanie tzw. „szumu informacyjnego”. Po obejrzeniu dziennika wieczornego proszę się zapytać następnego dnia: co zapamiętałem? Najwyżej jedną albo dwie informacje. Psychika ludzka jest w stanie wytrzymać maksimum 10 minut natężonej uwagi.

Brakuje nam chyba dziennikarzy felietonistów. A dobra prasa ich potrzebuje. Mamy dobrych dziennikarzy, jeśli chodzi o radiową adaptację dzieł literackich – ich audycje są chętnie słuchane. Natomiast jest cały szereg dziennikarzy źle przygotowanych, nie tyle pod względem warsztatowym, co w dziedzinie, którą obsługują. Dziennikarz musi być kompetentny w danej dziedzinie, a dopiero potem uzupełniać ją przygotowaniem zawodowym dziennikarskim. Np. jeżeli pisze on artykuły o życiu gospodarczym, to musi się znać na ekonomii, rzeczywiście widzieć istotne problemy w tej dziedzinie i potrafić je sensownie przedstawić, w sposób niezaangażowany, zrozumiały dla każdego odbiorcy.

Grzegorz Żuk: *Czy to znaczy, że dziennikarz powinien zniżać się do*

poziomu świadomości tych najmniej odczytanych czytelników?

ks. prof. Leon Dyczewski: Zniżyć się? Nie. Ale powinien umieć przedstawić w sposób zrozumiały dla wszystkich, którzy się będą tym problemem interesowali. Dlaczego? Ponieważ w mass mediach nastawieni jesteśmy na odbiorcę przeciętnego. Ostatnio dziennikarze mówiąc o inflacji używali określenia „ścieżka inflacji”. Jestem święcie przekonany, że większość nie wiedziała, o co chodziło. A było to nagminne. Dziennikarze sami nie wiedzieli, co to określenie oznacza, biernie cytowali panią Prezes Narodowego Banku Polskiego, bo to ona pierwsza użyła tego określenia. W Polsce istniało takie wyobrażenie, że dziennikarz powinien być literatem, polonistą. Nic podobnego, dziś ten model już nie funkcjonuje. Jeżeli dziennikarz pisze relacje z wystaw, to musi znać się na sztuce. Bardziej przydatne dla niego jest wykształcenie z historii sztuki niż z literatury.

Oczywiście musi jednak umieć pisać po polsku.

Opracowała: **Joanna Malarczyk.**

**Agnieszka Kloskowska,
Julita Agnieszka Rybczyńska**

Środki przekazu w społeczności lokalnej – podsumowanie dyskusji

Tekst niniejszy jest podsumowaniem dwugodzinnej dyskusji, przeprowadzonej przez nas z uczestnikami Warsztatów w Pliszczynie. Jest on, tak jak i cała dyskusja, próbą sformułowania problemów i pytań dotyczących funkcjonowania środków społecznego przekazu na poziomie lokalnym. Staramy się więc odtworzyć postawione pytania i główne wątki dyskusji. Nie znaleźliśmy w trakcie naszej pliszczyńskiej rozmowy odpowiedzi na te pytania. Mamy jednak nadzieję, że będą nam one towarzyszyć w naszej pracy.

Co to jest społeczność lokalna?

Społeczność lokalna to pojęcie wieloznaczne. Na ogół rozumie się pod nim grupę ludzi związaną wspólnym miejscem zamieszkania. „Lokalność” opierałaby się wtedy na kryterium czysto geograficznym, terytorialnym. W tym sensie można mówić np. o społeczności lokalnej mieszkańców jakiejś gminy, dzielnicy miasta, czy – szerzej – całego miasta. Pojawia się tu problem niejasnych granic tak rozumianej lokalności. Czy powiat, województwo, region można jeszcze uznać za społeczności lokalne? A w związku z tym, czy np. Radio Lublin, operujące na terenie kilku województw, jest tak samo „lokalnym” środkiem przekazu jak gazetka osiedlowa?

Inne rozumienie lokalności bazuje na kryterium środowiska. Przyjmując je, uznamy za lokalne środki przekazu także np. radiowęzeł zakładowy czy gazetkę szkolną. Oczywiście gminę, osiedle czy region też można uważać za rodzaj środowiska, ponieważ ich mieszkańców łączą wspólne, ważne dla nich sprawy.

Uznając zasadność obu tych kryteriów, wypada nam uznać za lokalne te środki przekazu, których zasięg ogranicza się do pewnego tylko terytorium, a więc nie ma charakteru ogólnokrajowego oraz których tematyka dotyczy spraw wspólnych mieszkańcom tego terenu.

Co to są środki społecznego przekazu?

Temat naszej prezentacji zawiera jeszcze jedno istotne i rzadko definiowane pojęcie – środki przekazu. Sformułowanie to jest niekompletnym tłumaczeniem zapożyczonego z języka angielskiego terminu *mass media*, oznaczającego właściwie środki masowego przekazu. Masowość oznacza tutaj powszechność dostępu – każdy mieszkaniec danego terenu może być odbiorcą tego przekazu, włączając radio lub telewizor, czy też kupując lokalną lub ogólnokrajową gazetę.

Natomiast pojęcie *media* oznacza środki, przekazy. Podkreśla ono fakt bycia pośrednikiem pomiędzy nadawcą przekazu a jego odbiorcą. Celem środków przekazu jest więc wspieranie procesu komunikacji pomiędzy tymi, którzy chcą o czymś informować a tymi, którzy taką informacją są zainteresowani.

Jaka jest specyfika mediów lokalnych?

Warto zastanowić się, dlaczego w społecznościach lokalnych mówimy o środkach *społecznego* przekazu i dlaczego właśnie na poziomie lokalnym określenie to wydaje się pasować bardziej niż tradycyjnie używane określenie *przekaz masowy*. Wydaje się, że na tym poziomie bardziej widoczna jest rola mediów jako pośrednika pomiędzy różnymi nadawcami informacji a jej odbiorcami. Krąg jednych i drugich jest łatwiejszy do zidentyfikowania w społeczności lokalnej. Społeczny charakter mediów lokalnych oznacza też oczekiwanie, że przepływ informacji jest w nich bardziej „dwustronny” a rola odbiorcy mniej bierna. Łączy się to z tym, że droga którą przebywa informacja jest tutaj krótsza a środki używane do jej emitowania bardzo proste. Zastanawialiśmy się przecież, na ile gazetki ścienne, słupy ogłoszeniowe oraz jednodniówki należą też do mediów lokalnych. Na pewno można mówić, że lokalny charakter mediów wyraża się w ich treści i w zasięgu.

Możemy sobie wyobrazić różne rodzaje lokalnych „nadawców” informacji. Tym różnym rodzajom odpowiadają przeważnie odpowiednie bloki tematyczne w środkach przekazu. I tak np. dział sportowy obsługuje informacje od nadawców związanych z działalnością sportową, dział kulturalny – szeroko pojętą kulturę (w tym także repertuar bieżący lokalnych kin, teatrów, programy wystaw), ogłoszenia zaś to komunikaty nadawane przez podmioty gospodarcze lub zwykłych mieszkańców, występujących z konkretnym komunikatem (np. „szukam prywatnego nauczyciela języka”, „kupię piłkę”, „sprzedam samochód” itp.).

Szczególnym rodzajem nadawcy są lokalne władze. Ich działania stanowią zawsze przedmiot zainteresowania lokalnych środków przekazu. Ich zadaniem jest bowiem również pośredniczenie w obiegu informacji pomiędzy obywatelami a władzą.

Jakie są relacje pomiędzy organami samorządu lokalnego a lokalnymi mediami?

Gdybyśmy spróbowali naszkicować sytuację modelową, to należałoby wyjść z założenia, że mieszkańcy (miasta, regionu, osiedla, gminy) chcą być informowani o

tym, co dzieje się w ich społeczności, w tym także o wszelkich działaniach ich lokalnych władz. Demokratyczna procedura wyboru tych władz zakłada, że są one reprezentantami ogółu społeczności lokalnej i ich działania służyć mają dobru danej gminy (miasta). Obywatel ma więc naturalne prawo, by być na bieżąco informowanym o działaniach podejmowanych niejako z jego upoważnienia. Z drugiej strony władza lokalna powinna być zainteresowana poznaniem opinii mieszkańców na temat prowadzonych przez siebie działań. Znajomość społecznego odbioru własnej polityki mogłaby przyczynić się do korygowania jej na bieżąco przez władze samorządowe, a z drugiej strony widoczne niedoinformowanie obywateli w pewnych kwestiach mogłoby skłonić je do zintensyfikowania odpowiednich działań informacyjnych.

Niestety, gołym okiem widać, że sytuacja rzeczywista daleka jest od naszego modelu obiegu informacji. Gdybyśmy chcieli dokonać diagnozy stanu faktycznego, musielibyśmy wyjść od stwierdzenia, że komunikacja między władzą a społecznością lokalną kuleje. Z naszych poprzednich rozważań wynika, że w procesie przepływu informacji między władzą samorządową a społecznością lokalną uczestniczą trzy podmioty: władza (w roli nadawcy bądź odbiorcy), środki przekazu (pośrednik) i mieszkańcy (jako odbiorcy lub – rzadziej – nadawcy). Spróbujmy poszukać przyczyn niesprawnej komunikacji analizując działania tych podmiotów.

Po stronie władzy wyróżnić można cały szereg barier dla skutecznej komunikacji ze społecznością lokalną. Dużą rolę gra tu zapewne pewien rodzaj inercji, skostnienie zastanego systemu lokalnej administracji publicznej. Zbyt wolno następuje dostosowanie tego układu i starych przyzwyczajeń związanych z piastowaniem określonych stanowisk do nowego, demokratycznego systemu wyłaniania władzy. W demokracji władza musi w określonych, kilkuletnich cyklach poddawać się weryfikacji ze strony wyborców, co przypomina nieco grę sił na wolnym rynku. Przedstawiciele władz samorządowych po prostu muszą dbać o swoją popularność i korzystny wizerunek, jeśli chcą poparcia wyborców w następnych wyborach. Tymczasem ciągle jeszcze tylko nieliczni z nich „czują się rynkowo”, rozumiejąc potrzebę promocji własnych działań. Brak marketingu ze strony władz samorządowych da się zaobserwować w naszych miastach. Jeśli już lokalni decydenci występują w mediach, to jakość tych wystąpień pozostawia wiele do życzenia.

Byłoby ze wszech miar cenną inicjatywą, gdyby prezydenci naszych miast organizowali raz w tygodniu konferencje prasowe, podczas których ich rzecznicy prasowi udzielaliby wyczerpujących informacji na temat bieżącej pracy władz miejskich. Większa dbałość o dystrybucję informacji na temat własnej działalności byłaby przejawem większej odpowiedzialności tych władz przed wyborcami za sprawowany przez siebie urząd.

Z pewnością także ukształtowane przez wiele lat biernie postawy mieszkańców odgrywają znaczną rolę w hamowaniu skutecznej komunikacji. Przeciętny widz, słuchacz czy czytelnik nie jest zainteresowany polityką. Można by oczekiwać, że postawy takie dotyczą tylko „wielkiej polityki”, jako czegoś odległego i pozostającego poza wpływem przeciętnych obywateli. Okazuje się jednak, że np. mieszkańcy Lub-

lina nie interesują się polityką miejską, rezygnując tym samym z możliwości aktywnego wpływania na nią. Jest to w dużej mierze wynikiem niezrozumienia istoty zmian, jakie przyniosła reforma administracji publicznej i usamodzielnienie władz samorządowych. Mieszkańcy nie zdają sobie sprawy z tego, że obecnie wiele konkretnych spraw można załatwić na szczeblu własnej gminy – jak choćby wysokość opłat za przedszkola, czynsze komunalne, ceny biletów komunikacji miejskiej itp. Niewiedza ta potęguje poczucie bezradności, tworząc klimat sprzyjający postawom roszczeniowym i biernemu poddawaniu się decyzjom władz lokalnych.

Wydaje się też, że wiele osób postrzega politykę jako rzecz brudną i nieuczciwą, włączając w to także politykę lokalną. Jest to niewątpliwie niekorzystne zjawisko rzutowania postrzeganych na szczeblu krajowym konfliktów i „wojen” na scenę polityczną miasta. Rozważne kształtowanie postaw mieszkańców poprzez odpowiednią politykę informacyjną ze strony władz miejskich mogłoby tu zapewne wiele zmienić na lepsze.

Dodatkowo, brak zainteresowania ze strony członków społeczności lokalnej sferą publiczną w istotny sposób wpływa na treści emitowane przez lokalne środki przekazu, zwłaszcza komercyjne. Nikt rozsądny nie będzie na siłę serwował swoim odbiorcom szczegółowych relacji z posiedzeń komisji Rady Miejskiej, o ile nie będzie przekonany, że istnieje społeczne zapotrzebowanie na tego rodzaju relacje. W efekcie, w warunkach lubelskich na palcach policzyć można dziennikarzy „obsługujących” sferę samorządową w swoich redakcjach. Są to przeważnie młodzi redaktorzy, którzy, aby właściwie przedstawić stan rzeczy, muszą niekiedy zdobywać dodatkową wiedzę z zakresu prawa, ekonomii, zarządzania itp. Profesjonalni dziennikarze – specjaliści od spraw samorządowych to, niestety, ciągle cenna rzadkość. Powracał też w dyskusji wątek komercjalizacji mediów, która powoduje, że przedmiotem ich zainteresowania są tylko tematy czy całe dziedziny przynoszące zysk.

Próba podsumowania

Wiele osób podkreślało w dyskusji potrzebę działań edukacyjnych. Większa wiedza o strukturze, kompetencjach i działaniu samorządu miałyby się przyczyniać do zwiększenia zainteresowania sprawami lokalnymi. Być może rola mediów w usprawnieniu komunikacji na linii „mieszkańcy – władza lokalna” powinna polegać raczej na działaniach edukacyjnych. Padły też głosy sugerujące, że media powinny kultywować lokalność jako swego rodzaju sposób na życie, twórczo trzymać się zasady „myśl globalnie, żyj lokalnie”.

Czy jednak media powinny kreować takie zainteresowania? Poważna część naszej dyskusji dotyczyła kwestii czynnej roli mediów w kształtowaniu lokalnej sceny politycznej i życia społeczności lokalnej. Czy dziennikarz lokalnej gazety powinien informować, co się dzieje w mieście czy też zachęcać czytelnika do przyjęcia bardziej czynnej postawy. Wydaje się, że było wśród nas równie wielu dziennikarzy

„aktywistów”, co takich, którzy chcieli swoją rolę ograniczyć do przekazywania rzetelnej informacji.

Problem nadmiernego upolitycznienia społeczności lokalnych, a co za tym idzie działających w nich mediów lokalnych, był kolejnym ważnym, jak nam się wydaje, motywem naszej dyskusji. Kilku uczestników zwróciło uwagę na prawo do nieuczestniczenia np. w wyborach lokalnych. Widzieli oni przyczynę małej popularności lokalnych mediów, głównie gazet, w ich partyjnym charakterze i skupieniu na sprawach politycznych konfliktów. Podawano kontrprzykład lokalnych stacji radiowych, które nadają głównie muzykę i reklamy i cieszą się ogromną popularnością. Poglądom tym przeciwstawiały się osoby, które dostrzegają marazm polityczny i brak inicjatyw społecznych w społecznościach lokalnych. Podawano tutaj przykład dokładnie tych samych stacji radiowych! Zgodni jednak byliśmy, że nie najlepszy społeczny odbiór procesów politycznych i niska ocena moralna polityków przez społeczeństwo nie sprzyjają zwiększeniu zainteresowania sprawami społeczności lokalnych.



„Nie można wydawać praw ustanawiających religię lub zabraniających swobodnego wyznania religii; ograniczających wolność słowa i prasy; a także wolność pokojowych zgromadzeń i petycji skierowanych do władz.”

Pierwsza Poprawka do Konstytucji Stanów Zjednoczonych



kwartalnik w Małej Ojczyźnie

ETHOS

KWARTALNIK
INSTYTUTU
JANA PAWŁA II KUL –
LUBLIN
I FUNDACJI
JANA PAWŁA II – RZYM

„Ethos” – kwartalnik Instytutu Jana Pawła II KUL (Lublin) oraz Fundacji Jana Pawła II (Rzym) powstał w tymże Instytucie w 1988. Słowo *ethos* pochodzi z języka greckiego, oznacza „zwyczaj, obyczaj”, ma znaczenie przede wszystkim etyczne: zbiór zasad rządzących współżyciem międzyludzkim.

Pismo podkreśla głównie wartości etyczne, społeczne, kulturowe i religijne. Choć jest periodykiem Instytutu poświęconego Janowi Pawłowi II, nie jest kroniką życia i działalności Ojca św., natomiast propaguje nurt filozofii, teologii i wartości, które akcentuje papież. To wyróżnia kwartalnik spośród innych wydawnictw katolickich mających często charakter magazynów. Drugim wyróżnikiem jest monograficzny charakter każdego zeszytu. Kręgi tematyczne, którymi najczęściej zajmuje się „Ethos” to:

- 1) rodzina,
- 2) kultura (szczególnie kultura moralna),
- 3) Kościół, religia, wiara,
- 4) historia i jej rola w życiu człowieka,
- 5) przełom po 1989 roku.

Celem zespołu wraz z redaktorem naczelnym, którym jest ks. prof. Tadeusz Styczeń, nie było stworzenie pisma naukowego, przeznaczonego wyłącznie dla środowiska akademickiego, lecz skierowanie go do szerokiego kręgu odbiorców. Kwartalnik „Ethos” to wydawnictwo dla każdego inteligentnego, myślącego człowieka, zwłaszcza o orientacji chrześcijańskiej.

Opracował: **Przemysław Więczkowski**
na podstawie informacji podanych przez dr hab. W. Chudego.

„Istotą manipulacji jest kłamstwo”

Rozmowa z zastępcą redaktora naczelnego kwartalnika „Ethos” Wojciechem Chudym

Przemek Więczkowski: Kiedy Pan zaczął interesować się filozofią? Jak zetknął się Pan z tą nauką?

Dr hab. Wojciech Chudy: Już w liceum miałem jakieś załączkowe inklinacje filozoficzne. W liceum czytałem „Studia Filozoficzne”, był to miesięcznik marksistowski, ale były tam również publikowane artykuły poświęcone innym kierunkom filozoficznym. Po maturze postanowiłem jednak rozpocząć studia matematyczne. Tak mi zasugerował mój nauczyciel, „bo to dla mnie wymarzony kierunek, gdyż potrzebne są tylko ołówek i papier i można sobie siedzieć i matematykę uprawiać nawet na zabitej wsi.” (Pochodzę ze wsi Dąbrowa pod Wieluniem i poruszam się na wózku inwalidzkim). Ale los chciał inaczej. Napisałem podanie na Uniwersytet w Łodzi i dostałem odpowiedź z dziekanatu, że w mojej sytuacji studia matematyczne byłyby bardzo skomplikowane, bo musiałbym uczęszczać na wykłady. Dlatego też poradzono mi polonistykę. Takie były wtedy dziekanaty. Byłem oburzony. Zostawiłem więc wszy-

stkie rady „profesorskie” i idąc za wskazaniem serca złożyłem podanie na KUL. Wybrałem filozofię i zostałem tutaj bardzo ciepło, bez uprzedzeń, potraktowany. I tak się zaczęło...

Paweł Ziemia: Czy mógłby Pan przybliżyć filozofię, którą Pan się zajmuje?

Dr hab. Wojciech Chudy: Jest to przede wszystkim filozofia realistyczna. Jestem uczniem metafizyki i teorii poznania z KUL-u, gdzie pokazano mi wartości realizmu filozoficznego – jak odróżnić poziom tego, co naprawdę jest i jak naprawdę jest, od tego, co wykreowane w sposób sztuczny, od świata nierzeczywistego, świata „meta”, wykreowanego, stworzonego przez wyobraźnię ludzką. Z kolei Tadeusz Styczeń, a także Karol Wojtyła nauczyli mnie pytania: „Kim jestem?” Jest to moje główne pytanie w filozofowaniu, ono ukierunkowało mnie na dziedzinę filozofii, którą się zajmuję pierwszorzędnie, czyli filozofię refleksji. Refleksja to sposób poznania, które odnosi się do samego siebie – człowiek poznaje

refleksyjnie wówczas, gdy poznaje siebie: swoją świadomość, swoje uczucia, chęci, a przede wszystkim akty poznawcze. Dlatego pytając „kim jestem?” – reflektuję. Na kanwie tej myśli powstają dalsze pytania: „Jak żyć, żeby nie wprowadzić siebie w błąd?, Jak poznawać rzetelnie?”. Pytanie o poznanie jest również pytaniem o mój stan umysłu, o akty poznawcze.

Kolejną dziedziną, którą się zajmuję, jest filozofia kłamstwa i manipulacji. Jest to zwłaszcza u nas ciągle „terra incognita”, czyli „ziemia nieznana”. Nie ma monografii na temat kłamstwa. Warto przekonać się, w którym momencie człowiek kłamie i jak to robi. Czy istnieje autokłamstwo? Czy człowiek może sam siebie okłamać? Wreszcie jak chronić się przed kłamstwem? Są to pytania, na które bardzo trudno jest wciąż odpowiedzieć, a przecież kłamstwo zagraża człowiekowi i atakuje go na co dzień.

Następnym obszarem jest filozofia „wydobyta” z pontyfikatu Jana Pawła II. Jest to dział związany z moją pracą zawodową w „Ethosie”, który ukazuje się w Instytucie Jana Pawła II. To bardzo ważny wymiar mojego filozofowania. Penetruje ono w związku z tym również rzeczywistość teologiczną. Rzeczywistość, która w swej istocie jest pozasłowna, tonie w tajemnicy. Dla człowieka jest to rzeczywistość najgłębiej wewnętrzna. Akty religijne w swojej istocie nie są oddawalne w słowach. Jan Paweł II bardzo mocno mówi w swej ostatniej książce „Przekroczyć próg nadziei”, że właściwie w każdej dziedzinie życia i świata

ostateczną odpowiedzią jest rzeczywistość pozasłowna, czyli teologiczne fundamenty wszystkiego, co istnieje.

Ostatnią część mojego filozofowania stanowi tematyka społeczno-polityczna, tj. sprawa określona takimi pytaniami jak np.: „Jak żyjemy jako wspólnota? Jak ochronić się przed kłamstwem w dziedzinie politycznej? Jak odnaleźć swoje miejsce jako np. niepełnosprawni? Jak ocalić swoją niezależność?”

Paweł Ziomba: *Jaka jest tutaj rola mass mediów?*

Dr hab. Wojciech Chudy: Istotą mass mediów jest informacja – dlatego musi być ona prawdziwie rzetelna. Mass media powinny być „przedłużeniem” naszych zmysłów i intelektu, a więc powinny być rzetelne. Dziennikarz musi być wolny i niezależny wobec nacisków. To są dwa elementy dobrego dziennikarstwa, przy czym dbałość o zachowanie w przekazie prawdziwego obrazu nie oznacza wymogu informacji „całkowitej”, ale tylko takiej, żeby ukazywała adekwatnie sytuację opisywaną. Gdy reporter opisuje wypadek drogowy, to mało istotny jest kolor ubrań kierowców, a bardzo ważny przebieg zdarzenia i zderzenia. Odpowiedzialność dziennikarza polega na tym, że powinien on starać się pokazać informację w sposób prawdziwy.

Adrian Lesiakowski: *Jaką rolę pełnią w Polsce mass media po 1989 roku?*

Dr hab. Wojciech Chudy: Ogromną, bo organizują życie społeczne. Ale żeby odpowiedzieć na to pytanie trzeba najpierw odróżnić sytuację ogólnoswiatową od sytuacji polskiej. W krajach Zachodu, gdzie demokra-

cja jest utrwalona, mass media wytwarzają pewne tendencje, które się wzajemnie równoważą. Tam można w pewien sposób wypośrodkować sobie opinię chociażby czytając przeciwną prasę. Byłem rok w Niemczech, obserwowałem rynek prasowy i wiem, że istnieje tam duża różnica pomiędzy gazetami rynkowymi – powszechnymi, dla wszystkich – a pismami niewielkimi, partyjnymi, związanymi z orientacjami politycznymi. Ta różnica jest bardzo wyraźna. Natomiast w Polsce tej granicy nie ma albo jest bardzo zarta, a opcje polityczne są widoczne po otwarciu gazety w sposób dość agresywny. Sytuacja po 1989 roku (wynikła z nieprawidłowej parcelacji RSW) jest taka, że na rynku większość pism jest uwiązana bądź pieniędzmi, bądź zależnościami politycznymi. Istnieje pewna jednostronna gra interesów.

Adrian Lesiakowski: *A jaka jest sytuacja dziennikarzy w tym nowym okresie dla polskiej prasy?*

Dr hab. Wojciech Chudy: Jeżeli chodzi o dziennikarzy, to trzeba powiedzieć (za Andrzejem Gelbergiem z „Tygodnika Solidarność”), że teraz istnieją trzy grupy. Największa liczba dziennikarzy to ludzie, którzy pracowali w pismach oficjalnych przed 1989 rokiem, osoby związane z jedną władzą PRL. Są to ludzie bardzo dyspozycyjni. Dzisiaj szybko przetrzucili się w kierunku innych dysponentów. Są to przy tym często profesjonalni pracownicy. Druga grupa to dziennikarze „przywoici”, którzy się opierali władzy komunistycznej i działali w opozycji, w

zw. „podziemiu”. To dziennikarze bardziej ideowi niż profesjonalni. Dla nich ważniejsza jest sprawa niż robota. Wykonują swoją pracę dość nonszalancko, często „po łebkach”, choć żarliwie. Trzecia, bardzo duża grupa, to ludzie młodzi. Oni bardzo łatwo „chwytają rynek”, zazwyczaj reprezentują chwiejną etykę, bardzo łatwo ich modelować. Dużą rolę w dzisiejszej sytuacji polskiej prasy odgrywa brak kodeksu etyki dziennikarskiej. Choć nie można tylko narzekać. Nowe wartości z trudnością się przyjmują, ale obraz nie jest aż tak czarny. Oczywiście wielką sprawą jest wolność słowa i przekazu. W Polsce dziś można doszukać się prawdy czytając gazety. W TV i Radiu – zwłaszcza publicznych – jest dzisiaj wiele rzetelnej informacji, wysoka kultura przekazu i najczęściej jest respektowana etyka. (Zaznaczmy jednak, że rozmawiamy w marcu 1995 roku.)

Przemek Więczkowski: *Czy istnieją zasady, którymi rządzi się informacja polityczna?*

Dr hab. Wojciech Chudy: Istnieją podstawowe zasady informacji telewizyjnej. W Stanach Zjednoczonych stacja TV, która dopuszcza informacje polityczne w swoim programie, musi spełniać pewne warunki. Są trzy zasady rządzące takimi programami publicystycznymi: 1/ każda opcja polityczna musi mieć ten sam czas antenowy, 2/ nie wolno cenzurować wypowiedzi żadnej ze stron, 3/ problem musi być przekazany z możliwie wszystkich punktów widzenia. Te trzy zasady warto popularyzować. Nie znaczy to, że wszystko jest dozwolone. Istnieją jednak wartości, wo-

bec których można ograniczyć wolność mass mediów. Są to: obyczaje, dobro dzieci i młodzieży, tajemnica państwowa, godność i prywatność jednostki (nie dotyczy to osób publicznych, które muszą być wystawione w sposób szczególny na światło mediów).

Paweł Ziembra: *Czy wolność prasy polega również na tym, że dopuszcza się na rynek pisma fałszujące rzeczywistość?*

Dr hab. Wojciech Chudy: Jeżeli pismo czy wydawnictwo jednoznacznie zachęca do gwałtu, do wojny, sieje nienawiść, to może i powinno zostać zawieszona. Były takie przypadki nawet w Polsce. Pojawia się tutaj fenomen ryzyka tolerancji wobec marginesu. Demokracja zakłada, że kultura znosi tego typu margines, że te elementy są nieistotne. Jednak nie zawsze to założenie się sprawdza w praktyce i bywa niekiedy tak, że margines zdominuje większość i demoralizuje ją. Tutaj bardzo ważna jest funkcja krytyki prasowej. Krytyka ukazuje świadomość, że nasz świat jest niedoskonały. Sądzę, że zbyt mało jest krytyki rzeczywistości, szczególnie w pismach katolickich, gdzie ten punkt widzenia jest prawie nieobecny albo słyszy się tylko narzekanie. Jednak ważniejsze jest oczywiście widzenie pozytywności bytu. Dlatego w większości pisma powinny być nastawione na krytykę, na poprawianie, ale nie powinny tracić pozytywnych wartości, w imię których dokonuje się tej krytyki, takich jak godność, prawda oraz wolność.

Jacek Wojtysiak: *Dzięki mass mediom, to co było niegdyś pewnym odchyleniem od normy, zjawiskiem wyjątkowym, dzisiaj staje się normą. Np. pewne postawy obyczajowe są nie tylko tolerowane, ale wręcz upowszechniane. Zatem człowiek, który nie postępuje według tych norm, zaczyna mieć kompleksy, że jest w jakimś sensie gorszy. Jaka jest w tej kwestii rola mass mediów?*

Dr hab. Wojciech Chudy: Proces ten – naprawdę bardzo chory – wiąże się z tym, że jesteśmy na wstępnym etapie przeistaczania się naszej kultury. Jest to zachłyśnięcie się rynkiem, nowością. Rzeczywiście lansuje się pewne typy zachowania, czy też wartości, które są nowe, szokujące, jak np. zupełny luz w sferze seksu. Media, które upowszechniają tego typu wartości stawiają na zysk, popularność, sensację. Natomiast pozytywność bytu, godność, czy prawa człowieka są tracone z pola widzenia...

Jacek Wojtysiak: *Chciałbym jeszcze zapytać o manipulację. Czy byłby Pan skłonny dopuścić pewne zachowania mediów podobne do manipulacji jak np. ukrywanie pewnych treści w obawie przed negatywnymi konsekwencjami?*

Dr hab. Wojciech Chudy: Teoretycznie, w niektórych sytuacjach, należałoby to zaproponować, natomiast zaraz powstaje problem, kto o tym zadecyduje, czy właśnie dana informacja może wywołać wzburzenie czy zgorzelenie. Ale rolą dziennikarza i tak jest dotarcie do tych wiadomości, bo główne miejsce w ethosie dziennikarza zajmuje odkrywanie prawdy. Sądzę, że w praktyce do-

konuje się tutaj realny kompromis pomiędzy faktami, których się stara nie ujawniać, pomiędzy informacjami tonącymi w cieniu gabinetów a docieklivością prasy.

Problem: manipulacja a wychowanie jest tematyką bardzo trudną. Istotą manipulacji jest bowiem pewna skrytość. Ten, kto manipuluje kimś drugim, ukrywa przed nim dwie rzeczy: cel, jaki ma naprawdę oraz środki manipulacji. Np. ktoś podsuwa narkotyki, ale nie mówi, że chodzi mu o pieniądze i że korzysta z psychologii ludzi młodych lubiących trochę „haju” w życiu, chociażby w postaci muzyki czy tańca.

Cała trudność polega na tym, że manipulacja jest podobna do wychowania, gdzie również istnieje pewien element ukryty. W metodach nauczania jest wiele sposobów, żeby łatwiej przekazać wiadomości. Odkrycie całej wiedzy stworzyłoby bardzo wielki szum informacyjny. Potrzeba dużo uwagi, żeby odkryć manipulowanie, pewne chwytły manipulacji, które mają prowadzić w kierunku, którego się samemu nie wybrało. Istotą manipulacji jest bowiem kłamstwo, czyli świadome wprowadzenie drugiego człowieka w błąd.

Chcę powiedzieć, że jednak istnieją wyraźne różnice pomiędzy wychowaniem a manipulacją. Człowiek wychowujący drugiego człowieka ma na celu dobro tego człowieka – nie jest to działanie destruktywne, jak w przypadku manipulacji. W rezultacie bowiem człowiek, który jest nieświadomie prowadzony, jest poddany procesowi destrukcji. Ponadto wychowujący i wychowywany idą tą samą drogą, tzn. ojciec wpaja swojemu synowi pewne wartości, które sam realizuje w życiu – to również odróżnia wychowanie od manipulacji. Papież będąc w 1979 r. w Częstochowie mówił, że wychowanie powinno akcentować rozwój człowieka, rozwój, który musi być harmonijny. To jest cel wychowania. Inaczej w manipulacji. Bardzo niebezpieczne jest zatarcie owych różnic.

Opracował **Przemysław Więczkowski**.

Druga część rozmowy z dr hab. Wojciechem Chudym na temat miejsca filozofii w szkole ukaże się w jednym z najbliższych numerów „Scriptores Scholarum”.



„Akcent” narodził się jako almanach w Lublinie, w roku 1980; jego powstanie urzędnicy państwowi i partyjni przyjęli z rezerwą. Zalegalizowany jako kwartalnik po Sierpniu 1980 roku, podejmował tematykę kontrowersyjną – odwołując się do tradycji paryskiej „Kultury” rozpoczął tworzenie własnego programu. Wyznacznikami koncepcji „Akcentu” były trzy zagadnienia – jedność literatury polskiej

bez podziału na „kraj” i „emigrację” jako sąd wartościujący, „Mała Ojczyzna” jako fundament kultury narodowej, współpraca i dialog z sąsiadami Litwinami, Ukraińcami, Czechami, Węgrami, Niemcami.

Redaktorzy „Akcentu” nie są dziennikarzami, to przede wszystkim literaci i pracownicy nauki. Kwartalnik podejmuje temat wzajemnego przenikania się sztuki i nauki. Redaktorem Naczelnym jest od samego początku Bogusław Wróblewski, polonista z UMCS, zaś sekretarzem redakcji – Waldemar Michalski. Są bardzo zaangażowani w swoją pracę i emocjonalnie związani z kwartalnikiem.

Nie uciekano przed tematyką trudną i bolesną. Podejmowano temat wzajemnego przenikania się kultur – stąd współpraca z pismem wielu twórców spoza Polski, a między nimi Istvana Kovacsa, węgierskiego poety i eseisty, Tomasza Venclovy, profesora slawistyki w Yale, rzecznika porozumienia Litwinów z Polakami, Mykoły Riabczuka, ukraińskiego poety i komparatysty (przetłumaczył m.in. Wojtyłę, Herberta, Miłosza, Konwickiego), Karla Dedeciusa – niemieckiego tłumacza literatury polskiej i znakomitego znawcy jej dziejów.

„Akcent” interesuje się nie tylko pograniczem kultur; bada także emigracyjne enklawy kulturowe. Stąd też żywa współpraca z eseistami mieszkającymi obecnie poza granicami państwa – Stanisławem Barańczakiem, Danutą Mostwin, Wacławem Iwańczukiem.

Jednym z głównych motywów „akcentowych” publikacji jest problem efektu kulturowego, jaki pojawia się w strefach, gdzie sąsiadują ze sobą różne narodowości i gdzie stykają się (zderzają lub przenikają) odmienne tradycje i systemy wartości. Dotyczy to szczególnie Europy Środkowej i emigracyjnych enklaw kulturowych. „Akcent” zainicjował poważne zainteresowanie tymi tematami przed kilkoma laty, kiedy były one jeszcze zakazane przez cenzurę. Zostały im także poświęcone trzy „monograficzne” numery – 3/1987, 1-2/1990 i 2-3/1992 – pt. „Na pograniczu narodów i kultur”.

Interesującą praktyką redakcji stało się publikowanie numerów „monograficznych”, skoncentrowanych wokół jednego tematu. Ukazały się m.in. numery poświęcone „Powstaniu listopadowemu w literaturze i sztuce” (nr 2/1981); „Na dawną chwałę Polaków poglądając” (stosunki kulturowe polsko-austriackie, w 300 rocznicę odsieczy wiedeńskiej) – 3/1983; „Powstanie warszawskie w literaturze i sztuce” – 3/1984; „Dziecko w kulturze” – 4/1984; „Węgrzy i o Węgrach 170 – 1/1986; „Chłopi – twórcy kultury” (numer poświęcony podmiotowej roli chłopów w kulturze) – 4/1986; „Karol Wojtyła – poeta, dramaturg, filozof” – 4/1988; „Komizm, humor i groteska w kulturze Europy” 2-3/1991 oraz inne.

Od wielu lat „Akcent” popularyzuje literaturę polską tworzoną na obczyźnie – prezentuje sylwetki pisarzy emigracyjnych wraz z omówieniami ich twórczości zamawianymi u najbardziej kompetentnych krytyków i historyków literatury.

Na łamach „Akcentu” miało miejsce wiele udanych debiutów artystycznych (np. Edy Ostrowskiej, Marcina Świetlickiego, Piotra Szewca czy ks. Andrzeja Wiercińskiego). Prezentowano także twórczość licznych plastyków (m.in. Andrzeja Czeczota, Jerzego Dudy-Gracza, Jerzego Jarnuszkiewicza, Jagi Karkoszki, Ryszarda Lisa, Mariana Makarskiego, Tibora Szervatiusza, Jana Lebensteina, Zofii i Henryka Szulców, Andrzeja Urbanowicza, Rolanda Grünberga, Tomasza Zawadzkiego, Eugeniusza Żaka i innych.

Redakcji udało się wytworzyć ścisłą więź między środowiskiem młodych humanistów z różnych ośrodków uniwersyteckich a środowiskiem twórców – „Akcent” nie istnieje wyłącznie jako czasopismo, lecz także jako ośrodek skupiający inteligencję twórczą i naukową nie tylko z Lublina. Dużym zainteresowaniem cieszą się comiesięczne tzw. „Wernisaże literackie Akcentu”. Gościli tu i prezentowali swoją twórczość znani twórcy, m.in. Tadeusz Chabrowski (USA), ks. Wacław Oszejka, Anna Frajlich (USA), Gert Heidenreich (RFN), Irena Sławińska, Bohdan Zadura, Krzysztof Paczuski, Zbigniew Strzałkowski i wielu innych. Gośćmi „Akcentu” byli także Tomas Venclova, Istvan Kovacs, Stanisław Barańczak, Jan Błoński, Akos Engelmajer, Ryszard Kapuściński, Erich Loest i inni.

Redakcja „Akcentu” stara się też wpływać na proces dojrzewania tożsamości kulturowej małych regionów i miejscowości, często o pięknych tradycjach, np. Lubartowa (nr 3/1993), Zwierzynica i Roztocza (nr 4/1993).

Wiele uwagi „Akcent” poświęca dramaturgii polskiej i współczesnemu życiu teatralnemu. Tu ukazały się eseje najwybitniejszych znawców teatru np. Mariana Ra-

wińskiego, Ireny Sławińskiej, Jacka Sieradzkiego, Grzegorza Godlewskiego, Leszka Kolankiewicza, Michała Boniego oraz monograficzne artykuły na temat najciekawszych polskich teatrów poszukujących: Sceny Plastycznej KUL, Teatru „Gardzienice”, „Provisorium” i innych.

„Akcent” jest czasopismem niezależnym, utrzymuje się z dotacji budżetowych oraz wpłat instytucji i osób zainteresowanych polską kulturą i podejmowanymi przez czasopismo problemami. W latach osiemdziesiątych „Akcent” był dwukrotnie zawieszany (po 13.XII.1981 r. i na początku 1985 r.), ale środowisku artystycznemu udało się odzyskiwać tytuł w niezmienionej postaci. Czasopismo redagowane jest w Lublinie, ale 70% nakładu (obecnie średnio 2.5 tys. egzemplarzy) rozchodzi się poza Lubelszczyzną.

Ideą kwartalnika jest tworzenie wartości ponad podziałami, przełamywanie różnych barier i podziałów.

W obszarze autorów i materiałów „Akcent” nie stosuje kryteriów ani politycznych, ani instytucjonalnych, ani pokoleniowych.

Redaktorów interesuje wszystko to, co znaczące i ważne – mówią w „Akcentcie”.

Opracował: **Łukasz Garbał**

„Akcent” naprawdę – „Akcent” na prawdę

Spotkanie Redakcji „Akcentu” z Redakcją „Scriptores Scholarum”
w przedwojennej kamienicy przy ul. Okopowej 7 (parter)
w dniu 11.04.1995 r.

Sławomir Żurek: Jak Redakcja „Akcentu” rozumie rzeczywistość „Małej Ojczyzny”? Wszak wiele mówi się o procesie decentralizacji kultury, tworzeniu prowincji. Dzisiaj takie ośrodki jak Warszawa, Gdańsk czy Kraków, które kiedyś były centrami, są postrzegane w kulturze także jako prowincje. Jak Państwo ustosunkują się do tego problemu?

Bogusław Wróblewski: Jeszcze dziesięć lat temu, prowincję definiowałem nie w sensie geograficznym, ale w sensie duchowym. Kilkanaście lat temu słowo „prowincja” miało znaczenie pejoratywne i o ile uważało się, że centrum jest nastawione na wielkie cele, których realizacja jest czasem połączona z dużym ryzykiem, o tyle na prowincji te cele miały być skalkulowane minimalistycznie, a ich realizacja nastawiona na jak najmniejsze ryzyko. Dzisiaj pojęcie prowincji uległo rehabilitacji. Co do nas, to z prowincją, z pograniczem wiązała się cała seria tomów quasi-monograficznych „Na pograniczu narodów i kultur”. Już od roku 1983 podejmowaliśmy ten temat, in-

ne redakcje robiły to znacznie rzadziej bojąc się represji i ingerencji cenzorskich. Podejmowaliśmy na łamach „Akcentu” problemy pogranicza wschodniego i zachodniego oraz enklaw kulturowych na emigracji. Interesowało nas ścieranie się różnych wzorców kulturowych, obyczajowych, ich odmiennosć i wzajemne przenikanie. Dotyczy to także styku kultury polskiej i żydowskiej. Przykładem może być twórczość autorki z pogranicza, co najmniej potrójnego: polskiego, żydowskiego i ukraińskiego, pani Zofii Grzesiak, której teksty kilkakrotnie publikowaliśmy.

Tadeusz Szkołut: Warto wspomnieć, jeśli już o tym mówimy, że niedawno „Akcent” opublikował opowiadania Janiny Bauman, które dotyczą również problematyki inności, wyobcowania.

Bogusław Wróblewski: Z prozą pani Janiny Baumanowej, jak też z prozą pani Zofii Grzesiak, wiąże się problem poszukiwania tożsamości, poszukiwania własnych korzeni etnicznych, kulturowych, własnego systemu wartości. To wydaje mi się bardzo

istotne właśnie w kontekście pogranicza i przemieszania kulturowego.

Dominik Opolski: Zwróćmy uwagę na potrzebę tożsamości z miejscem, na potrzebę „bycia skądś”. Dobrze widać to chociażby w średniowiecznym zwyczaju dodawaniu do imienia nazwy miejsca pochodzenia np. Biernat z Lublina. Następuje jednak uniwersalizacja, centralizacja. Prowinacja była, już chyba od okresu za-
borów, niedoceniana, spychana.

Tadeusz Szkołut: Faktem jest, że wracamy do „Małych Ojczyzn”, staramy się rozwijać lokalne tradycje, budować lokalne wspólnoty, ale trzeba jakoś określić stosunek pomiędzy „Małymi Ojczyznami” a „Dużą Ojczyzną”. „Duża Ojczyzna” działała jeszcze do niedawna uniwersalizująco, co wiązało się z określoną linią polityczną państwa. To jednak nie znaczy, że pojęcie „Dużej Ojczyzny” zostało spisane na straty. Jeśli rozwijamy lokalne tradycje, szukamy własnych korzeni, to chyba nie należy zapominać i o pewnych wspólnych wartościach, wspólnym dobru. Jest tylko problem: jak to zdefiniować? I my staramy się tę problematykę w „Akcentie” podejmować, już w sposób bardziej konkretny. Polska wchodzi obecnie w kulturę postmodernistyczną i przyjdzie nam wkrótce zetknąć się z problemami separatyzmów lokalnych, z wzajemną izolacją różnych grup, które dążą do własnych celów. I jak to wszystko zespolić? Gdzie znaleźć wspólną płaszczyznę, wspólne wartości, które jednocześnie nie działałyby ujednolicająco?

Waldemar Michalski: Mówienie o „Małych Ojczyznach” na pewno nie

wiąże się tylko z decentralizacją, natomiast pojęcie „centrum” zostało zwulgaryzowane w systemach totalitarnych, które narzucały określony system władzy i trzymały w garści wszystko, co znaczące, a więc siłą rzeczy wszystko, co daleko od stolicy, od centrum władzy, było traktowane marginalnie. Upowszechnił się wtedy negatywny wzorzec prowincjonalizmu...

Dominik Opolski: ...który trzeba odróżnić od regionalizmu.

Waldemar Michalski: Natomiast jeżeli już mówimy o „Małych Ojczyznach”, to szalenie istotną sprawą, którą podniósł już Tadeusz, jest to, że „Mała Ojczyzna” nie stoi w opozycji do ojczyzny-matki, która jest gwarantem rozwoju i normalności owych „Małych Ojczyzn”, które oczekują – i słusznie – wsparcia dla swoich działań regionalnych ze strony władz centralnych.

Tadeusz Szkołut: Jednak nie można dojść do poczucia wspólnoty w ramach „Wielkiej Ojczyzny”, jeśli nie jesteśmy gdzieś zakorzenieni.

Waldemar Michalski: I dlatego rolę m.in. czasopism takich jak nasze jest pomoc w odkrywaniu tradycji lokalnych, dziejów, którymi chwalić się może wiele miasteczek dotychczas zapomnianych jak np. Lubartów, który żył w cieniu Lublina, a okazuje się, że z tym miejscem był związany i Kochanowski, i Klemens Junosza Szaniawski – piewca Lubartowa, i Prus, i wielu innych pisarzy. W przypadku naszej „Małej Ojczyzny”, czyli Lublina i Lubelszczyzny ważna jest obecność nacji żydowskiej, która do niedawna współtworzyła obraz kultu-

ralny tego miejsca. Na przykład przed wojną w Puławach istniał bardzo aktywny ośrodek literacki, wydawane było m.in. poważne pismo literackie w języku jidysz.

Monika Adamczyk-Garbowska: Jeśli chodzi o kulturę żydowską, to została ona zniszczona w powojennej świadomości polskiego społeczeństwa, mimo, że historia żydowskich miast i miasteczek jest świetnie udokumentowana w języku jidysz, w hebrajskim czy w angielskim. Jest to sprawa zmiany świadomości, zmiany podejścia. Jeśli ktoś pisze o przedwojennym Lubartowie, to musi sobie uświadamiać, że polskie tradycje tego miasta nie są jego jedynymi tradycjami.

Adrian Lesiakowski: Państwo mówiliście, że zadaniem kwartalnika w „Małej Ojczyźnie” jest opisywanie tejże „Małej Ojczyzny”, prezentowanie, przywoływanie tradycji, ale nie sposób tu uciec od problemu kształtowania wartości. Obecnie wiele pism podejmuje tego typu działania, ale wszyscy uciekają od samookreślenia wartości, jakie pismo preferuje i stara się u odbiorcy kształtować.

Tadeusz Szkołut: Staramy się o tym mało mówić, my po prostu realizujemy to w praktyce. Myślę, że dla sprawy np. tolerancji więcej robią nie ci, którzy głośno i deklaratorywnie postulują potrzebę tolerancji, ale ci, którzy coś konkretnego w tej sprawie robią. Jeśli publikujemy np. teksty ukraińskich, białoruskich czy litewskich autorów, którzy podejmują kontrowersyjne sprawy z zakresu naszej wspólnej historii, to działamy na rzecz tolerancji.

Waldemar Michalski: Istotna jest także tolerancja w zakresie uczciwego spojrzenia na odmienności artystyczne, a nie tylko światopoglądowe czy kulturowe. Autor, aby być oryginalnym, musi być inny, musi być sobą. W „Akcentach” drukowaliśmy zarówno poezję lingwistyczną, jak też poezję powracającą do tradycji. Ważne jest, aby wnieść nowe wartości do systemu etycznego, do świata sztuki. „Etyka” równa się tu „poetyka”.

Łukasz Garbał: A jeśli już mowa o tolerancji, to czy „Akcent” jest tolerancyjny wobec konkurencji literackiej z pobliskiej ulicy? Mam tu na myśli redakcję „Kresów”.

Waldemar Michalski: Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że koledzy z „Kresów” są traktowani przez nas uczciwie. Kiedy jestem poza Lublinem, a mam mówić o lubelskim środowisku literackim, to mówię zarówno o obu związkach literackich – Związku Literatów Polskich i Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich, jak i o wszystkich pięciu lubelskich kwartalnikach, które współpracują ze sobą chociażby na zasadzie wymiany materiałów. Koledzy z „Kresów” praktykowali u nas i w pewnym momencie doszli do wniosku, że jeden z programów naszego działania tzn. kresowość może stać się hasłem wywoławczym dla ich przedsięwzięcia czasopiśmienniczego. Myślę, że razem tworzymy znakomitą płaszczyznę współdziałania dla dobra kultury, także w „Małej Ojczyźnie”.

Bogusław Wróblewski: Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na fakt, że

problematyka „Małych Ojczyzn” nie jest tematem, który pojawił się dopiero po roku 1989. Pewne rzeczy były robione wcześniej, a w latach osiemdziesiątych nie było to łatwe. Wystarczy przypomnieć o problemie cenzury, która mocniej działała w centrach, w mniejszym stopniu sięgała na prowincję. W Lublinie w „Akcent” czy we Wrocławiu w „Odrze” można było – o ile się chciało – zrobić znacznie więcej niż np. w Krakowie czy w Warszawie.

Przemysław Więczkowski: Wróćmy może do sprawy wartości. Co jest w „Akcent” najważniejsze?

Bogusław Wróblewski: Jeśli chcemy to nazywać, to trzeba się odwołać do pojęć podstawowych jak na przykład **prawda**, o której należy

mówić bez wstydu i ze świadomością, że jest jedna.

Tadeusz Szkolut: Dla nas, jako dla pisma literackiego, najwyższą wartością jest chyba rzetelność artystyczna.

Bogusław Wróblewski: Istotna jest dla nas tolerancja w kategoriach estetycznych, jesteśmy otwarci na różne języki artykulacji humanistycznej prawdy o świecie. Bliskie jest nam i było – szczególnie przed 1989 rokiem – hasło „kultura ponad podziałami”. Staraliśmy się zawsze dowodzić, że kultura polska jest jedna mimo istnienia wówczas dwóch obiegów informacyjnych i kulturalnych. Zawsze, a szczególnie redagując takie czasopismo jak nasze, trzeba mieć na uwadze uczciwość i prawdę.

Opracował: **Adrian Lesiakowski.**

Łukasz Garbal

Jedność literatury i sztuki

Spotkanie z Waldemarem Michalskim, sekretarzem redakcji kwartalnika „Akcent”

21. lutego A.D. 1995, w trzeci dzień tygodnia, to jest we wtorek, w Pliszczynie, nie opodal miasta Lublina, rozpoczęły się zabawne i Międzyszkolne Warsztaty Dziennikarskie.

Ten wstęp jest niezbędny, aby zrozumieć zadziwienie, jakie dokonało się w słuchaczach pod wpływem słów, wylewających się obecnie na kartkę papieru. Konieczne jest umiejscowienie wydarzeń w określającej je czasoprzestrzeni, nauczyłem się tego od Gombrowicza.

Pogrążeni w zadumaniu, zadziwieni niespotykaną rzeczywistością, opieramy się o schody plecami. oczy wystawiając ku nieśmiałym słonecznym promieniom. Zmęczone powieki niespokojnie drżą. W głowie tkwi jedna myśl.

Niemal nie zwróciliśmy uwagi na nieśmiałego człowieka, palonego wewnętrznym ogniem, o roziskrzonych oczach. Okulary w rogowej oprawie barwy sadzy, idąc po stopniach kamiennie stojących zaciska usta w wąską kreskę; widocznie jest zmęczony. W rękę ściska używaną, papierową teczkę, z plikiem zapisanych arkuszy papieru. Uśmiecha się z wysiłkiem, podnosi głowę, zapewne będzie mówił, mówił cicho.

„Proszę Państwa: króciutko, króciutko, bo temat jest bardzo obszerny, moglibyśmy o wielu rzeczach mówić”.

Do redagowania każdego pisma, czy kwartalnika, czy dziennika, niezbędne są trzy czynności – gromadzenie materiałów, ich opracowanie i rozpowszechnianie. Profesor polonistyki powiedziałby – podobnie postępuje się w przygotowaniu pracy naukowej traktującej o literaturze.

Czyżby zatem jednoznaczność redagowania z tworzeniem dzieła literackiego?... Niestety nie. Redaktor jest skromnym rzemieślnikiem w porównaniu z artystą, literatem.

Spójrzmy więc bliżej na ów rzemieślniczy warsztat dziennikarza. Gromadzenie materiałów pozwala nam na wybranie rzeczy odpowiednich dla nas. Trzeba, byśmy zorientowali się na początku „*co przystoi nam opublikować w danym czasopiśmie, co „mieści się” w profilu naszego czasopisma i co ktoś ma do powiedzenia*”. Pozwoli to na uniknięcie kłopotów z wizerunkiem naszego pisma. Konieczne jest ustawienie pewnego progu wymagań, które trzeba spełniać – zarówno jako dziennikarz, redaktor i czytelnik. „*Bystry człowiek szybko rozszyfruje, kto drukuje u nas, jakie teksty publikuje i co za tym nazwiskiem stoi*”; trzeba wymagać od autora ciężkiej pracy. Jeżeli doszliśmy do wniosku, że dany materiał chcemy drukować, rozpoczyna się jego opracowanie. Następuje przepisywanie tekstu i uzgadnianie zmian oraz skrótów z autorem. „*Bardzo żmudna praca. W naszej redakcji trzy osoby czytają każdy tekst. To są często teksty eseistyczne, a więc w granicach dwudziestu stron maszynopisu. Jest to materiał, który zaczyna się czytać w redakcji, a o drugiej po północy kończy w domu, po to, żeby zaprosić na spotkanie jeszcze autora w tym samym tygodniu i powiedzieć mu – musimy pana tekst skrócić o 1/3, do 15 stron maszynopisu co najmniej*”. Oczywiście autor podnosi krzyk, bowiem w ogóle „*autorzy niechętnie godzą się na skróty i uważają, że to, co się skraca, jest właśnie tym najważniejszym, co powinno zostać; ale, jeśli opinia trzech czytających jest podobna – skracamy, ewentualnie proponujemy autorowi samodzielne opracowanie tekstu.*” – mówił Waldemar Michalski, przecierając przy tych słowach szkła.

„*Później cały proces techniczny*”. Przepisywanie, korekta... Jest to praca trudno zauważalna, ale niezmiernie ważna. Niełatwo wyobrazić sobie tekst bez wielu technicznych uwag, zaleceń, wskazań.

Następnym etapem – ciągnął sekretarz redakcji „Akcentu” – jest rozpowszechnianie pisma; „*udostępnianie, czyli publikowanie i kolportowanie. Kolportowanie w dzisiejszych czasach jest wysoce skomplikowane. 1/3 kiosków to kioski „Ruchu”, które przyjmują do sprzedaży specjalistyczną prasę o pewnych ambicjach. Natomiast kioski prywatnie handlują tym, co się szybko sprzedaje, co daje duży obrót, czyli rajstopami i materiałami z pogranicza pornografii i taniej sensacji*”. Na szczęście są jeszcze księgarnie z ambicjami; tym niemniej cały proces kolportażu trwa ponad pół roku.

Pytacie, jak powstał „Akcent”?... „*Pismo, jako pomysł, narodziło się w grupie szalonych młodych ludzi. Do szaleńców podobno należy zwycięstwo. I wtedy, w 1980 roku, kiedy byłem opiekunem Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich, młodzi zbuntowani, wbrew stereotypom, doszliśmy do wniosku, że warto zacząć wydawać w Lublinie czasopismo literackie*”. Był to pomysł zupełnie nowy i nierealny. Tak przynajmniej mówiono. Zarejestrowanie nowego tytułu było rzeczą nieprawdopodobną. Znalazł się jednak człowiek z głową pełną zawirowanych pomysłów, który miał wprost niesamowitą energię, dwudziestoczteroletni wówczas asystent prof. Świącha z polonistyki UMCS, Bogusław Wróblewski. On to został redaktorem naczelnym pisma; wcześniej zdołał już wydać prawie dwadzieścia tomików wierszy lubelskich poetów w serii Lubelskie Prezentacje Poetyckie. Uznano zatem, że jest jedyną osobą mogącą doprowadzić do powstania ogólnopolskiego pisma, redagowanego przez lite-

ratów; „Akcentu” bowiem nie prowadzą dziennikarze, a literaci. Jest to niezmiernie charakterystyczne.

Wróblewski pojechał do Ministerstwa, gdzie odprawiono go z kwitkiem; On jednak nie rezygnował; „*wyrzucano go jednymi drzwiami, wracał drugimi*”. Udało się w końcu, po serii niepowodzeń; „*Jedną z niezbędnych cech działania dziennikarza jest chęć i postanowienie. Wręcz pożądanie celu. To musi być absolutne przeświadczenie, że rzecz się uda! Trzeba wierzyć w to. To się musi udać. To trzeba osiągnąć. Ta wiara w swój sukces powinna być cechą waszego postępowania*” – nadspodziewanie młodym głosem powiedział Waldemar Michalski.

Były problemy ze znalezieniem wydawcy – opowiadał dalej – bowiem w regionie była tylko jedna oficyna wydawnicza: Wydawnictwo Lubelskie (KAW powstał nieco później); nikt nie chciał słuchać o wydawaniu kwartalnika literackiego; zgodzono się na „almanach poświęcony sprawom literatury i sztuki”. Szczęściem Wydział Kultury zagwarantował pieniądze, mimo niejasnego politycznego wydźwięku sprawy, uważano bowiem literatów za rasowych opozycjonistów; od tamtych chwil minęło szesnaście lat – „*w międzyczasie ten młody redaktor naczelny nieco posiwiiał, ale nadal jest naczelnym i nadal jest skuteczny*”.

„*Chciałbym zaakcentować* – mówił dalej sekretarz redakcji – że „Akcent” w ciągu kilkunastu lat szczęśliwie przeżył wszelkie przeobrażenia polityczne w kraju”, mimo, że w różnych latach usiłowano go zniszczyć. „*W Lublinie są dwa uniwersytety – jest UMCS i jest KUL*”. Władze często próbowały wygrywać sprawy, nastawiając uniwersytety przeciwko sobie. „*Mówiono: „tamci z tamtego uniwersytetu to chuligani, a tamci to sami dewoci”*”. Dziel i rządź. „*Natomiast zespół redakcyjny „Akcentu” uformował się w ten sposób, że jeżeli naczelny był z UMCS, to sekretarz redakcji z KUL*”, i podobnie w całej redakcji. Podejście ekumeniczne, prawda? Tymczasem urzędnicy nie mogli tego zrozumieć. To było myślenie i działanie ponad podziały.

Pismo przeżywało – przeżywa – problemy natury finansowej; często „*liczono się z tym, że nie będzie pieniędzy na pensje, druk, honoraria; nikt się tym nie przejmował*”. Obecnie zaś „*pod koniec każdego roku, kiedy przychodzą rachunki z drukarni, kiedy przychodzą rachunki za papier, dostajemy gęsiej skórki*”.

W czasie stanu wojennego „Akcent” został, jak wszystkie inne tytuły, zawieszony. Dzięki staraniom m.in. profesora Skrzydły (UMCS) udało się wznowić wydawanie pisma. Mimo to, w roku 1984 ponownie „*zawieszono pismo pod zarzutem „uprawiania kontestacji marksizmu*”. Było to groźne oskarżenie, bo nikt nie wiedział, o co chodzi, a brzmiało groźnie!..”. Stało się to bezpośrednio po opublikowaniu materiałów mocno ciętych przez cenzurę. Wydawnictwo Lubelskie nie chciało dalej współpracować z „Akcentem”. Udało się jednak uratować pismo, tłumacząc w wielu urzędach, że jest to pismo wydawane w Lublinie, ale podnoszące wszystkie wydarzenia w regionie do skali ogólnopolskiej, promujące Lubelszczyznę w kraju i za granicą.

Po roku 1989 nie ubyłoby problemów finansowych; „*papier z tygodnia na tydzień był droższy. Drukarnie coraz kosztowniejsze; trzeba było wydawać ogromne pienią-*

dze, żeby się utrzymać. Sprzedaż nie pokrywała wydatków, stanowiła jedynie skromną część budżetu, jaki mieliśmy do dyspozycji, natomiast 90% pieniędzy trzeba było zdobywać”. Rozpoczęły się wędrowki po fundacjach; nie poskąpił grosza Wydział Kultury, napływają wpłaty od czytelników z kraju i zagranicy.

„Akcent” jest dobrze odbierany przez czytelników; nie szedł nigdy na smyczy władz, starał się być niezależny i głosić wyważone, obiektywne opinie.

Wypracował też swój program, który stara się wiernie realizować. Po pierwsze, *„literatura polska jest niepodzielna, bez względu na miejsce zamieszkania autora, na miejsce powstania dzieła”*. Po drugie: *„budowanie pomostów między Polską a wschodnimi sąsiadami, między Polską a południowymi sąsiadami, między Polską a zachodnimi sąsiadami, a więc także pogranicze kultur”*. Sprawą trzecią zaś jest *„kwestia fundamentu kultury narodowej, czyli Małe Ojczyzny”*.

Spróbujmy przyjrzeć się bliżej temu programowi. *„A zatem – niepodzielność literatury emigracyjnej i krajowej”*. Kwartalnik zaczął przypominać przemilczanych pisarzy, co spotkało się z wielkimi oporami cenzury; druk numeru poświęconego Łobodzińskiemu trwał ponad rok i dwa miesiące. Nie mówiono wówczas także *„o tym, co nas łączy i o tym, co nas dzieli z sąsiadami”*. Nie było mowy o budowaniu pomostów zrozumienia. Rozpalano namiętności, więc redaktorzy „Akcentu” doszli do wniosku, że trzeba się temu przeciwstawić; *„postanowiono zachować dystans obiektywności – „najlepiej będzie, mówiliśmy, jeżeli na przykład o bardzo drastycznych, dramatycznych sprawach związanych z problemami stosunków polsko-ukraińskich będzie obok Polaka pisał Ukrainiec”*. Z redakcją nawiązał kontakt m.in. Mikołaj Riabczuk z Kijowa, tłumacz Miłosza, Herberta i Wojtyły.

„Nacjonalizm litewski jest bardzo wybuchowy, niezmiernie trudny do przełamania”. Z redakcją współpracował Tomasz Venclova, dobry poeta, *„który swego czasu był wyklęty przez Litwinów za to, że chciał połączyć rękę litewską z ręką polską”*. Dopiero dzisiaj znika wrogość, ale nieufność pozostanie jeszcze długo.

Nawiązano także kontakt z literackim czasopiśmem wydawanym w Debreczynie na Węgrzech. Stałym współpracownikiem „Akcentu” został István Kovács, historyk. Pomógł on przygotować monograficzny numer zatytułowany „Polacy i Węgrzy”. Mówi Waldemar Michalski: *„Przyjaźniliśmy się z Węgrami bezpośrednio, bez udziału Związku Radzieckiego, przez co bardzo krzywo patrzono na nas na górze”*.

Fundamentem kultury jest człowiek; tak mówiono. Fundamentem kultury jest masa; mówiono także i to. Tymczasem podwalinami literatury i sztuki jest więź między ludźmi – powstająca w określonym miejscu na Ziemi, w społeczności zamkniętej, lokalnej, w Małej Ojczyźnie. Człowiek może mówić jedynie o tym, co odczuwa sam, wypowiada się tylko w swoim imieniu, mówi za siebie – tak więc żyje w pewnym określonym miejscu, w niepowtarzalnej czasoprzestrzeni.

„Akcent” odkrywa ojcowizny – ziemie rodzinne – „Małe Ojczyzny”. Wędrował śladami młodego Kochanowskiego. Znalaziono w rejonie ślady pobytu Chopina; pi-

sal on, że Polska to „mazowieckie wierzby i wakacje w Poturzynie”. Odnaleziono Poturzyn – pod Hrubieszowem; Pokazano Roztocze.

„To wszystko trzeba odkryć, pokazać! Człowiek stanowi centrum ziemi i to człowiek jest do odkrycia”. Jeśli badamy przeszłość danej ziemi, łatwo możemy zauważyć jej wielkość – w codzienności; to środowisko tworzy nowe zjawiska literackie, nowych poetów. Opisywanie rzeczywistości poprzez swoje życie jest najpiękniejszym pisarstwem.

A jeżeli ktoś nie lubi pisać... może malować. „Akcent” zamieszcza wiele grafik i plastycy nader chętnie przysyłają swoje prace do redakcji. Wiersze m.in. takich poetów jak ksiądz Pasierb, ksiądz Twardowski, ksiądz Oszejca, znajdują interesujący kontekst plastyczny.

Wszystko jest przekazywane w sposób przystępny, połączony z dowcipem; wiąże się to zapewne z oryginalnością redakcji. Po wydaniu numeru „Karol Wojtyła – poeta, dramaturg, filozof” redakcję spotkała wielka niespodzianka; w informatorze prasy katolickiej wydanym przez Episkopat umieszczono „Akcent” z notką – „bez kuratora kurialnego”... Pismo pełne nieuchwytnych zaskoczeń, głoszące przemyslane prawdy tu-i-teraz i to jest drugą myślą przewodnią „Akcentu”. Mimo zacierania przez lata tradycji ojcowizny, pamięta się tu, że tam gdzie żyje człowiek, tam jest jego świat. Nie ma ludzi prawdziwie samotnych. Ktoś kiedyś powiedział – istnieje wspólnota grzeszników; istnieje wspólnota świętych.

„Jesteście centrum Wszechświata, tam gdzie jesteście wy, tam się wszystko dzieje. I niech trwa w was postanowienie – muszę być, muszę zwyciężyć, zostać dobrym dziennikarzem, dobrym pisarzem, chcę i będę. I to jest przeświadczenie, które zawsze powinno wam towarzyszyć”.

Skończył. Osunął się z wysiłkiem na krzesło. Było nadzwyczaj cicho...

□

*„Słowo jest czynu testamentem.”
„Odpowiednie dać rzeczy – słowo!”*

Cyprian Norwid

Grzegorz Filip

„Kresy” w szkole



KWARTALNIK LITERACKI „KRESY”

Istnieje od 1989 roku

Jest pismem poświęconym literaturze i sztuce
współczesnej

Ukazujący się w Lublinie Kwartalnik Literacki „Kresy” przestał już być postrzegany jako pismo nowe. Wydawany szósty rok zdobył sobie własne miejsce w pejzażu czasopism literackich i literacko-artystycznych w Polsce, obok takich periodyków jak „Tytuł”, „NaGłos”, „Twórczość”, „Akcent”, „Czas Kultury”, „Ogród”, „bruLion” czy „Zeszyty Literackie”. Można by zresztą wymienić wiele młodszych tytułów, czasopism założonych później niż „Kresy” (myślę tu o „Kwartalniku Artystycznym”, „Pracowni” czy „Frazie”), które w pewnej mierze wzorują się na dobrych rozwiązaniach wypracowanych przez lubelski kwartalnik.

„Kresy” jako pismo literackie publikują z założenia przede wszystkim poezję i prozę. Autorami są głównie twórcy powojenni, w tym i najmłodsi, urodzeni w latach 60, twórcy dobrze znani czytelnikowi, jak np. Gustaw Herling-Grudziński czy Tadeusz Konwicki, i mało znani, zapomniani lub debiutujący, wreszcie twórcy polscy jak i obcy.

Obok poezji i prozy główny blok każdego numeru tworzą szkice poświęcone sylwetkom pisarzy, problemom czy zjawiskom literackim bądź konkretnym dziełom. Autorami tych tekstów są krytycy względnie historycy literatury. Trzeba tu zauważyć niewątpliwą wartość poznawczą eseistyki i krytyki zamieszczanej na łamach „Kresów”. Porusza się ona swobodnie po historii literatury polskiej od romantyzmu do współczesności penetrując często obszary mało znane bądź reinterpretując zjawiska uznane i skanonizowane, przez co zaleca się walorami edukacyjnymi. Eseistykę tę, tam gdzie zajmuje się zjawiskami obejmowanymi przez program szkolny (np.

blok romantyczny w numerze 17) można wykorzystać jako alternatywę podręcznikowego widzenia literatury. Natomiast tematy pomijane w szkolnej edukacji literackiej, których w „Kresach” bardzo wiele, mogą posłużyć za uzupełnienie wiedzy i być wykorzystane na zajęciach fakultatywnych.

Na główny korpus każdego numeru składają się zwykle bloki tematyczne skonstruowane z kilku-kilkunastu tekstów. Zjawisko bądź problem oglądany jest wówczas z różnych perspektyw. Najważniejsze jak dotąd bloki dotyczyły Brunona Schulza, Józefa Mackiewicza, Józefa Czapskiego, romantyzmu widzianego dzisiaj, literatury lat 1989-94, tematu zagłady w sztuce i literaturze oraz kręgu paryskiej „Kultury”.

„Kresy” cenione są za patronat nad literaturą emigracyjną. Oprócz dobrze znanych autorów popularyzowały twórczość takich pisarzy jak Zygmunt Haupt, Andrzej Chciuk, Józef Łobodowski, Andrzej Bobkowski, Wacław Iwaniuk, Adam Czerniawski, Sergiusz Piasecki czy Wit Tarnowski. Nie są to nazwiska eksploatowane dziś przez szkolną naukę o literaturze, niektóre z nich jednak są tego bez wątpienia warte.

Ważne dopełnienie twórczości oryginalnej i eseistyki stanowią w „Kresach” listy i wspomnienia pisarzy. Publikacje te poszerzają konteksty spojrzenia na literaturę, wprowadzając element autobiograficzny i intymistyczny.

Pismo literackie nie może się obyć bez krytyki literackiej, która znalazła swe miejsce w działach DIAGNOZY i NOTY. Zamieszczane tam recenzje są obszerne i wyczerpujące, dotyczą najważniejszych zdaniem redakcji książek, które ukazują się w obiegu czytelnicznym. NOTY zaś to dział zbudowany z drobniejszych recenzji, poświęconych innym książkom.

„Kresy” włączają się chętnie w nurt dyskusji literackich, z których wiele same inicjują. Służą temu takie działy, jak PUNKTY WIDZENIA, gdzie publikujemy dwu-i wielogłosy oraz ankiety krytyczne, służy temu również PRZEGLĄD PRASY, dział bardzo obszerny, nie spotykany w takiej formie w innych czasopismach, omawiający najciekawsze wątki tematyczne prasy literackiej, społeczno-kulturalnej i artystycznej i często z nimi polemizujący.

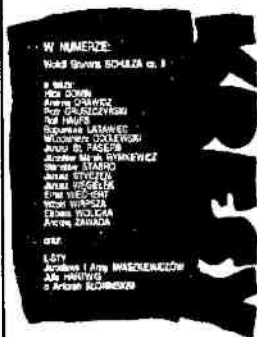
Problematyka artystyczna, która zdomowała się w „Kresach” niemal od początku istnienia pisma, znalazła swoje miejsce w dziale sztuki. Redaktorzy tego działu podejmują wiele inicjatyw, dość wspomnieć ważny i dyskutowany szeroko blok poświęcony modelowi i roli muzeum sztuki (nr 15), blok o sztuce awangardowej (nr 16), o twórczości plastycznej lat 70-tych (nr 19) czy zjawiskach najmłodszych (nr 21).

Edukacyjną przydatność „Kresów” można więc widzieć w kilku aspektach.

- 1) Kwartalnik może się stać źródłem ponadprogramowej wiedzy dla nauczyciela i ucznia, wiedzy dostarczanej na możliwie wysokim poziomie edytorskim.
- 2) Pismo proponuje nowe spojrzenie na twórczość pisarzy i epok minionych tworząc alternatywę dla podręcznika historii literatury.
- 3) „Kresy” próbują określić kontury nowych zjawisk literackich, prowadzą ich krytyczne rozpoznanie zapraszając do współpracy krytyków o różnych punktach widzenia. O takie „gorące” syntezy trudno w prasie tygodniowej („Nowy Nurt”, „Wiadomości Kultural-

ne”), pokoleniowej („bruLion”, „Czas Kultury”) czy pismach związanych z jednym kręgiem autorskim lub jedną szkołą krytyczną („Zeszyty Literackie”, „Twórczość”).

- 4) Lubelski periodyk przynosi wartościowy materiał literacki (proza, poezja, przekłady), który można wykorzystać do interpretacji lub jako wzorzec dla uczniów tworzących własne próby literackie.



KWARTALNIK LITERACKI

„KRESY”

Istnieje od 1989 roku

Jest pismem poświęconym literaturze i sztuce współczesnej

W ostatnich numerach m.in.:

POEZJA: Adam CZERNIAWSKI, Kazimierz NOWOSIELSKI, Witold WIRPSZA, Janusz PASIERB, Krzysztof KARASEK, Wiktor WOROSZYLSKI, Maciej CIŚŁO

PROZA: Erwin KRUK, Zbigniew MACHEJ, Włodzimierz ODOJEWSKI, Kazimierz ORŁOŚ, Janusz ANDERMAN, Janusz WĘGIELEK

SZKICE: Wł. Bolecki o Józefie MACKIEWICZU i Witoldzie GOMBROWICZU

K. Polechoński o Eugeniuszu KORWIN-MAŁACZEWSKIM

A. Sulikowski o Andrzeju BOBKOWSKIM

A. Legeżyńska o Aleksandrze RYMKIEWICZU

A. Niewiadomski o Leo LIPSKIM

A. Poprawa o Czesławie MIŁOSZU

J. M. Rymkiewicz o Adamie MICKIEWICZU

A. Zawada o Jarosławie IWASZKEWICZU

P. Czapliński o Aleksandrze JANTA-POŁCZYŃSKIM

K. Dybciak o LIMANOWSKIM i IŁŁAKOWICZÓW

BLOKI o SCHULZU, HERLINGU-GRUDZIŃSKIM, CZAPSKIM

ROZMOWY z Jackiem TRZNADLEM, Julianem KORNHAUSEREM, Tadeuszem KONWICKIM, Adamem ZAGAJEWSKIM, Jerzym NIEMOJOWSKIM

„Kresy” podają wartościowy materiał literacki przeznaczony dla zaawansowanej publiczności czytelniczej. Każdy zeszyt liczy ponad 250 stron druku. W Polsce ukazuje się wiele pism literackich. Jeśli wybrali Państwo właśnie „Kresy”, zachęcamy do zaprenumerowania naszego kwartalnika dla siebie, dla szkoły, dla biblioteki.

Warunki prenumeraty: 120 tys. zł za rok 1994 (4 numery)

Konto: Stowarzyszenie Literackie „KRESY” w Lublinie
Bank PKO BP II Oddz. Lublin, nr 43528-126175-132

Adres redakcji: ul. Chopina 5, II piętro, 20-950 Lublin 1, skr. poczt. 383

„Kresy” inteligentów

czyli spotkanie Redakcji „Kresów”
z Redakcją „Scriptores Scholarum”

na drugim piętrze secesyjnej kamienicy pod numerem piątym
na ulicy Chopina w Lublinie, 10 kwietnia A.D. 1995

Stawomir Żurek: W jakim stopniu „Kresy” są kresowe?

Arkadiusz Bałajewski: Na ten temat narosło wiele nieporozumień; „Kresy” powstały w mieście, które kresowe nie było nigdy. Jest jednak Lublin miejscem spotkania różnych kultur, narodowości, religii. Tworzy to nader ciekawą atmosferę swobody intelektualnej, co sprzyja rozwojowi kultury.

Mówiąc o „kresowości” pisma, które nazywa się „Kresy” musimy zwracać uwagę na wiele aspektów, i to nie tylko geograficzno-historycznych. Kresowość rozumiemy na przykład jako miejsce pogranicza, ale także stanowiska oddalonego od centrum, czy krańcowość podejścia do tematu. „Kresy” są jednym z wielu pism regionalnych, ale, mam nadzieję, jedynym w swoim rodzaju. Nie zamykamy się bowiem tylko na sprawy lokalne – chcemy być „przekaznikiem” idei pomiędzy „centrum” a pograniczem, między „Wielką” a „Małą Ojczyzną”, rozumianą przez nas jako miejsce ograniczone horyzontem.

Zagłębiając się więc w problemy literatury i kultury wieku dwudziestego. Interesują nas chociażby pewne motywy schyłkowe, nie dość znane; oczywiście wiele miejsca w kwartalniku zajmuje literatura *stricte* kresowa. Dawna i nowsza.

Kresy rozumiane jako prowincja, pejzaż przed oczami; obraz wykorzystywany przez „szkołę gdańską”, z Gunterem Grassem, Aleksandrem Jurewiczem, Pawłem Huelle, Wojciechem Hryniewiczem!

Zwracamy także uwagę na niebezpieczeństwo tkwiące w kresowości nostalgicznej; pokazujemy, jak groźne mogą być Kresy jako mit polityczny, jeśli nie współbrzmiały one ze współczesną wrażliwością, pozbawioną taniego sentymentalizmu. Kresy pojmowane w ten sposób są martwe, pozbawione ducha.

Widzimy więc, jak wiele może zdziałać literatura; taki mit swojskiej kresowości jest ciągle nadzwyczaj żywy. Przekłada się go na pewne konkretne

zachowania – możemy nawet mówić o lekcji mitu pogranicza.

Agata Koss: Wiele miejsca w kwartalniku zajmują przekłady, prezentujemy współczesną literaturę białoruską, litewską, rosyjską. Chcemy pokazać, że na dawnych ziemiach Rzeczypospolitej dzieje się bardzo wiele, mimo nieobecności kultury polskiej. Dziewiętnasty numer kwartalnika zawierał blok pokazujący ciekawą i bardzo mało znaną w Polsce literaturę ukraińską. Był zeszyt poświęcony Czechom. Będziemy prezentować literaturę niemiecką i szwedzką.

To owocuje wspaniałymi kontaktami, jakie mamy za wschodnią granicą. W tej chwili jest tam około setki prenumeratorów i nie są to wyłącznie Polacy. Ziemie wschodnie odczuwają ogromny głód słowa pisanego. Do redakcji przyszli kiedyś Ukraińcy, którzy chcieli poczytać sobie „Kresy” na miejscu, bo nie stać ich było na zakup.

Piotr Kosiewski: „Kresowość” pojawia się także w strukturze pisma – prezentujemy nie tylko twórców znanych, ale także tych powszechnie niedostrzeganych, którzy jednak wydają się nam godni uwagi – dotyczy to zwłaszcza kręgów emigracji. Praktycznie nieznane jest na przykład ciekawe środowisko Polonii kanadyjskiej. Nie pomijamy żadnych ośrodków emigracyjnych – pokazujemy te niezauważalne kosztem bardziej znanych, przykładowo zwracamy większą uwagę na mało doceniane „Wiadomości” londyńskie.

Jacek Wojtysiak: Czy tak szeroko rozumiana kresowość nie rozmywa wizerunku pisma?

Arkadiusz Bałajewski: Jeśli chcielibyśmy być konsekwentni, podalibyśmy jeszcze więcej przykładów. Kwestia wyrazistej precyzacji jest kwestią dosyć niesprecyzowaną. Oczywiście, kresowość rozumiana jednostronnie jest niebezpieczna.

Jacek Wojtysiak: Literatura jest zawsze grą na wieloznaczności.

Przemysław Więczkowski: W takim razie jaką literaturę prezentują „Kresy”, jaki jest projekt literacki kwartalnika?

Andrzej Niewiadomski: Oprócz szeroko pojmowanej „kresowości” zarysowanego przed chwilą „programu” w „Kresach” jest, najwyczerpniej w świecie, prezentowana współczesna poezja i proza. Jednak już sam wybór tekstów motywowany jest owym „programem”. Zajmujemy się rzeczami przede wszystkim ciekawymi, a także jeszcze nieodkrytymi. To też swoiście rozumiane kresy.

W poezji np. promujemy autorów z „pokolenia trzydziestolatków”, które jest teraz najbardziej ekspansywne i zarazem zróżnicowane, tak że można tu znaleźć wiele, często odległych od siebie „świeżych” propozycji. W obrębie najnowszej literatury znajdują się również zjawiska nazywane „literaturą wyczerpania”, które można sytuować na literackich peryferiach.

Piotr Kosiewski: Kresy rozumiane metaforycznie to także koniec epoki literackiej.

Andrzej Niewiadomski: Nie wiemy na pewno, czy coś takiego zaistnia

to; jesteśmy jednak świadkami prze-wartościowania literatury i myślę, że warto to uchwycić.

Agata Koss: Żyjemy w obliczu po-granicza dwóch epok – staramy się nie tworzyć podziałów na pokolenia. Każdego traktujemy z osobna, nie wypychając w konwencje.

Adrian Lesiakowski: Odnoszę jed-nak wrażenie, że „Kresy” są pismem dla ludzi niezupełnie już młodych. Szanse debiutu wydają się niewielkie.

Andrzej Niewiadomski: Zgadzam się z tym, że „Kresy” są postrzegane jako pismo uznanych już twórców; nie jest to jednak cała prawda. W każdym numerze pojawiają się na-zwiska autorów mało znanych, nie-koniecznie debiutujących na łamach czasopism, ale na pewno początku-jących. Sprzeniewierzylibyśmy się swojemu rodowodowi nie drukując ta-kich tekstów. W końcu „Kresy” też za-czynaliśmy wydawać jako „debiutanci” i debiuty na pewno będą się pojawia-ły, odpowiada to bowiem formule pís-ma, które chciałoby pokazywać stycz-ność dwóch epok – zderzać ze sobą dorobek twórców już dojrzałych i dopiero dojrzewających.

Pańskie spostrzeżenie jest znamienne, ponieważ nie staramy się drukować młodych za wszelką cenę; nie ulegamy dążeniu do „uszczerzania” literatu-ry. Chcemy pokazywać rzeczywistość w sposób ostrożny. Także i krytyka na łamach pisma jest wyważona, stara się dostrzec związki z tradycją; wszystko osadzamy w kontekście.

Arkadiusz Bagłajewski: Wydaje mi się, że operowanie pojęciem „poko-lenia trzydziestolatków” jest niewła-

ściwe. Mówienie o literaturze w spo-sób wyłącznie pokoleniowy to zupeł-ny absurd! Kultura jest pewną cało-ścią – tradycja i współczesność działają na zasadzie naczyń połączy-nych; szcycimy się tym, że „Kresy” chcą być takim miejscem spotkania różnych generacji.

Agata Koss: Zderzamy ze sobą opi-nie ludzi reprezentujących chociażby różne szkoły metodologiczne, różne środowiska.

Jacek Wojtyśiak: Jakie są kryteria oceny twórczości literackiej?

Arkadiusz Bagłajewski: Tutaj mo-żemy zaufać tylko sobie. Nie ukry-wamy, że zależy nam, aby „Kresy” były pismem po prostu dobrym. Jak wspominałem, wyróżnik generacyjny nie jest najważniejszy. Kierujemy się własnym gustem. Nie prezentujemy twórców według schematu, że na przykład są młodzi i pochodzą z Lublina. Nie chcemy utonąć w swojskiej błogości samospelnienia, w kręgu wzajemnych pochwał. Przed-stawiamy twórców już sprawdzonych – i to jest jedno kryterium; moc-no podkreślę – najistotniejszy w publikacji jest jednak walor literacki, niezależnie od wieku twórcy.

Piotr Kosiewski: Nasze pismo nie może utracić kontaktów z ludźmi star-szymi w imię źle pojmowanej „promo-cji młodych talentów”. Nawiazujemy symbolicznie do tradycji Kresów; inte-lektualna przestrzeń, w której koegzy-stują wszystkie możliwe postawy.

Andrzej Niewiadomski: Publikowali u nas poeci z kręgu „bruLionu” naj-głośniejszego i najbardziej obfitego pod względem debiutów. Ale nie po-

kazujemy jednej szkole poetyckiej czy środowiska. Naszą kresowość można rozumieć także przez to, że staramy się pokazywać zjawiska ekstremalne względem siebie, porzucając od nawiązań do klasycyzmu po skrajną neoawangardę. Jak dotychczas, nasze wybory wierszy „sprawdzały się”. Trudno powiedzieć, w jaki sposób dokonujemy wyborów; myślę, że jest to wynik naszej intuicji, no i także wiedzy, rzecz jasna.

Łukasz Garbał: Jaka była idea Stowarzyszenia Literackiego „Kresy”?

Arkadiusz Bagłajewski (śmiertelnie poważnie): Niech powie winowajca. (weselość)

Agata Koss: Tak rodzi się mitologia.

Andrzej Niewiadomski: Nie, nie, nie. To nie legenda, nie mitologia, to instytucja. Wydawcą pisma jest Stowarzyszenie. Pomysł zrodził się wśród młodej inteligencji w kręgach studenckich. Podczas studiów założyłem wraz z dwoma kolegami grupę literacką pod nazwą „Kresy” – i stąd nazwa. Poza kilkoma wieczorami autorskimi z grupy tej pozostała właśnie nazwa i niejasna potrzeba stworzenia pisma literackiego. Dwa lata później powstał kwartalnik. Skład redakcji w stosunku do owej grupy był niemal zupełnie nowy; pismo redagowaliśmy już od października 1989, a pierwszy numer wyszedł w roku następnym. Wydawało się początkowo, że wydawanie takiego pisma jest niemożliwe; jednak istniała potrzeba zdecentralizowanej przestrzeni literackiej i „Kresy” mogły zaistnieć.

Arkadiusz Bagłajewski: Projekt powstania pisma przyjmowano z

uśmiechem: „niech no się ci młodzi najpierw nauczą, a później piszą”. Okazało się jednak, że istotnie jest zapotrzebowanie na pismo istniejące „na prowincji”; czasopismo wydawane w konkretnym miejscu i określonym czasie, realizujące pewien program, mające określoną grupę autorów, pograniczny profil, po trochu lokalne. Jak wspomniałem, „Kresy” chcą być pośrednikami między wartościami nowej ojczyzny a konieczną dla kultury ideą hierarchii. Mam nadzieję, że taka „wymiana kulturalna” przyczyni się do zmiany świadomości w „Małej Ojczyźnie”, by nie ograniczać się do źle pojmowanej lokalności, prowincjonalności właśnie, pretensjonalnej grupy wzajemnej adoracji.

Mit „Małych Ojczyzn”, pogranicza, Kresów, wymaga nowego spojrzenia, wolnego od schematów i uprzedzeń. Konieczne jest umieszczenie tego mitu w zupełnie współczesnym projekcie życia intelektualnego. I to chcieliśmy robić, także jako Stowarzyszenie Literackie.

Jacek Wojtyśiak: Dlaczego państwo mówią o konieczności odejścia od centrum? Czy nie oznacza to zmniejszenia środowiska?

Arkadiusz Bagłajewski: Wcale nie. Dlaczego mówię – „mit”? Bowiem podejmowane są działania na rzecz całkowitego rozpadu ojczyzny „Wielkiej”. Tymczasem „Małe Ojczyzny” muszą tworzyć pewną całość i mogą być rozpatrywane tylko w całości. Janusz Sławiński opisał w „Kresach” proces, w którym uczestniczymy – zanik centrali. Jesteśmy świadkami

kształtowania się nowego modelu kulturowego, który, mam nadzieję, nasz kwartalnik współtworzy. Obecnie nigdzie nie ma pisma na miarę dawnej „Twórczości” Iwaszkiewicza. Owszem, wszystkie „regionalne” pisma literackie razem tworzą taką jakość – ale osobno nie są w stanie. Taka „Ojczyzna ojczyzn”. Te projekty nie wykluczają się wzajemnie, lecz uzupełniają. Jak dobrze, że nie istnieje getto pism literackich, że nie ma antagonizmów, mimo tak różnych projektów literackich, od postmodernistycznego, śląskiego „Fa-Artu” po „bruLion”, czy „Scriptores”. Swoisty wolny rynek idei, im więcej małych centrów kulturowych, tym większy rozwój kultury. To jest niekwestionowana zaleta decentralizacji.

Agata Koss: Każdy musi zapracować na swój wizerunek, nie otrzymuje się go za darmo. I jeszcze jedno: między tymi „różnorodnościami” istnieje komunikacja, wymiana myśli, rozmowa. Z niej mogą zrodzić się rzeczy istotne.

Sławomir Żurek: A czy sam Lublin się stara?... Kiedy uczestniczyłem w spotkaniu lublinian z pisarzami niemieckimi, to mi osobiście chciało się płakać. Cóż za żałosne „środowisko”! ...Przecierałem oczy ze zdumienia... i „Kresów” tam nie było.

Agata Koss: Może właśnie dlatego. (wesół)

Ale mówiąc serio – to wszystko w istocie jest zatrważające! Zainteresowanie ludzi kulturą opada.

Arkadiusz Bagłajewski: Lublin jest miejscem „szczególnym”, gdzie pew-

nie ciekawe pomysły po prostu nie udają się.

Sławomir Żurek: Czy to znaczy, że niektóre środowiska cierpią na kompleks prowincjonalności, w złym rozumieniu tego słowa?

Arkadiusz Bagłajewski: Tak mi się wydaje.

Sławomir Żurek: A w jaki sposób „Kresy” chcą współtworzyć środowisko lubelskie? Czy są tylko grupą towarzyską?

Andrzej Niewiadomski: Są grupą towarzyską! (mrugnięcie okiem, wesół)

Arkadiusz Bagłajewski: Mówiąc poważnie – organizujemy różne spotkania. Jednak ze zdumieniem obserwujemy wspomniany przed chwilą brak zainteresowania; w każdym innym mieście na spotkaniu byłyby tłumy ludzi.

Łukasz Garbal (ironicznie): Może jest to znudzenie wielkością?

Arkadiusz Bagłajewski (chłodno): Być może. Głupota nie zna granic.

Sławomir Żurek: Ale na spotkaniach widzę gęby inteligentne, należące do ludzi młodych, cały świat przed nimi!... Problem polega raczej na tym, że Lublin traktowany jest tylko jako poczekalnia do miejsc „naprawdę godnych uwagi”.

Arkadiusz Bagłajewski: Bołączką środowiska lubelskiego jest to, że nie ma komunikacji między mikro-środowiskami tej „Małej Ojczyzny”.

Sławomir Żurek: Także.

Agata Koss: A my nie wyskakujemy ponad normę, niestety.

Piotr Kosiewski: Problem polega też na tym, że ludzie z Lublina, któ-

rzy osiągnęli powodzenie, są niechętnie przyjmowani przez środowiska lubelskie.

Łukasz Garbał: Kompleks niższości? Czy też może odwrotnie?

Piotr Kosiewski: Trudno powiedzieć. Przede wszystkim – jakaś anachroniczna prowincjonalność, pragnienie swojskości. Na przykład Leszek Mądzik ze „Sceną Plastyczną KUL”, działalność lubelskiego BWA lub „Galerii Białej” były przyjmowane z obojętnością w Lublinie, podczas, gdy w całym kraju entuzjastowano się nimi. To jest śmieszne.

Agata Koss: My też mamy lepsze kontakty ogólnopolskie niż lubelskie. Także w prasie.

Andrzej Niewiadomski: Może nie ma kto o tym pisać.

Agata Koss: Nie. Po prostu w gazetach codziennych nie ma na to miejsca. Podejrzewam, że ten problem jest wspólny dla wszystkich projektów kulturowych w tylekroć tu przywoływanej „Małej Ojczyźnie”. Niedostrzeganie nowej rzeczywistości, co powoduje spychanie jej na ubocze.

Sławomir Żurek: Czy „Kresy” nie myślą czasem o kawiarni literackiej? (ożywienie wśród redaktorów „Kresów”)

Arkadiusz Bagłajewski: Ależ myślą. Mamy nawet słowo Prezydenta Lublina, który przyrzekł nam miejsce dla takiej kawiarni.

Łukasz Garbał: A trzeba wierzyć w Słowo, tym bardziej – Prezydenta.

Agata Koss: Mamy nadzieję, że nasza wiara w Słowo nie będzie w tym przypadku bezpodstawna, bowiem właśnie przez tę kawiarnię połączo-

ną z czytelną, chcielibyśmy zintegrować nieszczęśliwe środowisko lubelskie. Myślimy, że uda się nam to zrealizować jeszcze w tym roku.

Jacek Wojtysiak: (z wielkim zainteresowaniem): A gdzie będzie ta kawiarnia?

Agata Koss: To jest tajemnica.

Jacek Wojtysiak (z niekłamany, tym większym zainteresowaniem): Ale obiecujemy tego nie drukować! (i obietnicę spełniamy)

Agata Koss: Nie byłoby to oczywiście bezpośrednie nawiązanie do tradycji kawiarni modernistycznej, Przybyszewskiego....

(gromki śmiech)

Sławomir Żurek: Właśnie – Przybyszewski, Wawel.. Porównując obyczajowość Lublina i Krakowa...

W Lublinie nie ma tradycji „zagadania do kogoś” obcego w kawiarni, bo jest to interpretowane jako molestowanie seksualne. Prymitywizm, na dodatek źle pojęty. Myślę, że problemy, o których rozmawiamy, problem „niechęci” Lublina do kultury wynika z braku miejsca spotkania, miejsca spotkania ludzi kulturalnych.

Andrzej Niewiadomski: Może Lublin chce pozostać „prowincją”?

Arkadiusz Bagłajewski: (z humorem): Myślę, że kawiarnia to rozwiązanie. Byłaby to forma pewnej instytucjonalności pisma. Nawiązalibyśmy wówczas większy kontakt z czytelnikami.

Łukasz Garbał: Widzę tutaj niechęć, którą zresztą mam zaszczyt dzielić, niechęć do schlebienia tłumom, niechęć do ogólnie przyjętych zwyczajów i prądów. Czy wo-

bec tego „Kresy” chciałyby być bardziej demokratyczne, czy pozostać raczej arystokratycznym; bardziej prymitywnym czy bardziej elitarnym?

(chwila zakłopotania)

Arkadiusz Bagłajewski (zdecydowanie): Chcielibyśmy być takimi, jakimi jesteśmy. Używając pańskich terminów – pismem arystokratycznym; bardzo ważne jest utrzymanie pewnego poziomu, wartości, które przecież stale są podmywane przez kulturę masową. Niestety, rzeczy dobre nie cieszą się popularnością. Cóż z tego, że w PRL wychodziły tomiki Leśmiana w stutysięcznym nakładzie? Czy to znaczy, że ludzie rozczytywali się w Leśmianie?

Istnieje wąska grupka ludzi, którzy muszą czytać za wszelką cenę. W zasadzie tylko ta elita nas interesuje.

Andrzej Niewiadomski: Nie zrywamy związków z tradycją, nie silimy się za wszelką cenę na popularność – w tym sensie jesteśmy arystokratyczni.

Arkadiusz Bagłajewski: Historia literatury podaje, że rzeczy ważne, wybitne nigdy nie cieszyły się masową popularnością.

Przemysław Więczkowski: Czy „Kresy” wywierają wpływ na czytelnika?

Arkadiusz Bagłajewski: Staramy się działać w sposób dydaktyczny – nie podsuwamy rozwiązania, ale uczymy czytać – poprzez nasze teksty. Na pewno jakoś to skutkuje, bowiem „Kresy” są po prostu nadal czytane; iluzją jest jednak myślenie o naprawie człowieka, czytelnika przez pismo literackie. To szalenie subtelne. Jeśli wywieramy na coś wpływ, to raczej na wrażliwość literacką niż na świadomość.

Andrzej Niewiadomski: Chcemy nauczyć czytelnika jednego – umiejętności wejścia w głąb tekstu, zrozumienia istoty problemu.

Chcemy też przekonać wszystkich, że niczego nie wolno odczytywać powierzchownie i nie wolno mechanicznie powielać obiegowych sądów. Dobrym przykładem byłyby tu upraszczające opinie o literaturze emigracyjnej czy literaturze PRL-u, które słyszymy od kilku lat.

Agata Koss: Chcemy uporządkować pewne rzeczy w wielkości zdarzeń; wartościujemy, oceniamy. Czytelnik może się zgodzić albo nie. My staramy się być obiektywni. Zależy nam jedynie na tym, aby nasz czytelnik wytworzył sobie hierarchię wartości.

Jacek Wojtysiak: A jaki jest ten idealny czytelnik „Kresów”?

Agata Koss: Przede wszystkim – inteligentny.

Arkadiusz Bagłajewski: Powiem przewrotnie – „czytelnika nie ma, dopóki nie ma rzeczy dla niego napisanej”. To byłby taki idealny czytelnik. Ten czytelnik rzeczywisty jest jednak wielką niewiadomą. „Zeszyty Literackie” drukowały wyniki badań socjologicznych, z których niewiele wynikało. Nie ma przecież tak zwanego „przeciętnego czytelnika”, który na przykład ma dwadzieścia cztery lata, posiada wykształcenie humanistyczne i najczęściej czyta „Tygodnik Powszechny” czy „Politykę”. Każdy czytelnik jest inny i szuka w piśmie czegoś innego.

Andrzej Niewiadomski: Czytelnikami są na pewno ludzie ze „środowiska”. Jesteśmy w stanie powiedzieć

i przewidzieć, co w danym numerze zaciekawi najbardziej. Ale z drugiej strony dziwny wydaje się fakt, że w małych miastach, takich jak Ostrołęka, jest czasem większe zainteresowanie kulturą niż w miastach uniwersyteckich. Czytelnicy z prowincji są bardzo wdzięcznymi odbiorcami pisma, nie przechodzącymi w pośpiechu obok istotnych tekstów.

Na dobrą sprawę nie wiadomo, gdzie się teraz Szanowny Czytelnik kryje.

Piotr Kosiewski: Nie wiemy, kto nas czyta, ale wiemy, gdzie jesteśmy czytani – przeważnie w miastach akademickich, chociaż większość subskrybentów jest mieszkańcami mniejszych ośrodków.

Agata Koss: Tu występuje znowu problem literatury ambitnej, którą opłaca się sprzedawać tylko w środowiskach uniwersyteckich. Istniejące konsorcjum pism literackich, które powstało z inicjatywy „Kresów”, przygotowuje obecnie listę księgarń patronackich, gdzie taką literaturę i pisma podobne naszemu można będzie znaleźć.

Sławomir Żurek: Czy czasem „Kresy” nie płyną w nurcie monokultury? To znaczy – jeśli byśmy zamienili materiały przygotowane dla „Kresów” z takim „Czasem Kultury”, to czy zaistniałyby różnice w zasadniczym pomyśle na teksty, poza koncepcją „ramówki” pisma?

Arkadiusz Bağlajewski: Ja myślę, że już to jest ważną różnicą. A prezentowanie tekstów podobnych nie przeczy różnicom programowym. Wędrowanie tematów po różnych czasopismach jest nieuniknione w

obliczu długiego przygotowania numeru do druku. Jeśli my dzisiaj planujemy numer pierwszy na przyszły rok, to później nie będziemy już w stanie przeprowadzić zasadniczych zmian, by nie opóźnić wydania, sami państwo wiecie...

Fakt, że sam autor publikuje jednocześnie w kilku kwartalnikach można tłumaczyć zbyt wąskim kręgiem autorów, bądź też zbyt wielką liczbą kwartalników, przy nieistnieniu tygodników literackich. O tym możemy długo dyskutować.

My na przykład prezentujemy teksty, a „bruLion” pokazuje wyłącznie grymas. Kwestia odpowiedzi na pytanie, co chcemy wyrazić. „Kresy” pragną ukazać pewien wycinek rzeczywistości, stąd wielka ilość zeszytów monograficznych, bloków tematycznych.

Sławomir Żurek (z niedowierzaniem): Wśród pism literackich...

Arkadiusz Bağlajewski: Tak, wbrew pozorom to rzadkość.

Agata Koss: „Czas Kultury” zorganizował w kwietniu sesję na temat czasopism kulturalnych. Epitetem najczęściej obecnym w wypowiedziach dotyczących „Kresów” było słowo „rzetelny”. Dla niektórych uczestników spotkania słowo to było względem pisma literackiego po prostu obraźliwe!

Adrian Lesiakowski: Obiektywność – subiektywność?

Andrzej Niewiadomski: Tak, dla niektórych pismo ma być z góry określone, nie samookreślające się „w trakcie”. Zaś zaletą „Kresów” jest to, że prezentujemy najróżniejsze

spojrzenia – od destruktywnych do konstruktywnych.

Agata Koss: Jesteśmy po prostu – rzetelni. (szerokie uśmiechy)

Chcemy, aby czytelnik zadawał sobie pytanie „dlaczego?”

Piotr Kosiewski: Nie ograniczamy się do literatury – dostrzegamy jej związki ze sztuką. Nie można odrywać „formy” od „treści”. Wskazujemy nowe zjawiska, marginalne problemy. „Kresy” piszą o muzyce, sztuce, alternatywnym teatrze, osadzając to często (w dziale „Zdarzenia”) w środowisku lokalnym, miejscowym. Zależy nam, by nie opisywać poszczególnych artystów, ale ich problemy. Chcemy na przykład w przyszłości napisać o sztuce, w której artyści posługują się swoim ciałem, posuwając się do rzeczy skrajnych, kresowych w negatywnym rozumieniu tego słowa. Sądzę, że nie grozi nam monotonia kultury jednego kanonu.

Adrian Lesiakowski: Jakie są związki „Kresów” z „Akcentem” wobec zauważalnych podobieństw?

Arkadiusz Bałajewski: W jednym mieście w Polsce, w którym istnieją dwa różne uniwersytety, nie ma przeszkód, by mogło istnieć kilka pism literackich, natomiast zmartwieniem redakcji jest już kłopot, co zrobić ze swoim, jeszcze jednym, pismem bez żadnej ironii pod państwa adresem (uśmiech).

Piotr Kosiewski: Są to pisma, które dobrze się uzupełniają.

Andrzej Niewiadomski: Ten problem pojawia się, kiedy się go... akcentuje.

(wesółość)

Arkadiusz Bałajewski: Różnimy się chyba wyraźnie od „Akcentu”, chociażby tym, że jesteśmy regionalni „inaczej”, stanowimy raczej emanację naszej „Małej Ojczyzny” z charakterystyczną atmosferą; szukamy ludzi do siebie podobnych, to jest nasz region – ludzie, nie pewna ziemia.

Andrzej Niewiadomski: Dopiero z perspektywy paryskiej „Kultury” uświadomiłem sobie, dopingowany zdziwieniem moich gospodarzy, jak wiele centrów kultury jest w Lublinie. To bardzo dobrze; różnorodność napędza kulturę, przed chwilą ktoś z nas to powiedział. „Akcent”, „Scriptores”, „Kresy”, z pism kulturalnych, a także „Ethos”, „Rota”...

Agata Koss: My nie zapominamy o Lublinie – miejscu tworzenia „Kresów”.

Łukasz Garbał: Słyszę echa humanizmu!... Czy mają państwo, oprócz klasycyzującego programu literackiego, filozofię pisma? Idzie mi o stosunek do człowieka z całą jego kresowością, krańcowością, różnicowaniem – egzystencjalizm, personalizm, czy też coś innego?

Arkadiusz Bałajewski: „Kresy” prezentują spojrzenie personalistyczne. Żyjąc w epoce poststrukturalistycznej dopuszczamy różne spojrzenia na literaturę, kulturę, ale pamiętamy, że tworzy ją przede wszystkim człowiek. To jest tutaj interesujące.

Łukasz Garbał: Czyli – nic się nie zdarza samo z siebie.

Arkadiusz Bałajewski: Zgoda. Warto zatem wrócić do tradycji. Opisanie człowieka właśnie.

Łukasz Garbał: Człowiek stwarzany przez człowieka?

Arkadiusz Bałajewski: Także. W ogóle jest to trudny problem.

Łukasz Garbał: Tym bardziej godny uwagi.

Arkadiusz Bałajewski: Zatem postaram się pokazać na konkretach. Drukowana w „Kresach” poezja zwykła prowadzić bardzo misterną grę z tradycją. Chcemy opisać świat, w którym jesteśmy, drugiego człowieka, poprzez teksty oczywiście.

Interpretujemy też tradycję. Rozmawiałem z uczniami Marii Janion, którzy pojmowali romantyzm wyłącznie przez filtr postmodernizmu. Zostawiamy autorom pewien margines na sposób myślenia różny od redakcyjnego. To też osobowe traktowanie człowieka.

Przemysław Więczkowski: Czy „Kresy” próbują przeciwdziałać utracie przez słowo znaczenia symbolu?

Arkadiusz Bałajewski: Nie możemy autorom narzucać sposobów pisania. Oczywiście, możemy dobrać autorów. Przeciwdziałamy w pewien sposób utracie znaczenia przez słowo, poprzez oszczędność posługiwania się nim, a także przez wybór dobrych tekstów, o mocnym słowie. Cóż więcej...

Łukasz Garbał: W takim razie – to jest pytanie nieco przewrotne – czy „Kresy” wierzą w Słowo?

Arkadiusz Bałajewski: Wierzą w Słowo. Gdybyśmy nie wierzyli, nie pisalibyśmy.

Łukasz Garbał: Pytam, bowiem ostatnio pojawia się coraz więcej opakowań zastępczych dla Słowa

pod nazwą „sztuki” – w obrazach; obraz góruje, a Słowo zanika. Nawet w „Kresach”...

Arkadiusz Bałajewski: Słowo w ogóle upada, zanika; jest to proces globalny. Ale jednak piszemy!

Łukasz Garbał: Ale to pisanie można interpretować siłą bezwładu. Interesuje mnie tutaj, czy „Kresy” nie straciły swej inwencji, czy tylko pasywnie realizują stare pomysły, przy zaniku chęci do tworzenia nowej jakości?...

Arkadiusz Bałajewski: Nie odrzucamy tego, co zostało niegdyś sprawdzone. Mamy jednak wiele pomysłów nowych. Niezależnie od fluktuacji rynkowych interesujemy się literaturą po prostu wybitną, ważną, intrygującą artystycznie.

Łukasz Garbał: Czyli państwo wierzą, na szczęście, w ostatecznie zwycięstwo Słowa nad obrazem?

Arkadiusz Bałajewski: Chcielibyśmy wierzyć.

Łukasz Garbał: Chcieliby państwo, czy państwo wierzą?

Arkadiusz Bałajewski: Nie da się chyba tak jednoznacznie odpowiedzieć.

(Łukasz Garbał chce pytać dalej; wesołość)

Arkadiusz Bałajewski: Mówiąc serio i nieco melancholijnie – gdybym był kilka lat młodszy, to tak jak pan stawia jednoznaczne pytania, ja jednoznacznie odpowiadałbym.

Łukasz Garbał: Naciskam tak mocno, ponieważ cenię słowa Herberta z „Kołatki” – niech mi wolno będzie zacytować – „z okiem jasnym, tak, nie – nie”.

Arkadiusz Bagłajewski: Ale ja także potrzebuję norwidowskiego „bez światłocienia”. Ja wierzę, ale oczywiście miewam czasami chwile pełne wątpliwości, czy robienie pisma literackiego to nie jest jednak wyspa na morzu, a nawet oceanie otaczającej nas głupoty.

Łukasz Garbał: Rozumiem to; ja także; myślę zresztą, że podobnie wszyscy.

Arkadiusz Bagłajewski: Zapewne ma pan rację.

Andrzej Niewiadomski: Dzisiaj nie wypada przyznawać się do heroizmu, stąd wątpliwości mogą być coraz większe.

Arkadiusz Bagłajewski: Ale jednak wierzymy – przynajmniej czasami. Gdybyśmy nie wierzyli, to zwinęlibyśmy ten cały „interes”...

Agata Koss: ... i wydawalibyśmy komiksy.

Całość opracował, nie doprowadzając Szanownych Czytelników do kresów Ich cierpliwości **Łukasz Garbał**.

Esej jako forma wypowiedzi krytycznej

Na wstępie zdystansować należałoby się wobec formuły tytułu. Właściwie lepiej funkcje wypowiedzi krytycznej realizują inne gatunki, jak recenzja, szkic krytyczny, artykuł. Esej w tradycji polskiej (odmiennie jest w kulturze anglosaskiej) przynależy raczej do porządku literatury. Dość wymienić kilka nazwisk „polskiego eseju”¹ – Jerzy Stempowski, Stanisław Vincenz, Czesław Miłosz, Bolesław Miciński. A to przecież nie wszystkie nazwiska. Dorzucić można jeszcze Zygmunta Kubiaka czy Ryszarda Przybylskiego, spośród eseistów piszących w kraju. Poprzestańmy jednak na tych kilku nazwiskach, gdyż dalsze wyliczanie zajęłoby zbyt dużo wypowiedzi. Zacytować chciałbym konstatację Marty Wyki, która w szkicu „Parę uwag o „polskim eseju” pisała o krytycznych „możliwościach” eseju: „Oczywiście, esej jest wypowiedzią z natury swojej bardziej osobistą niż rozprawa krytyczna. Ale eseści tak wybitni, jak na przykład Irzykowski czy Brzozowski, przedstawiali czytelnikowi pewien proces myślowy u podstaw swoich subiektywnych, ale potem swoiście, w toku dyskursu (czy może wykładu) zracjonalizowany, zaś czytelnik sam już musiał rozstrzygnąć, czy go akceptuje, czy też nie. Czysta gra myśli mogła, rzecz jasna, budzić reakcje emocjonalne, ale były one zapewne innej natury niż te, które w procesie porozumienia z odbiorcą pragnęli osiągnąć „polscy eseści”. W ich formie tkwiło utajone pewne żądanie wobec czytelnika – żądanie współuczestnictwa”².

Esej wymaga więc nie tylko pomysłu, precyzji konstrukcji, osobistego (choć poddanego racjonalizacji) toku wypowiedzi jego autora, wymaga także „odpowiedniego” czytelnika, to znaczy potrafiącego w przestrzeni wyznaczonej przez eseistyczny dyskurs poprowadzić intymny – w akcie lektury – dialog z autorem. Andrzej St. Kowalczyk, autor świetnej książki o eseju, trafnie zauważył, iż esej unika krytyki ne-

¹ Termin Cz. Miłosza, wyodrębniającego w swojej syntezy literatury polskiej, esej jako osobną formę piśmiennictwa. Zob. Cz. Miłosz, *Historia literatury polskiej do roku 1939*, przeł. M. Tarnowska, Kraków 1993, s. 502-505. Książka Miłosza po raz pierwszy ukazała się w języku angielskim w roku 1969.

² M. Wyka, *Parę uwag o „polskim eseju”* w: Id., *Głosy różnych pokoleń*, Kraków 1989, s. 62.

gatywnej. Jej miejsce znajduje się oczywiście w takich formach wypowiedzi jak pamflet czy nawet recenzja. „Impuls sympatii”, pozostający w ścisłym związku z powściągliwością, refleksyjnością, skłonnością do kontemplacji, wydaje się być istotnym elementem poetyki eseju³. Eseista zawsze traktuje swojego czytelnika serio, nie schlebując rzecz jasna jego gustom. Czytelnik jest partnerem, w toczącym się w eseju dialogu, w rozmowie, w coraz to ujawnianych napięciach między tokiem wypowiedzi a utajnioną perswazyjnością. Stąd często eseista prowadzi swoją narrację z prywatnej perspektywy, przypominającej właśnie rozmowę, wyłożenie racji. Eseista nie trwa nieugięcie wszakże przy swojej racji, poddaje ją weryfikacji, potrafi ujawnić swoje błędy (to oczywiście istotny element perswazji). Píše Andrzej Kowalczyk, i wypada z nim się zgodzić – „eseista raczej więc bada niż sądzi”⁴.

Nie ufa więc żadnemu systemowi. Patrzy z bliska. Mówi o rzeczach doskonale sobie znanych, co nie wyklucza wszak konieczności uogólnienia. Tyle że rytm eseistycznej narracji prowadzi zawsze od szczegółu ku sądom ogólniejszej natury. Zobaczymy to na przykładzie.

Najświeźniejszy, być może, polski esej – Jerzego Stempowskiego „W dolinie Dniestru” zaczyna się jak następuje: „na świat przyszedłem w rodzinie polskiej na Ukrainie w roku 1894. Słowa te, z pozoru proste, wymagają dziś mnóstwa objaśnień”⁵. W toku narracji, eseista – „niespieszny przechodzień”, w rytmie gawędowej opowieści, choć poddanej racjonalistycznej dyscyplinie wywodu, stara się „wytłumaczyć” owe proste z pozoru zdanie. Przypomina więc genealogię rodzinną, pisze o swoich bliskich od setek lat zakorzenionych w „małej ojczyźnie” doliny Dniestru. Eseista wyakcentuje zwłaszcza fakt, że jego rodzina, jak wiele innych rodzin tam mieszkających, do wieku XX nie odczuwała potrzeby określania swojej tożsamości narodowej wedle kryteriów nowoczesnych nacjonalizmów. Ona była stąd, z „doliny Dniestru”, z miejsca które jest (czy raczej było kiedy Stempowski pisał te słowa) „szachownicą narodów”. Na przykładzie znanych sobie realiów „niespieszny przechodzień” objaśnia, kapryśnie acz precyzyjnie, jak się później okaże, co znaczyło urodzić się w „dolinie Dniestru”. Dalej kreśli wspomnienia historyczne związane ze starożytnością Ukrainy, tworząc w istocie mały rozdział historiozoficzny, z dyskretnie zaznaczoną tezą o wielowarstwowości kulturowo-cywilizacyjnej miejsca swojego urodzenia. „Niespieszna” narracja zatrzymuje się nad domostwami i parkami Ukrainy, widzi się w nich obecność dawnych „nawarstwień” cywilizacyjnych. Poświęca się nieco miejsca ruinom – widomemu znakowi wojen, które przetaczały się przez tę ziemię. Wreszcie, zakreśliwszy ogląd ziemi poprzez odczytywanie tkwiących w pejzażu nawarstwień kulturowo-cywilizacyjnych, myśl eseisty powraca ku

³ A. St. Kowalczyk, *Kryzys świadomości europejskiej w eseistyce polskiej lat 1945-77* (Vincenz-Stempowski-Miłosz). Warszawa 1990, s. 22 i nast.

⁴ Ibidem, s. 22. Wskazać można w tym miejscu, zachęcając zarazem do literatury, na książkę J. Olejniczaka. *Arkadia i małe ojczyzny*. Vincenz-Stempowski-Witlin-Miłosz, Kraków 1992. również podejmującą problem „polskiego eseju”.

⁵ Cyt. wg. J. Stempowski, *W dolinie Dniestru. Listy o Ukrainie*, wybrał, opracował i postawił opatrzył A. St. Kowalczyk, Warszawa 1993, s. 9.

rodzinnemu domostwu, spinając klamrą pierwsze zdania eseju z poczynającymi się formułować konkluzjami.

Rodzinny dom jest bowiem symboliczną realizacją toposu arkadyjskiego – ucieczki do rolniczego szczęścia w czasach zamętu i niepokoju. Eseista napomyka jakby o procesach, które doprowadziły do wygnania z „małej ojczyzny”, otwierając zarazem solidne perspektywy interpretacyjne oparte na przekonaniu o głębokim kryzysie kultury i cywilizacji europejskiej. Oczywiście te twierdzenia będą drążone w licznych esejach, nie tylko Stempowskiego zresztą (w ogóle zaobserwować możemy zjawisko „wędrówki” eseistycznych tematów).

Stempowski-eseista, dostrzegając nieodwracalny kres swojej „małej ojczyzny”, wynikający ze stanu głębokiego kryzysu kultury europejskiej, podkreślił, nie formułuje jednoznacznych i uproszczonych sądów. Woli stawiać problemy, oświecać je z różnych stron, owszem, sugeruje rozwiązania, ale nigdy nie przekreśla iluzji, iż szuka odpowiedzi. Pozostawia tym samym pole interpretacyjnej „dowolności” czytelnikowi. Czytelnikowi, co należy podkreślić, odznaczającemu się znacznymi kompetencjami intelektualnymi, równie – jak autor eseju – niechętnemu bylejakości, banałowi, łatwiznie intelektualnej.

Zwracam uwagę na przynależącą do poetyki gatunku rolę zakładanego czytelnika, gdyż w tym miejscu, na przecięciu dialogu między eseistą a jego czytelnikiem najwyraźniej ujawnia się personalistyczne nastawienie eseju jako formy wypowiedzi. Założony intymny dialog eseisty i jego czytelnika zakorzeniony jest bowiem w świecie rozpoznawalnych (co nie znaczy danych z góry, na przykład w wyniku szkolnej edukacji) toposów i motywów kulturowych. Eseista narzuca czytelnikowi konieczność zachowania ciągłości, tradycji, dlatego też Stempowski w parafrazowanym wcześniej eseju tak zaciekle tropić będzie ślady starożytności, dawnych tradycji obecne w pejzażu, formach życia, architekturze, sztuce ludu.

Czytelnik eseju zostaje zaproszony do prywatnego świata eseisty i wespół z nim, poprzez kształty jego „małej ojczyzny”, pocznie odkrywać świat od nowa, w jego szczególnym, właściwym wrażliwości eseisty wymiarze, co oczywiście jest iluzją, ale ową iluzję – jako istotny element poetyki eseju – należy podtrzymać i pielęgnować, po to by uchronić swoje myślenie od pokus wieku ideologii.

Na koniec wróćmy do postawionej na początku niniejszego szkicu kwestii – czy esej jest formą wypowiedzi krytycznej. Odpowiedź jest prosta. Nie, jeśli szukamy w eseju łatwego dydaktyzmu, krytykanckiego opisu, nadętej erudycyjności, paszkwilanckiego grymasu, oceny świata poprzez pryzmat jedynie słusznej ideologii. Tak, jeśli postawa osobista, refleksyjna, nieufna wobec wątpliwych często autorytetów, zdyscyplinowana w prezentacji myślowego wywodu, prowadzi do uporządkowania świata i naszego w nim miejsca wedle naszego rozumienia i naszej wrażliwości. Dopowiedzieć jeszcze należy, i postawić tym samym kropkę nad i, że mimo pozornej „łatwości”, „subiektywności”, „dowolności”, tak naprawdę esej jest jedną z najtrudniejszych form literackiego wtajemniczenia. Bezwzględnie wymaga solidnego rzemiosła i owego tajemnego, niepochwytanego *esperit*. Ale czy może być lepsza rekomendacja niż wskazanie na trudności opanowania eseju?



Grzegorz Żuk

Marzenia Polaków



Wydawana od 1991 roku przez Fundację Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie im. Tadeusza Goniewicza „Rota”^{*} warta jest nieco uwagi nie tylko dlatego, że wymienia się ją w gronie pięciu lubelskich kwartalników. Pismo, przeznaczone dla Polonii i Polaków poza granicami kraju, najmniej chyba znane jest w swoim

rodzinnym mieście, w Lublinie. Fakt o tyle istotny, że to właśnie Polacy z Macierzy mogliby być adresatami tego kwartalnika.

Ponad sto pięćdziesiąt stron bogato ilustrowanego periodyku w formacie zeszytu akademickiego zawiera kilkadziesiąt mniejszych i większych artykułów rozmieszczonych w kilkunastu rozdziałach. „Historia – Kultura – Obyczaj”, „Biblioteka Złotego Wawrzynu”, „Religia i polskość”, „Mała Encyklopedia Kultury Polskiej na Wschodzie”, „Panorama Polonii Świata”, „Akademia Nauczyciela” to tylko niektóre z nich. Aby nie nużyć swoich czytelników „śmiertelnie poważnymi” tekstami, pomyśleli też redaktorzy „Roty” o treściach nieco lżejszych.

„Kiedy Pan Bóg życie ozdawał ludziom i sytkiemu stworzeniu, to kciał świni dać nadługie życie. Swinia przysta i dziękuje, co ona nie stoi o długie życie, ale chce krótkie, a dobre. Pan Bóg się nie sprzeciwił, a wzion i dał to długie życie chłopu. I chłop do dziś to świńskie życie dożywa, co go swinia nie kciała. Tylko gdy na starość, kie robić nie może – a bieda go bije, to tyj świni zazdrości, co krótsze ma życie, ba nie takie twarde jak jego.”

^{*} Zespół redakcyjny „Roty”: dr Barbara Jedynak – redaktor naczelny, Józef Adamski – zastępca redaktora naczelnego, prezes Fundacji im. T. Goniewicza.

Opowieść Jana Krzeptowskiego Sabały „O świni i chłopie” pochodzi z rozdziału „Prezenty, żarty, baśnie i bajeczki” umieszczonego (zapewne z zamysłem) na środkowych stronach kwartalnika, w połowie czytelniczej drogi.

Autorzy „Roty” chcą kształtować dobry obraz Polaków w świecie i pewnie dlatego nie podejmują na łamach kwartalnika tematów z życia współczesnej Polski, ale odwołują się do jej tysiącletniej historii i stąd czerpią inspiracje do artykułów. Prezentują sylwetki najwybitniejszych Polaków, którzy talentem, myślą czy wiedzą wnieśli swój wkład w dorobek ludzkości. Tych powszechnie znanych jak np. Mikołaj Kopernik czy Maria Curie-Skłodowska i tych mniej znanych, którzy wstawili się na szlakach Australii, Oceanii, Afryki czy w oblężonym Leningradzie. Tam do dzisiaj mówi się o Polaku Antonie Jurgilewiczu, który znalazł sposób na niemieckie miny pływające. Skonstruował, wraz z załogą dowodzonego przez siebie okrętu „Garibaldi”, tzw. bony, czyli pływające przeszkody, na których skutecznie zatrzymywały się i wybuchały miny. Ocalił w ten sposób ludzi, okręty i mosty Newy.

Socjologowie kultury zwracają uwagę na ogromne znaczenie zachowań i przedmiotów symbolicznych dla poczucia tożsamości narodowej. Ukształtowane przez tradycję zwyczaje, obyczaje i obrzędy łączą wszystkich członków społeczności, stanowią jej wspólną wartość. Wyjaśnianiu i przypominaniu treści, jakie kryje za sobą paschał, jajko czy baranek, służy artykuł na temat symboliki świąt wielkanocnych. Polską, sięgającą początków XIX wieku, tradycję „najsympatyczniejszego świętego” odkrywa przed czytelnikami artykuł o Świętym Mikołaju.

Zainteresowani historią stworzenia kobiety mogą poznać góralską wersję tego wydarzenia w opowieści wspomnianego już Sabały „Jak Paniezus stworzył babe”.

„Paniezus stworzył świat i tak se pedział: bardzo ja to dobrze porobił, ino nie wiem, czy sie mojemu Jadamowi nie bedzie nudzić, bo je som. Tak se pedziot Paniezus i zawołał:

– Jadamie, chodź tu.

Jadam przyseł.

– Lygaj – pada mu Paniezus.

Jadam na pościel log i usnom. Wyjon mu Paniezus we śnie ziobro. Ale je rzucił na brzezek. coby wyszło. Diascy nadali psa. Zakradła się kanalia, łap ziobro i ucieka do dźwierzaj raju. Paniezus łap kija i dalej za nim. Ale pies wartki, a Paniezus stary i ni mógł go chwycić, coby mu ziobro wydar. Lecom, lecom i przylatujom do dźwierzaj raju, a pies był już w dźwierzak.

Toz to Paniezus wartko kopnon dźwierze. Dźwierze się zaparły i ucieny psu ogon, ale pies uciok – haj. I co Paniezus robi, wzion ten ogon, obeźrał, zgniewał się i pedział tak:

– Cekaj ino ty. Ja ci i tak pokazem, zek cosi wart.

I z tego ogona stworzył babe – haj. Temu to wielgie panie ogony nosom u sukniów.”

Redakcja dba o to, by czytający „Rotę” Polacy, a zwłaszcza Polacy na Wschodzie, nie mieli zaniżonego poczucia wartości własnej kultury. Tylko jej pozytywny

obraz może uchronić Polaków poza granicami kraju od wynarodowienia, które stało się faktem.

„... w czasach totalnej rusyfikacji nie wszyscy potrafili zachować mowę ojczystą i przekazać ją swoim dzieciom i wnukom, wskutek czego mamy dziś na Bukowinie wielką ilość zrusyfikowanych dzieci i dorosłych.”, „... w tych ciężkich czasach wielu już nie przyznawało się do swojej narodowości i oficjalnie występowało jako Ukraińcy...”, „wynarodowienie na Białorusi osiągnęło o wiele większe rozmiary niż np. na Litwie. Dziś trzeba te zaległości nadrabiać.”

Trzeba i, co najważniejsze, można.

„... z większym poczuciem wolności czujemy, że jesteśmy Polakami”, „mamy możliwość odradzać polskość na ziemi ukraińskiej, odradzać oświatę, tradycję, kulturę(...). Nigdy nie mieliśmy tu takiej wolności.”

Współczesne życie Polaków na Wschodzie i problemy z odradzaniem świadomości narodowej przedstawiają ludzie tam mieszkający. Nie malują rzeczywistości, piszą o swoich wątpliwościach i kłopotach, trzeźwo oceniają obecną sytuację, nie poprzestając na patriotycznych uniesieniach, które (jak każde uczucie) mogą mieć krótki żywot. Burzą nasze stereotypowe wyobrażenia o instynktownie garnących się do polskości wszystkich bez wyjątku „metrykalnych” Polakach.

„... we wszystkich miejscowościach na zajęcia z języka polskiego uczęszcza tylko część dzieci polskiego pochodzenia, bo stopień rusyfikacji w Kazachstanie bywa dość duży. Poza tym dzieci bywają jak wszędzie – trudne, leniwe, mało zdolne, zanedbane itp. trudno do nich trafić. Na lekcje przychodzi młodzież zdolniejsza, która nie ma kłopotów z nauką, i z rodzin świadomie polskich, albo tacy, którzy mają nadzieję na wyjazd do Polski.”

Kwartalnik z „historycznej Ojczyzny” nie sprzedaje taniego romantyzmu. Konkretnie, ciekawe, a przede wszystkim inspirujące teksty nie trafiają w próżnię. Świadczą o tym tysiące listów do redakcji, nadsyłane i publikowane pamiętniki, wspomnienia, refleksje. Niejedna redakcja może pozazdrościć „Rocie” tak bliskiego i żywego kontaktu z czytelnikami, którzy również potrafią narzekać np. na zbyt trudny język publikowanych artykułów. Ale przede wszystkim są wdzięczni, o tym także piszą.

„Mamy niektóre numery kwartalnika „Rota”. Jesteśmy pod wrażeniem tego czasopisma. (...) Lepszego prezentu Polacy na Łotwie i w innych krajach otrzymać nie mogli. Całe pismo jest bardzo ciekawe; materiały historyczne, o polskich miastach, o życiu Polaków w różnych krajach świata, o ich życiu codziennym, o zachowaniu języka ojczystego, życiu religijnym, poezja, pieśni. Niech Bóg zapłaci Wam za to.”

Pismo nie trafia do czytelników w kraju. Wielu tu marzy o wyjeździe na stałe za granicę, a

„wielu Polaków z Żytomierza marzy o tym, aby choć raz w życiu zobaczyć Polskę i móc odetchnąć jej atmosferą.”

□

Sławomir Żurek

„Scriptores Scholarum” czyli piąte koło u wozu

*„O kołach, o sprężynach rozum was naucza;
Lecz nie widzicie ręki i klucza.”*

Adam Mickiewicz, *Dziady*, cz. IV., w. 1198-1199.



Lublin jest miastem szczególnym. Jego położenie geograficzne oraz bliskość takich ośrodków jak Warszawa czy Kraków (położonego przecież również w Małopolsce), skazuje go na prowincjonalność, w najlepszym razie na bycie „poczekalnią”, w oczekiwaniu na awans do stolicy.

Lublin jest miastem, w którym obok siebie, na dwóch sąsiadujących

ze sobą uliczkach usytuowane są dwa znaczące w Europie uniwersytety. W Lublinie ukazują się trzy dzienniki, istnieje pięć rozgłośni radiowych i telewizja lokalna, funkcjonuje kilka teatrów i grup artystycznych. To właśnie tutaj wydawane są dwa kwartalniki literackie, jeden uniwersytecki oraz pismo dla Polonii i nauczycieli emigracyjnych. Lublinowi brakuje jedynie dobrych kawiarni artystycznych, gdzie można by się napić kawy, posłuchać muzyki, przeczytać swoje wiersze, podyskutować...

Nic więc dziwnego, że właśnie w Lublinie, mieście-prowincji, mieście położonym na Kresach, narodziły się „Scriptores Scholarum”. Już w momencie ukazania się pierwszego numeru, jesienią 1993 roku twórcy pisma odwoływali się do przedwojennych tradycji kulturalnych dawnych rubieży Rzeczypospolitej oraz instytucji Liceum Krzemienieckiego, szkoły, która będąc gimnazjum funkcjonowała na zasadzie małego uniwersytetu. „Scriptores Scholarum” powstały w środowisku Prywatnego Katolickiego Liceum Ogólnokształcącego im. ks. Kazimierza Gostyńskiego. A była to szkoła szczególna, i szczególnie był jej dyrektor, który pozwolił swoim ucz-

niom i nauczycielom na dojrzewanie w przyspieszonym tempie. Dyrektor PK LO uczył swoich wychowanków podejmowania samodzielnych decyzji, zmieniał i przekształcał tok zajęć szkolnych, pozwalając na wybór seminarium przedmiotowego, dając możliwość uczestnictwa w wykładach prowadzonych w szkole przez pracowników lubelskich uniwersytetów, indywidualizując tok nauczania dostosowany do możliwości emocjonalnych i intelektualnych poszczególnych uczniów. Nic więc dziwnego, że po dwóch latach istnienia szkoły pokazał się jej pierwszy owoc – „Scriptores Scholarum” – „Zeszyty Szkolne”. Partnerski model nauczania, który dla wielu w warunkach postpeerelowskiego systemu edukacji wydawał się pierwotnie klasyczną utopią, pozwolił na zafunkcjonowanie niespotykanego fenomenu uczniowsko-nauczycielskiego. Ale przecież utopią model ten nie był. Były wszak rodzą się z idei. Po raz kolejny teza o prymacie istoty nad istnieniem odniosła zwycięstwo.

Adresatem pierwszego zeszytu „Scriptores Scholarum” była przede wszystkim młodzież i nauczyciele liceum. Działy, które powstały, odpowiadały istniejącym w szkole seminarium przedmiotowym. Był więc dział literacki, historyczny, filozoficzny, matematyczny, filologii obcych i artystyczny. Zeszyt pierwszy rozpoczął wywiad z profesorem Antonim B. Stepniem – Kierownikiem Katedry Teorii Poznania KUL. Dalej drukowane były szkice, których tematyka wyznaczała poniekąd zainteresowania twórców i redaktorów pisma, a więc Witold Gombrowicz, Bruno Schulz, Isaac Bashevis Singer, literatura polsko-żydowska, filozofia, jezuici i tradycja zakonów średniowiecznych. Pojawiły się również pierwsze teksty obcojęzyczne, wiersze, opowiadania, rysunki...

Bardzo szybko wokół pisma zaczęło gromadzić się środowisko uczniowsko-nauczycielskie i wtedy właśnie narodził się pomysł pierwszych wspólnych sesji, warsztatów, imprez kulturalnych. Kwartalnik w dużej mierze stał się dla młodych środkiem dopingującym do działania. W październiku 1993 roku redakcja „Scriptores” zorganizowała Międzyszkolną Sesję Naukową „Czytanie Norwida”, poświęconą w całości twórczości najwybitniejszego poety polskiego romantyzmu. Doświadczenia wyniesione ze spotkania w Zaklikowie było nader interesujące. W sesję, obok nauczycieli i uczniów, zaangażowani byli pracownicy Zakładu Badań nad twórczością Cypriana Norwida: Piotr Chlebowski i prof. Józef Fert, który udzielił redakcji interesującego wywiadu. Fascynacje norwidowskie redakcja „Scriptores” kontynuowała. Rok później, we wrześniu w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą odbyły się Warsztaty Komparatystyczne „Tłumaczenie Norwida”. Norwid po niemiecku, angielsku, francusku, pierwsze samodzielne translacje licealistów, które dały uczniom wiele satysfakcji, a nauczycielom gwarancję, że Norwid był czytany na serio i dokładnie, słowo po słowie, a co najważniejsze bez przymusu... Kiedy kilka tygodni później redakcję kwartalnika odwiedziła delegacja Związku Pisarzy Niemieckich, w czasie spotkania chłopcy z satysfakcją patrzyli na pełne aprobaty miny literatów niemieckich słuchających „Pielgrzyma” (Der Pilger) w ich ojczystym języku. Drugi zeszyt „Scriptores Scholarum” w całości został poświęcony Norwidowi. Pojawiła się nowa koncepcja pisma – monografie.

Po wysłaniu Zeszytu Norwidowskiego do kilku europejskich ośrodków uniwersyteckich redakcja „Scriptores” nie spodziewała się aż takiego odzewu. Po paru tygodniach zaczęły przychodzić pierwsze listy, polemiki, recenzje. Pisali: prof. Karl Dedecius, dr Marian Śliwiński, prof. Mieczysław Inglot, prof. Rolf Fieguth, dr Artur Rzonca oraz nauczyciele i uczniowie z regionu. Zainteresowanie pismem zasygnalizowały: „Polonistyka”, wrocławskie „Warsztaty Polonistyczne”, „Ogród”, „Kresy”, „Akcent”. Milczały jedynie fundacje wspierające przedsięwzięcia kulturalne. Szkółę stać było jedynie na wydawanie kwartalnika co najwyżej w pięciuset egzemplarzach (drukowanych dzięki ofiarnej pracy Andrzeja Sadurskiego, który drukując „Scriptores” spędził wiele godzin przy szkolnym risografie), potrzeby środowiska były trzykrotnie większe...

Wiosenno-letni zeszyt „Scriptores Scholarum” poświęcony został w całości problematyce filozoficznej. Filozofia w Liceum Gostyńskiego od początku jego istnienia była przedmiotem podstawowym i obowiązkowym. W Zeszycie zaprezentowane były teksty różne: uczniów (w tym olimpijczyków), nauczycieli, studentów, doktorantów, asystentów, adiunktów, profesorów. Ciekawą część w piśmie zajęły rozmowy o filozofii z s. prof. Zofią Zdybicką – Dziekanem Wydziału Filozofii KUL, dr Józefem Dębowskim (UMCS), prof. Andrzejem Drawiczem (UW). „Scriptores” pozwalały młodym redaktorom nawiązywać dialog ze światem nauki i jej ludźmi. W numerze opublikowany był również projekt programu zajęć z filozofii w szkole średniej autorstwa Jacka Wojtysiaka (KUL), ciekawe szkice filozoficzne... i erotyki, gdyż tak jak zaznaczył Zespół we wstępie do „Scriptores”: „Filozofia to przecież umiłowanie mądrości. A mądrość jest ze swej natury (jak sama nazwa mówi) kobieca. Filozofowie więc muszą kochać kobiety. Stanowi to część ich życiowej pasji (...).” Po ukazaniu się czterech Zeszytów okazało się, że „Scriptores” mają potrójnego adresata. Są czytane przez środowiska uniwersyteckie, szkolne i artystyczne... I wtedy na horyzoncie pojawił się Teatr NN...

Twórcy Teatru ze zdziwieniem przyglądali się poczynaniom Redakcji: Nocy Dziadów w krypcie kościoła Ojców Jezuitów, Wigilii Cerkiewnej, licznym wieczorom poetyckim, wernisażom, spotkaniom. Po kilku wspólnych doświadczeniach Teatr zaproponował współpracę, szybko pojawiły się wspólne plany i przedsięwzięcia. Jesienią 1994 roku „Scriptores Scholarum” zmieniły swojego wydawcę. W marcu ukazał się następny, podwójny numer „Scriptores Scholarum” w całości poświęcony problemom edukacji.

Redakcja pisma zaczęła powiększać się o uczniów i nauczycieli Społecznego Liceum Ogólnokształcącego im. Adama Stanisłowskiego. Pierwszą wspólną inicjatywą były warsztaty dziennikarskie, potem promocja Zeszytu Edukacyjnego w siedzibie wydawcy – Teatru NN.

Jakie zadania stawia przed sobą Redakcja dzisiaj, po dwóch latach istnienia? Jak sytuuje siebie w Lublinie, mieście o tradycji polifonii kulturowej?

Następne Zeszyty Redakcja zamierza poświęcić problematyce ekologicznej, tak ważkiej w dzisiejszym świecie nastawionym na konsumpcję „za wszelką cenę”, na

skutek której degradowane jest również środowisko naturalne. Jesienią, wspólnie z Teatrem NN Redakcja „Scriptores” chce zorganizować serię spotkań, poświęconych problematyce różnych kultur i obszarów językowych. Zimą będą opisywać Wybory i Decyzje, które redaktorzy, w większości tegoroczni maturzyści, musieli podjąć w ostatnim okresie.

„Scriptores Scholarum” nowy, piąty kwartalnik, nowe środowisko Lublina, miasta leżącego w Europie, na styku Wschodu i Zachodu. „Scriptores Scholarum” – piąte koło u wozu...



PRYWATNE KATOLICKIE LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE

im. ks. Kazimierza Gostyńskiego

20-325 Lublin, Droga Męczenników Majdanka 27 (przy par. św. Maksymiliana)
tel. 415-09

(męska szkoła prywatna posiadająca uprawnienia szkoły publicznej)

przyjmuje kandydatów, tylko chłopców,

**w trybie naboru indywidualnego na podstawie odbytej pozytywnie
próby kwalifikacyjnej**

W programie Liceum m.in.: poszerzony program języków obcych (angielski + francuski lub niemiecki) i czteroletni kurs filozofii. Obligatoryjny program wszystkich przedmiotów realizowany do sem. 5 (do półrocza klasy III). Od klasy III fakultatywne poszerzenie wbranych przez ucznia przedmiotów maturalnych i egzaminacyjnych w systemie zajęć seminaryjnych. Od roku szkolnego 1995/96 planowane również zajęcia z zakresu podstaw prawa, ekonomii i zarządzania.

Zajęcia lekcyjne w klasach 9-12 osobowych. Zindywidualizowany system prowadzenia ucznia poprzez uzupełnienie lekcji konsultacjami ucznia z nauczycielami wszystkich przedmiotów, indywidualne zaliczenia kolejnych partii materiału itp.

Nawiązana stała współpraca z wojskiem daje chłopcom szansę ciekawych ćwiczeń i przygód (m.in. tzw. „szkoła przetrwania”, raz w miesiącu prowadzone przez kadrę wojskową ćwiczenia w zaprzyjaźnionej jednostce wojskowej, obóz z ćwiczeniami na prawdziwym poligonie). Dużo imprez turystycznych (obozy wędrownicze – piesze, narciarskie i rowerowe; krajowe i zagraniczne). W pogłębionej pracy duszpasterskiej m.in. coroczne kilkudniowe rekolekcje zamknięte. Współredagowanie przez szkołę kwartalnika uczniów i nauczycieli „Scriptores Scholarum” daje uczniom szansę prawdziwych publikacji – już w wieku szkolnym.

UWAGA: *Dla uzyskania pełniejszych efektów edukacyjnych – dydaktycznych i formacyjnych planowane jest utworzenie przy Liceum klas szkoły podstawowej: siódmej i ósmej. Absolwenci tych klas będą mieli zagwarantowane przyjęcie do klas licealnych naszej Szkoły bez egzaminów wstępnych. Zainteresowani rodzice mogą się już kontaktować z dyrektorem Liceum.*

Antonina Gutowska

Prasa młodzieżowa a wychowanie

Kilka uwag o możliwym wpływie prasy na kształtowanie postaw młodzieży

Celem niniejszego artykułu jest przedstawienie, jaki może być wpływ dostępnej obecnie na polskim rynku prasy, którą czyta młodzież, na jej wychowanie, a dokładniej na jeden z ważnych czynników wychowania, jakim jest kształtowanie się postaw.

Pisma młodzieżowe adresowane są do ludzi w wieku 12-19 lat. Jest to szczególnie czas w rozwoju człowieka. Charakteryzuje się on buntem przeciw autorytetom, krytycyzmem wobec ustalonych schematów, osłabieniem więzi rodzinnych na rzecz związków koleżeńskich. Pojawiają się zainteresowanie osobami odmiennej płci, pierwsze fascynacje i młodzieńcze miłości. Wiąże się z tym ciekawość dotycząca zagadnień seksualnych, a także niepokoje związane z własnym wyglądem i szerzej rozumianym obrazem siebie.

Okres dorastania jest czasem, w którym ujawniają się zachowania i przeżycia niezwykle ważne dla rozwoju człowieka. Młodzi ludzie zaczynają po raz pierwszy stawiać pytania zasadnicze – pytania o sens i cel życia. Próbuje znaleźć własne odpowiedzi na te pytania. Jest to czas poszukiwania i tworzenia własnej tożsamości. Młodzi ludzie chcą poznać cel i przyczyny, dla których określone postępowanie czy wartości mają być godne wyboru.

Jednocześnie niedojrzała jeszcze emocjonalność powoduje z jednej strony totalną krytykę pewnych osób czy wartości, a z drugiej – bezkrytyczny zachwyt i identyfikowanie się z innymi. W wieku dojrzewania często występuje tzw. kult gwiazdy – silna fascynacja postacią popularnego bohatera – w czasach obecnych zazwyczaj idola muzycznego czy sportowego.

W tym ważnym, a nierzadko trudnym, dla młodej osoby czasie duże znaczenie ma postawa osób dorosłych, ich reakcja na stawiane przez młodych ludzi problemy i pytania. Pisma młodzieżowe redagowane przez osoby dorosłe i adresowane do osób

młodych są jedną z form odpowiedzi świata ludzi dojrzałych na wspomniane wyżej potrzeby i zainteresowania młodych ludzi. Można przyjąć, że kontakt pomiędzy autorami a czytelnikami nosi wiele cech kontaktu wychowawczego

Prasa młodzieżowa nie tylko opisuje, ale i kreuje pewną rzeczywistość, lansuje określony styl życia i myślenia nie tylko na czas młodości, lecz na całe życie. Tym samym zmierza do kształtowania u młodzieży pewnych postaw. W psychologii terminem postawa określa się sposób odnoszenia się podmiotu do jakiejś rzeczywistości – np. do wartości lub do osoby. W postawie można wyróżnić trzy komponenty: intelektualny (zawierający wiedzę o przedmiocie), emocjonalny (zawierający uczucia i emocje związane z tym przedmiotem) oraz behawioralny (zawierający wzory i sposoby zachowania się wobec przedmiotu). Tak więc kształtowanie określonej postawy odbywa się poprzez przekazywanie informacji, wywoływanie uczuć oraz modelowanie zachowań.

W niniejszym artykule przeanalizuję możliwy wpływ pism młodzieżowych na kształtowanie się postaw czytelników w trzech wymienionych wyżej aspektach – oddziaływania na sferę intelektualną, oddziaływania na sferę uczuć oraz kształtowanie wzorów zachowań. Używam tu sformułowania „możliwy wpływ”, ponieważ dla zbadania faktycznego wpływu należałoby przeprowadzić badania empiryczne w zróżnicowanych przedziałach czasowych z uwzględnieniem wielu innych czynników, które nawet mocniej niż prasa kształtują postawy młodzieży (np. telewizji). Ze względu na dużą liczbę zmiennych badania takie będą zawsze narażone na różne zarzuty natury metodologicznej. Myślę jednak, że nawet bez takich badań, na podstawie analiz treści tych pism można określić przynajmniej możliwy ich wpływ na postawę młodzieży.

Młodzież ma kontakt z różnego rodzaju prasą i nie sposób tu przedstawić wszystkich tytułów. Wybrałam więc do analiz kilka najbardziej reprezentatywnych przykładów prasy młodzieżowej wyłonionych w drodze przeprowadzonego sondażu wśród młodzieży z różnego typu szkół i środowisk. Młodzież wskazała 8 najbardziej lubianych i najczęściej czytanych tytułów. Ze względu na ich charakter, poziom i sposób przekazu pisma te podzieliłam na dwie grupy. W grupie pierwszej znalazły się magazyny młodzieżowe będące w dużej części przedrukami z zachodnich pism młodzieżowych, a w grupie drugiej pisma w całości redagowane i wydawane w Polsce.

Kolejność omawiania tych grup pism wynika z ich uszeregowania ze względu na popularność. Najbardziej popularne wśród młodzieży są następujące tytuły: *Bravo*, *Bravo-girl*, *Dziewczyna* i *Popcorn*. Wszystkie one są pismami międzynarodowymi. Zawarty w nich układ rubryk, spora ilość tekstów i ilustracji to przedruki z magazynów zachodnich ukazujących się pod tymi samymi tytułami. Są to pisma kolorowe, tanie, przyciągające intrygującymi podtytułami. Liczą przeciętnie około 30 stron i ukazują się raz w miesiącu. Od września najpopularniejsze z nich *Bravo-girl* wydawane jest co 2 tygodnie.

Treść tych młodzieżowych magazynów koncentruje się na sprawach muzyki rockowej i seksu. Wszystko jest tu przedstawione w sposób naśladowujący reklamy telewi-

zyjne: krótkie informacje, powtarzające się hasła, nagromadzenie małych obrazków z krótkimi komentarzami, szybkie wywiady z gwiazdami muzyki niemal wyłącznie na temat kariery, seksu i pieniędzy.

Dla potrzeb tego opracowania zapoznałam się z kilkudziesięcioma egzemplarzami tych pism, które ukazywały się w ciągu ostatnich dwóch lat (1993 i 1994). Na tej podstawie mogę stwierdzić, że pod względem charakteru są to pisma bardzo do siebie podobne, a prezentowane w nich treści są niemal identyczne. Różnice dotyczą głównie liczby tekstów dotyczących muzycznych idoli (tych więcej jest w *Bravie* i *Popcornie*) i seksu (tego typu teksty dominują w pismach *Bravo-girl* i *Dziewczyna*).

Skąd tak wielka popularność tych magazynów? Nie jest to tylko wynik dynamicznie i sprawnie prowadzonej akcji reklamowej. Pisma te są kolorowe, atrakcyjne, prezentują wysoki poziom szaty graficznej. Dużą rolę odgrywa ich stosunkowo niska cena – są o kilka tysięcy tańsze niż nasze rodzime pisma młodzieżowe. Wychodzą naprzeciw zainteresowaniom młodzieży, a przede wszystkim fascynacją muzyką młodzieżową i jej idolami oraz ujawniającym się silnie w okresie dorastania zainteresowaniem kontaktami z osobami płci odmiennej oraz własnym ciałem i wyglądem. Sposób oddziaływania pism z tej grupy spróbuję ukazać poprzez analizę przekazywanych informacji, wywoływanych przez nie uczuć oraz roli zawartych treści w modelowaniu zachowań.

Jak wspomniano wcześniej, treść informacji ograniczona jest tu prawie wyłącznie do muzyki młodzieżowej i zagadnień seksualnych. W doniesieniach o idolach muzycznych znajdujemy zdjęcia, reportaze, sprawozdania z tras koncertowych, wywiady z gwiazdami. Informacje te są przedstawione w sposób sensacyjny, a dotyczą głównie prywatnego życia bohaterów. Liczne są doniesienia o skandalach z życia gwiazd, ich kolejnych zdradach, rozwodach i kłótniach. Dowiadujemy się o przestępczej lub związanej z narkomanią przeszłości idoli, o problemach ich życia uczuciowego, o sekretach ich sypialni. Cytaty wypowiedzi gwiazd także nie dotyczą zazwyczaj ich twórczości, lecz życia intymnego, orientacji seksualnej, ostatnich skandali.

Redaktorzy uważają np. za warty odnotowania fakt, iż chłopcy z zespołu *Take That* informują swoje miłośniczki, że założyli się, który z nich przyciągnie do łóżka więcej dziewczyn, lub to, że ktoraś z piosenkarek deklaruje się jako lesbijka, a inna twierdzi, że sypia tylko z dobrze umięśnionymi mężczyznami. Brak jest ukazania sensu muzyki i śpiewania w życiu bohaterów, poznania ich motywacji czy wysiłków związanych z doskonaleniem swojego warsztatu. Rzadko dowiedzieć się można o czym śpiewają i co chcą swoją twórczością przekazać. Odnosi się wrażenie, że przeciętna gwiazda muzyki to bezmyślne stworzenie zajmujące się tylko własną karierą i romansami. Obrazy z ich życia oderwane są od problemów przeciętnych ludzi, jak np. kształcenie się czy życie rodzinne. W ich wynurzeniach nie spotyka się głębszej refleksji nad życiem czy prawdziwych uczuć.

Także w sprawozdaniach z koncertów sporadycznie można napotkać krytyczną ocenę prezentowanej muzyki i tekstów. Sprawozdawcy koncentrują się na oddaniu niezwykłej atmosfery koncertów. opisie panującej ekstazy, tarzania się fanów po zie-

mi. Dużo uwagi poświęcają wyglądowi i zachowaniu gwiazd – szczególnie tych ekscentrycznych. Informacje dotyczą tego, kto do jakiego stopnia był rozebrany i prowokujący, np. faktu iż ktoś w czasie wykonywania utworu opuścił spodnie, a ktoś inny wykonał utwór z rozpiętym rozporkiem. Tego typu informacje spotkać można niemal w każdym numerze *Bravo* i *Popcorn*.

Nie tylko zawarte treści, lecz także w dużej mierze sposób ich przekazywania silnie oddziałują na emocje młodych ludzi. Okładki typowe dla tej grupy pism to w przypadku *Brava* i *Popcornu* postać idola muzycznego, otoczona małymi zdjęciami innych gwiazd. Obok głównego tytułu pisma – wiele intrygujących, kolorowych podtytułów, np: Ekstaza w rytmie techno; Gorące zdjęcia Kim Basinger; Pytania intymne do Right Said Fred; Madonna – ostra i sexy; Erotyczny show, itp. Autorzy starają się przekazywać swoje rewelacje w sposób niekonwencjonalny – kolorowe litery, wiele wykrzykników, częste używanie słów typu: szok, ekstaza, podniecenie, ostra cizia, mocne sceny.

Obok skandalizujących treści znajdują się ekscentryczne zdjęcia uwielbianych gwiazd – często w skąpych strojach i obscenicznym pozach. W rubrykach dotyczących muzycznych idoli napotkać można częste łączenie symboli ostrego seksu z symbolami religijnymi lub satanicznymi – rozebrane gwiazdy mają jako ozdobę krzyż, a w nazwach zespołów występują słowa Virgin, Madonna, Żelazna Dziewica – to wszystko w kontekście zdjęć będących zaprzeczeniem tradycyjnych skojarzeń z symbolami religijnymi i tymi nazwami. Gwiazdy rocka są jednocześnie kreowane na bogów, bezkrytycznie uwielbianych – spotkanie z nimi jest źródłem szczęścia i rozkoszy.

Młodzi ludzie nazywają siebie fanami i rzeczywiście często fanatycznie i bezkrytycznie uwielbiają swoich bohaterów. Przekazywany w tego typu magazynach wizerunek gwiazd muzyki umacnia ten fanatyzm, a jednocześnie staje się często wzorem do naśladowania dla młodzieży. Modelem zachowania jest atrakcyjne, ciekawe życie pełne silnych wrażeń, bezmyślność, brak szerokich zainteresowań. Jednocześnie zainteresowanie młodzieży kierowane jest na ciemne aspekty życia idoli: na przestępstwa, niewierności, rozwiązłość seksualną, wulgarność w wypowiedziach i zachowaniu, przedmiotowe traktowanie innych osób.

To harmonizuje z naturalną u młodzieży buntowniczością wobec tego, co zastane. Ukazane życiorysy sugerują, że możliwe jest funkcjonowanie poza tradycyjną hierarchią wartości. Z drugiej strony owe gwiazdy prezentowane są czasami w sentymentalnych sytuacjach przypominających reklamowe obrazki, spotykać możemy np. zdjęcia idoli głaszczących roześmiane dzieci. To z kolei zaspokaja również naturalną w tym wieku uczuciowość. W ten sposób kreuje się świat, którego współrzędnymi są: bunt przeciwko zastanym wartościom i powrót do utopijnej natury, w której nie rozum a uczucie ustala reguły gry.

Po przyjrzeniu się sposobowi przedstawienia muzyki i jej bohaterów, przyjrzymy się teraz drugiemu tematowi poruszanemu w międzynarodowych magazynach młodzieżowych – życiu uczuciowemu nastolatków. Na początku warto zauważyć, że pisma z kręgu *Brava* nie zajmują się życiem intelektualnym czy kulturalnym mło-

dzieży. Istnieją co prawda rubryki zalecające, co warto przeczytać i obejrzeć, lecz promują one wyłącznie banalną i sensacyjną rozrywkę.

Opisywane życie uczuciowe nastolatków zawężone jest do miłości młodzieńczych, które praktycznie sprowadzone są do fascynacji seksualnych i ich zaspokajania. Nie ma tu miejsca na rozważania o przyjaźni, głębiej rozumianej miłości, czy kontaktach ze starszym pokoleniem. Okładka *Dziewczyny* i *Bravo-girl* to z reguły całująca się lub obejmująca para nastolatków. Na wszystkich okładkach obok tytułu znajdujemy wiele kolorowych podtytułów wskazujących na zawartość pism, np.: Miłość i pożądania; Frywolne fantazje; Leksykon miłości, itp. W środku znaleźć można różnego typu informacje.

We wszystkich pismach z tej grupy znajdują się rubryki porad intymnych. Są to najczęściej porady seksuologiczne, będące odpowiedziami na pytania czytelników. Zasadniczo są to rzeczowe informacje medyczne – czytelnicy uzyskują wyczerpującą i jasną odpowiedź na każde, nawet najintymniejsze pytanie z dziedziny fizjologii. Niektóre odpowiedzi obok wiadomości medycznych uwzględniają psychologiczne tło problemów czytelników. Mają one różny charakter w zależności od osoby, która porad udziela. Niektórzy doradcy prezentują postawę skrajnie liberalną np. wobec wczesnej inicjacji seksualnej lub aborcji, inni natomiast postulują powiązanie seksu z miłością, pracę nad samoakceptacją i godnym życiem, czy zastanowienie się nad charakterem kontaktów z ważnymi dla pytającego osobami.

Niejednokrotnie rozsądne psychoporady stoją jednak w zupełnej sprzeczności z przesłaniem pism, w których rozbudza się erotyczne fantazje młodzieży, zachęca do traktowania siebie i innych jako obiektów pożądania. Przykładem tego może być rubryka mody, przedstawianej w sposób sugerujący, że celem ubierania się jest wzbudzanie pożądania lub szczególnie przez czytelników lubiana Fotoopowieść, której szczęśliwym finałem jest z reguły fizyczne zbliżenie nastoletnich bohaterów.

Innym przykładem może być ukazująca się cyklicznie w numerach *Bravo-girl* z 1994 r. rubryka: Miłość i pożądanie. Treść jej stanowi bardzo dokładny, często graniczący z perwersją opis seksualnych przeżyć jakiejś pary, który ma być zobrazowaniem jakiegoś wybranego problemu z dziedziny seksuologicznej np. nieudanego pierwszego razu, erotycznych fantazji czy niekonwencjonalnych metod doprowadzania się partnerów do przeżycia seksualnej rozkoszy (np. szczegółowy opis jak robi to para podczas rozmowy telefonicznej).

Autorką tej rubryki jest widoczna na zdjęciu dojrzała 38-letnia pani z tytułem doktora (nie podano niestety z jakiej dziedziny), siedząca przy biurku obłożonym książkami. Osoba ta jest przedstawiona więc w sposób mający budzić zaufanie (bo to zapewne fachowiec), a jednocześnie tłumić dylematy moralne, bo jest osobą ze starszego pokolenia, mającą wygląd dobrej cioci. Pani doktor rozwiewa wszelkie moralne wątpliwości, podając proste przepisy na osiągnięcie szczęścia, o którym marzy większość par, a które, jak łatwo można zauważyć, utożsamia się z przeżyciem rozkoszy seksualnej z dziewczyną czy chłopakiem, z którym „nie musi was łączyć gorąca miłość, ale ważne jest, aby było wam ze sobą dobrze”.

Wiele miejsca poświęca się autobiograficznym opisom miłości nastolatków. W *Bravo-girl* jest to rubryka nosząca tytuł *My love story*, w której przedstawione są doświadczenia miłosne czytelniczek, w piśmie *Bravo* stała rubryka zatytułowana *Mój pierwszy raz*, gdzie młodzi czytelnicy przedstawiają szczegółowy opis swojego pierwszego stosunku seksualnego. Opisy te opatrzone są zdjęciami rozebranej pary nastolatków oddających się namiętnym pieszczotom.

Można przypuszczać, że jednym z celów tych rubryk jest edukacja seksualna młodzieży. Problematyczne jest jednak, czy tego typu wyznania uczą otwartości i lepszego zrozumienia przeżyć innego człowieka, czy też raczej uczą ekshibicjonizmu i rozbudzają erotyczne potrzeby. Nadmienić trzeba, że ich język i styl nie przypomina w najmniejszym stopniu literackich erotyków, lecz zbliżony jest do języka poradników medycznych lub do stylu znanego z instrukcji obsługi. Z wychowawczego punktu widzenia niepokojące jest zostawienie tych tekstów bez komentarza. Opisy dotyczą tej jednej sytuacji (np. odbycia stosunku) i najczęściej nie wybiegają w przyszłość. Jeden z opisów kończy się zdaniem „potem okazało się, że jestem w ciąży”. Nie wiadomo jednak, czy to dziecko urodziło się, czy dokonano aborcji, czy para ta została ze sobą. Pominęty jest problem, co mówią te osoby swoim następnym partnerom, jaki wpływ będzie miał ten fakt na ich przyszły związek małżeński.

Historie romansów nastolatków z żonatymi i dzieciatymi mężczyznami, w których autorki same opisują się jako pokrzywdzone w momencie, gdy panowie ci zrywają z nimi wybierając swoje rodziny, także pozbawione są jakiegokolwiek komentarza ze strony redakcji. Z tego względu przedstawione opisy łatwo mogą zostać odebrane jako wzór do naśladowania czy norma zachowania młodych ludzi.

Spróbujmy podsumować wychowawczy wpływ pism z pierwszej grupy. Lansowana w nich postawa wobec otaczającego świata to postawa hedonistyczna – celem życia jest szybka i łatwa przyjemność zmysłowa. Zasada działania staje się wtedy unikanie cierpienia, nawet kosztem narażania wartości powszechnie uważanych za wyższe – np. prawda, miłość, przyjaźń. Przedstawiana rzeczywistość ogranicza się do muzyki młodzieżowej, seksu, kariery i pieniędzy. Efektem tego może być faktyczne zawężenie zainteresowań czytelników do tych aspektów życia. Jeśli wskazuje się jakiegokolwiek ograniczenia w dziedzinie seksualnej, do dotyczą one zdrowia fizycznego (np. nie należy współżyć z dużą liczbą przypadkowych partnerów, bo można zarazić się AIDS) lub dobrostanu psychicznego (nie należy siebie ani partnera do niczego zmuszać).

Nadaje się nowe znaczenia słowom miłość, odpowiedzialność, dojrzałość. Miłość utożsamiana jest z pożądaniem, podrywaniem i odbywaniem stosunków seksualnych – wspomniane pisma zajmują się tylko tym aspektem miłości. Celem i uwieńczeniem młodzieńczego uczucia jest zbliżenie fizyczne. Hasła w tzw. Leksykonie miłości to: członek, defloracja, masturbacja, petting itp. Odpowiedzialność ograniczana jest do umiejętności zabezpieczenia się przed niepożądaną ciążą. Dojrzałość – to umiejętność takiego rozpoznania potrzeb własnych i partnera, aby podczas stosunku seksualnego obu osobom było maksymalnie przyjemnie. W wielu miejscach autorzy

sugerują, że jeśli młody człowiek jest w ten właśnie sposób odpowiedzialny i dojrzały, to gotów jest już do podjęcia współżycia.

Wydaje się, że wg autorów tych pism wychowanie do miłości to głównie podanie szczegółowego instruktażu technik seksualnych. Płciowość człowieka jawi się tam wyłącznie jako jedna z fizjologicznych funkcji organizmu, sfera seksualna oderwana jest całkowicie od małżeństwa i rodziny, a jej związek z prokreacją ujawnia się jedynie w takich terminach jak antykoncepcja, aborcja, niepożądana czy niechciana ciąża. Tolerancja to akceptowanie wszelkich zachowań – np. przejawem nietolerancji lub zazdrości rodziców są ich zastrzeżenia do kontaktów seksualnych swoich dzieci.

Charakter pism z tej grupy dobrze odpowiada na silnie ujawniające się w okresie dorastania pragnienie wolności, bunt przeciw autorytetom, krytykowanie schematów i konwenansów. Wszechobowiązującą zasadą jest negatywnie rozumiana wolność, czyli wolność od moralnych zakazów i nakazów. Nie ma instytucji czy autorytetu, które miałyby prawo cokolwiek narzucać młodemu człowiekowi i w jakimkolwiek stopniu go ograniczać. Dokładniej mówiąc, nie eliminuje się wszelkich autorytetów, lecz zastępuje autorytety dotychczasowe nowymi: muzycznymi bożyszczami.

Modelem zachowania jest ciągła rozrywka, wieczny bezmyślny uśmiech, modne i seksowne ubieranie się oraz umiejętne podrywanie obiektów pożądania. O atrakcyjności człowieka decyduje ciało i wygląd zewnętrzny. Prezentowane zachowania młodzieży to nieustająca rozrywka i zajmowanie się własnym wyglądem. Świat przedstawiony jest jako ciągła zabawa i oddawanie się przyjemnościom, a treści pisma podają instrukcje szybszego i sprawniejszego przeżywania przyjemności. Jeśli wspomniane są jakieś osobiste dramaty bohaterów (np. uzależnienia, rozwody, przemoc czy samobójstwa) to podawane są one w konwencji humorystycznej lub sensacyjnej. Aktywność nastolatków ogranicza się do uczestnictwa w dyskotekach, uczęszczania na imprezy, oglądania filmów pornograficznych, korzystania z seks-telefonu, no i oczywiście ciągłego i na wszystkie sposoby uprawianego seksu.

Oddziaływanie tego typu pism idzie więc w kierunku wzbudzenia przekonania, że normą jest podejmowanie współżycia seksualnego przez bardzo młodych ludzi. Sugeruje się, że przeciętna 16-latkka ma za sobą pierwsze kontakty seksualne, a 18-letni czytelnicy są bardzo zazenowani, gdy przyznają, że dopiero w tym wieku przeżyli pierwszy stosunek. Drugi człowiek przedstawiony jest jako narzędzie do zaspokajania własnych potrzeb. Osobę się podrywa, zdobywa, a w kontaktach z nią radzi się kierować energią na swój wygląd i potrzeby, a nie na poznawanie i dialog.

Z taką właśnie rzeczywistością i z takimi odrealnionymi postaciami młody człowiek ma się identyfikować. Prawdopodobnie bolesny musi być dla stałego czytelnika powrót do bynajmniej nie tak rozrywkowej i kolorowej rzeczywistości, czy do swojego najczęściej niezbyt sexownego wyglądu w wieku kilkunastu lat. Może to budzić postawy ucieczkowe, odgradzania się od rzeczywistych problemów, a jednocześnie budzić poczucie bezradności, braku kontroli nad swoim życiem i nieodpowiedzialności.

Przechodzę teraz do drugiej grupy pism. Należą do niej magazyny drukowane i wydawane w Polsce, mniej popularne od poprzednio omawianych, ale lubiane i czy-

tane przez dużą liczbę młodych ludzi. Omówię 4 z nich: *Zygzak*, *Jestem*, *Filipinka*, oraz *Magazyn nastolatków 10/20*. Pisma te prezentują zdecydowanie wyższy poziom od poprzednio omawianych.

Wartościowym z wychowawczego punktu widzenia wydaje się być miesięcznik *Zygzak*. Jest to pismo przeznaczone dla uczniów w wieku lat 10 do 15. Pełny jego tytuł brzmi: *Zygzak, magazyn PCK dla dziewcząt i chłopców*. Pismo to wydawane jest w Warszawie. Znaleźć w nim można rubryki i teksty dotyczące wielu dziedzin życia mogących interesować młodego czytelnika. Pismo rozwija różne zainteresowania dotyczące otaczającego świata. Jednocześnie zajmuje się też typowymi problemami nastolatków. Są tu teksty poświęcone różnym aspektom przyjaźni i miłości młodzieńczych. Typowe dla nastolatków zauroczenia, idealizowanie ukochanej osoby ukazwane są tu jako pierwsze etapy nauki prawdziwej miłości.

Często poruszane są także zagadnienia związane z kontaktem z rodzicami, rodzeństwem czy dziadkami. Wiele tekstów dotyczy życia szkolnego. Głębokie niekiedy analizy psychologiczne ujęte są w formie krótkich, ciekawych, często dowcipnych opowiadań. Ponieważ jest to pismo Polskiego Czerwonego Krzyża, sporo miejsca poświęconego jest problemom zdrowotnym. Są odpowiedzi na pytania dotyczące przemian okresu dorastania, lęków i pytań młodych ludzi związanych z własnym ciałem.

Wpływ wychowawczy tego pisma wydaje się być pozytywny. Ciekawe i mądre postawione problemy pozwalają młodemu czytelnikowi lepiej odnaleźć się w otaczającej go rzeczywistości. Pomagają w kontaktach z rówieśnikami i starszym pokoleniem. Autorzy uczą jednocześnie swoich odbiorców dostrzegania różnych aspektów wydarzeń, krytycznego myślenia. Prezentują jednocześnie jasną i spójną hierarchię wartości – zachęcającą do pracy nad sobą, kształtowania swojego charakteru, odpowiedzialności za własne życie i za drugą osobę – szczególnie tę darzoną silnym uczuciem. Nie jest to jednak pismo o charakterze moralizatorskim – jego autorzy mają dużo poczucia humoru, co sprawia, że szata graficzna i treść pisma są interesujące i pogodne.

W tym samym wydawnictwie, chociaż przy innym składzie redakcji powstaje też jedno z najpopularniejszych pism polskich *Jestem*. Przeznaczone jest dla młodzieży starszej i porusza poważniejsze i bardziej złożone problemy. Tematem dominującym jest fizyczne i psychiczne zdrowie człowieka. Oprócz promowania zdrowego stylu życia, autorzy nie unikają tematów trudnych – problemów ludzi chorych i upośledzonych, sposobów radzenia sobie z własną niesprawnością. Na łamach tego pisma czytelnicy znajdują odpowiedzi na nurtujące ich pytania dotyczące własnego ciała i zdrowia. Nie brak jest również porad psychologicznych.

Następne pismo z drugiej grupy to *Filipinka*. Artykuły w nim zawarte także dotyczą różnych dziedzin życia – jest tu moda, rozrywka, ale też wywiady z przedstawicielami świata sztuki i nauki, teksty dotyczące problemów społecznych i kulturalnych. Są też teksty dotyczące miłości pomiędzy chłopakiem i dziewczyną, ale w przypadku tej gazety, opowieści autobiograficzne zawierające opis uczuć po pierwsze ukazują konsekwencje postępowania bohaterów (np. jest opisana historia

studenckiej pary, którą do małżeństwa skłoniło poczęcie dziecka), a po drugie opisy te są komentowane przez redakcję, a częściej przez innych czytelników. Jest więc tu miejsce na dyskusję nad różnymi postawami, także tymi, które dotyczą strefy uczuć. Teksty zachęcają do krytycznego myślenia, twórczości, nauki, pracy nad sobą.

Następne pismo to *Magazyn nastolatków 10/20*, miesięcznik, wydawany przez Agabet w Warszawie. Treść pisma dotyczy zainteresowań młodych ludzi, a także ich kontaktów z rówieśnikami i rodzicami. Jest tu dużo informacji o idolach muzycznych i popularnych aktorach. Informacje muzyczne są na wyższym poziomie niż w *Bravo* – mniej jest sensacji i elementów mających szokować – więcej konkretnych informacji o pracy i osobowości artystów. Przeglądając ostatnie numery *10/20* można jednak odnieść wrażenie, że stara się ono upodobnić do *Brava* – coraz więcej jest zdjęć namiętnie obejmujących się nastolatków z szerokim i pustym uśmiechem na twarzy. W czytelnikach wzbudza się ambicje, że też taką parą mogą się stać, proponując im np. udział w konkursie polegający na przysyłaniu swoich zdjęć. Coraz częściej też pojawiają się postulaty, aby być sexy i ciągle dobrze się bawić.

Podsumowując tę grupę pism można stwierdzić, że prezentują one wyższy poziom niż pisma typu *Bravo*. Zawarte w nich treści dotyczą wielu aspektów rzeczywistości. Artykuły oraz poruszane w listach i reportażach problemy są bliskie czytelnikowi polskiemu, związane są z rodzimymi realiami życia młodego człowieka. Rozważane są możliwości kształcenia się, znalezienia lub zmiany pracy, a także ważne problemy społeczne i kulturalne.

Pisma młodzieżowe typu *Bravo* kształtują postawy swoich czytelników wyzwalając ich, często niskie, uczucia, pisma polskie natomiast najczęściej oddziałują na strefę intelektualną nastolatków, skłaniając ich do refleksji i krytycznego myślenia. Na łamach tych pism jest miejsce na polemiki i krytyczną ocenę różnych wydarzeń i poglądów. Redakcje często apelują do czytelników, aby zastanowili się, jakie jest ich zdanie i włączyli się do dyskusji. Także poziom graficzny pism polskich jest coraz lepszy, choć niepokoi zdarzające się powielanie bazujących na niskich uczuciach pomysłów z *Brava*.

Niewielkie są chyba jednak szanse na to, że ambitniejsze pisma polskie staną się popularniejsze niż proponujące konsumpcyjny i bezmyślny styl życia magazyny. Przyczyną tego jest w dużej mierze niemal dwukrotnie wyższa cena pism polskich. Należy zdawać sobie sprawę, iż za zachodnimi magazynami młodzieżowymi stoi wielki przemysł rozrywkowy. W związku z tym różnica cen może się coraz bardziej pogłębiać. Wspieranie finansowe prasy prezentującej wyższy poziom na pewno poprawiłoby tę sytuację, ale zapewne z wielu względów jest to przedsięwzięcie niemożliwe do realizacji. Dlatego też należy się skoncentrować na innych działaniach promujących pisma o pozytywnym oddziaływaniu wychowawczym.

Biorąc pod uwagę niewielką orientację dużej części rodziców i wychowawców dotyczącą prasy młodzieżowej, uważam za niezwykle potrzebne uwrażliwienie i zainteresowanie dorosłych treściami przez nią poruszonymi. Sądzę, że należy szeroko informować o zawartości tych pism oraz o ich możliwym wpływie na rozwój

młodych ludzi. Informowanie to może następować poprzez poruszanie tej problematyki w środkach masowego przekazu, ale także na spotkaniach z rodzicami i nauczycielami. Oprócz informacji potrzebne jest podjęcie rzeczowej dyskusji nad lansowanym przez magazyny młodzieżowe i inne środki masowego przekazu stylem życia. Dyskusja taka powinna być podjęta przez wychowawców i naukowców, szczególnie psychologów i pedagogów, a także etyków i socjologów.

Z pewnością nie uchronimy naszych dzieci od kontaktu z demoralizującymi treściami. Nadal zapewne najbardziej popularne będą pisma prymitywne i młodzi ludzie będą się z nimi nieustannie stykać. Możemy jednak podjąć działania, dzięki którym kontakt młodzieży z tego typu dziełami nie będzie kończył się na biernym odbiorze i nieświadomej identyfikacji. Najbardziej pożądane byłoby wyposażenie młodych ludzi w wielką broń, jaką jest umiejętność stawiania problemów, logicznego myślenia i krytycznej oceny tego, co proponują im redaktorzy pism. Otwarta walka z demoralizującymi treściami, ośmieszanie ich czy zabranianie młodzieży prymitywnej lektury wydaje się być mało skuteczne. Aby jednak podjąć działanie pozytywne, warto na problem wychowania spojrzeć szerzej. Oprócz środków masowego przekazu najpotężniejszymi instytucjami wpływającymi na wychowanie są szkoła i rodzina. Trzeba energiczniej i bardziej skutecznie wesprzeć te instytucje.

W przypadku szkół chodzi zarówno o poparcie finansowe, jak i o zadbanie o odpowiedni poziom intelektualny i moralny nauczycieli, tak, aby szkoła stała się znowu instytucją wychowującą, a nie tylko dostarczającą wiedzy. Jeśli chodzi o rodziny, to potrzebnych jest wiele działań wspierających je zarówno pod względem ekonomicznym, jak i w funkcji wychowawczej. Koszty, które obecnie należałoby w związku z tym ponieść, należałoby traktować jako niezbędne inwestycje, które zwrócą się w przyszłości, ale których niepodjęcie teraz może być groźne dla następnych pokoleń Polaków.



„Dziennikarz jest niedorobionym literatem — zamiast fikcji używa prawdy.”

Zasłyszane na warsztatach dziennikarskich



prezentacje – Pliszczyn '95

Katarzyna Grzybowska

Więcej, ale za mało

Są takie miejsca, do których przybywa się jak do źródła, po nadzieję, pewność i siłę dla spragnionych. Są to oazy spokoju, które emanują przedziwną atmosferą. Jedno z takich miejsc miałam szczęście poznać osobiście.

Taizé to francuska wspólnota ekumeniczna. Wioska położona niedaleko Lyonu, została założona kilkadziesiąt lat temu przez brata Rogera. Każdego roku do Taizé przybywają setki tysięcy ludzi, aby doświadczyć bezinteresownej opieki i dowiedzieć się czegoś o sobie. Bracia nie przyjmują żadnych darowizn, utrzymują się wyłącznie z własnej pracy. Ci ludzie robią jeszcze więcej...

Brat Roger przyjmuje do Taizé samotne i cierpiące dzieci z całego świata, szczególnie z miejsc, w których toczy się wojna, gdzie panuje cierpienie, głód fizyczny i głód uczucia. Tego najmocniej doświadczają dzieci z Bośni, Hercegowiny, Ruandy, Czeczenii...

Bracia czują, że robią więcej niż inni, ale zarazem zdają sobie sprawę, że to jest tylko kropla w morzu potrzeb, „kropla szczęścia w morzu cierpienia”. Wiedzą, iż te dzieci to symbol tysięcy innych, które zostały w swoich państwach. W rzeczywistości to tragiczny znak naszych czasów.

Muszę przyznać, że to, co robi ta wspólnota to więcej niż kiedykolwiek mogłabym sobie wyobrazić, bo przecież „wrywa się” te dzieci z ognia wojny, ale to wszystko mało, mało... One nigdy nie będą w stanie zapomnieć pewnych scen, których były świadkami, pewnie nigdy nie wyzwolą się z pętli wspomnień. Ta bezsilność sprawia ból i wywołuje trwogę.

W czasie mojego pobytu w Taizé poznałam kilkoro z tych dzieci: trzy małe dziewczynki, które przyjechały z Bośni i dwóch starszych chłopców z Hercegowiny. Bez względu na to, czy zostanę posądzona o nadmierny sentymentalizm – muszę napisać, że nigdy nie zapomnę ich spojrzeń, bezradnych gestów, smutku. Dzieci bały się wszystkiego, były nieufne, ale przede wszystkim samotne.

Samotność dziecka wydaje się bardziej przerażająca i niesprawiedliwa niż samotność dorosłego.

W jakiejś szalonej potrzebie normalności świata – miałam ochotę podbiec do nich i prosić, by zaczęły tańczyć, bawić się w berka lub chowanego, by robiły to, co wydaje mi się takie naturalne dla mojego dzieciństwa, by się śmiały, by nie musiały pamiętać, że już nie mają rodziców... Ostatniego dnia mojego pobytu widziałam te dzieci jeszcze raz. Była sobota, dzień, w którym wszyscy obecni otrzymują od dzieci świece symbolizujące jedność i bezpieczeństwo. Na twarzy najstarszego chłopca malował się wyraz skupienia i napięcia. To była jedna z najpiękniejszych chwil w jego i moim życiu.

Brat Roger wie, że każdego roku wzrasta liczba potrzebujących dzieci, które cierpią, pragną miłości, ciepła i opieki. Choć otrzymują w Taizé tak wiele – wiedzą, że będą musiały wrócić. Boją się. To straszne, że dzieci muszą się tak bać!

Wciąż powtarzam, że powinno powstawać coraz więcej takich miejsc jak Taizé, ale to wszystko za mało. Więcej, ale za mało.



Agnieszka Monika Mazur

Porwanie Mistrza

Dnia 16.02.95 r. w Młodzieżowym Domu Kultury „Vetter” odbyło się otwarcie wystawy grafiki i rysunku Piotra Lecha.

Twórczość Piotra Lecha znana jest w środowisku lubelskim. Studiował w Instytucie Wychowania Artystycznego UMCS w latach 1974-1978. Od 1979 r. pracuje w IWA UMCS w Lublinie w Zakładzie Grafiki w Pracowni Druku Płaskiego. Miał osiem wystaw indywidualnych m. in. w Lublinie, Warszawie, Berlinie, Darmstad i brał udział w ok. 40 wystawach zbiorowych w kraju i za granicą.

Ulubioną techniką artysty jest litografia, która pozwala na najbardziej precyzyjne oddanie sposobu rysowania. „Wynika to z pewnością z mojego charakteru – powiada o sobie sam artysta – nie lubię krzyczeć, wydaje mi się, że mam naturę wyciszoną. Taki rysunek sprzyja również precyzji wyrazu, którą chcę osiągnąć w każdej z prac, a jest ona dla mnie bardzo istotna. Posługując się tylko kreską, rytmizując ją i zagęszczając mogę uzyskać wrażenie przestrzeni, zasugerować określony walor, wręcz kolor.” Artysta transponuje rzeczywistość poprzez zastosowane barwy. Twierdzi, że „używanie wyłącznie czerni i bieli to tak, jak udzielanie odpowiedzi w kategoriach Tak lub Nie. Używanie koloru jest (...) wypowiedzią pełniejszą (...) Kolorem wypowiadamy się wprawdzie ciszej, ale bogatszą skalą i pełniej.” W litografii rozszerza środki ekspresji: kreski, plamy...wykorzystując odciski rzeczywistych liści, pnączy roślinnych i gałązek. Wszystko to daje efekt mozałnej, wręcz pajęczej siatki z różnej grubości linii. Grafika stała się planem popisu artysty, który łączy w sztuce elementy secesji z wyznaczonym przez siebie mitem o matce naturze, z poszukiwaniem rodzimych treści oraz środków artystycznej wypowiedzi. W warunkach, kiedy pod naporem nowych potrzeb cywilizacyjnych tradycyjna systematyka „sztuk pięknych” przestała już obowiązywać – grafiki kryją przed nami swój „zapis wewnętrzny”, istniejący być może tylko w naszej wyobraźni.

Dziełom artysty od początku towarzyszy refleksja nad człowiekiem, jego działalnością zarówno twórczą, jak i destrukcyjną.

Mówiąc o eskalacji zagrożeń ekologicznych autor pozostawia odbiorcy margines na własne skojarzenia. Wszystkie te procesy są pełne twórczej inwencji.

Każdy obraz to inna struktura, inne zdanie, inny problem, inna zagadka i inna prawda życia. Jest w tym umiejętność przypatrywania się życiu i umiejętność operowania niezwykle subtelnymi środkami ekspresji. Z pewnością jest to odbicie tęsknoty za naturą, która ma w jego życiu znaczenie głębsze... filozoficzne. „To właśnie nieustanna zmienność przyrody podpowiada, że należy chwycać z życia wszystko, co się da, dostrzegać radości płynące nawet z drobiazgów.”



- **Pióro Scriptores – Pliszczyn '95**

Katarzyna Wilczyńska

Ręce bez kompleksów

W niedzielę 19 lutego 1995 r. odbył się kolejny koncert w Trybunale Koronnym z cyklu „Arcydzieła muzyki kameralnej”, zorganizowany przez Fundację Galeria na Prowincji.

Z pierwszym w swoim życiu recitalem wystąpił Piotr Kwaśny. Jest on uczniem III klasy Liceum Muzycznego im. F. Chopina w Krakowie. W 1990 r. otrzymał II nagrodę na Ogólnopolskich Przesłuchaniach Szkół I Stopnia w Malborku, rok później zdobył I nagrodę na Ogólnopolskich Przesłuchaniach Szkół I i II Stopnia w Łańcucie, w 1993 r. II nagrodę na Ogólnopolskim Konkursie Młodych Skrzypków im. St. Serwaczyńskiego w Lublinie. Od 1993 r. jest stypendystą Krajowego Funduszu na Rzecz Dzieci. Na VI Międzynarodowym Konkursie Młodych Skrzypków im. Karola Lipińskiego i Henryka Wieniawskiego w Lublinie w 1994 r. zdobył II nagrodę oraz nagrodę specjalną Fundacji Galeria na Prowincji dla najlepszego Polaka – uczestnika finału.

Na program niedzielnego koncertu złożyły się utwory: J.S. Bacha, P. Rode, F. Schuberta, A. Dvoraka, R. Vaughan-Williamsa, M. Brucha. Tak wszechstronny program pokazał melomanom zdolności wykonawcy. Gdy Piotr pojawił się przed publicznością, można było zauważyć zaskoczenie widzów jego młodym wiekiem i wyglądem, naturalnością, swobodą, postawą bez manier i kompleksów. Dostroił skrzypce, odczekał chwilę i popłynęły dźwięki Partity d-moll J.S. Bacha. Wśród publiczności nie zabrakło nauczycieli i uczniów lubelskich szkół muzycznych, którzy z wielką uwagą przysłuchiwali się grze młodego artysty. Jego niezmacony spokój, opanowanie i uśmiech pozostały do końca. Wypadł bardzo dobrze, podobał się publiczności, która nagrodziła go gromkimi brawami. Po koncercie Piotr chętnie rozmawiał, rozdawał autografy, pozował do zdjęć mówiąc, że mogły być wykonane w czasie koncertu, ponieważ jemu to w ogóle nie przeszkadza.

W rozmowie z nim dowiedziałam się, że gra od szóstego roku życia, kiedy to dostał małe skrzypce od aniołka. Sam chciał pójść do szkoły muzycznej. W dużym stopniu wpływ na te decyzje miał tato (koncertmistrz orkiestry Simfonia Varsovia –

przyp. aut.). Słyszał jak ojciec gra i to go zachęciło. Kiedyś grali w domu dla przyjemności i zabawy. Tato Piotra jest skrzypkiem z wykształcenia. Młody talent jest normalnym nastolatkiem. Interesuje się wszystkim, uprawia sport, chociaż ostatnio zrezygnował z nart w obawie o ręce, ale jeździ na łyżwach i gra w piłkę. Lubi malarstwo nowoczesne, filmy przyrodnicze i jazz. Z innymi przedmiotami, pozamuzycznymi, jakoś sobie radzi; trochę lawiruje, ale stara się jak może. Ma fajną klasę, która traktuje go jak kumpla, na równi. Nie jest specjalnie wyróżniany. Grze na skrzypcach poświęca dziennie ok. 3 godzin, w soboty nawet 6 godzin. W ferie grał więcej. Teraz przygotowuje się solidnie do konkursu im. Yehudi Menuhina w Anglii. Piotr zdecydował, że w przyszłości będzie muzykiem. W tak młodym wieku myśli poważnie i osiągnął już tak wiele. Swoje osiągnięcia zawdzięcza pracy, atmosferze w domu i w klasie. Mówi, że to kwestia zdrowego podejścia.

Za pomocą muzyki można wyrazić nawet najmniejszy epizod. Aby gra przemawiała do słuchaczy, jej wykonawca musi posiadać biegłość techniczną i traktować to jakby igraszkę ze sztuką. Palce przebiegają po strunach jak leciutkie stopy elfów, tony mieszają się i przenikają jedne w drugie. Skrzypek kieruje nimi według woli, bez wysiłku, swobodnie i z łatwością. Wyczarowuje dźwięki i tony z instrumentu, dzięki subtelny dotknięciom, sile uczucia skoncentrowanej w samych końcach palców, jakby muszka w locie trąciła skrzydełkiem, albo wzburzona fala morska rozbijała się o skalisty brzeg.

Melodia poddaje się rękom artysty, rękom niezwykłym, stworzonym do skrzypiec, niezbyt wielkim, ale nadzwyczaj elastycznym i subtelным, umożliwiającym operowanie w najtrudniejszych partiach. Szczupłe dłonie o wyrobionych palcach modelują i prowadzą dźwięki z poczuciem miary i umiejętności. Takie ręce potrafią wydobyć z instrumentu całą skalę uczuć, nastrojów, przeżyć, wprowadzić słuchacza w świat piękna i krainę marzeń.

□

Mosad

Instytut Wywiadu i Operacji Specjalnych, założony w roku 1951, znany jest z wielu spektakularnych i starannie opracowanych akcji. Tym bardziej, że wielu przekonanych jest o jego ogromnych wpływach. Odznacza się precyzją i szybkością działania, wspierany przez rodaków mieszkających poza granicami państwa. Jednak w pierwszych dniach stycznia roku 1991 Mosad przeżywał

jeden z najgorszych tygodni.

Od czasów przewrotu, dokonanego przez partię Ba's, na Irak patrzono w Izraelu z niepokojem. Rozbudowa potencjału militarnego w połączeniu z agresywnymi tendencjami panarabistycznymi groziła ponowną wojną arabsko – żydowską. Izrael od początków swego istnienia był wysepką w arabskim morzu. Większość przywódców muzułmańskich deklarowała chęć zniszczenia tego państwa. Nic więc dziwnego, że sukcesy odnoszone w konfliktach z liczniejszymi przeciwnikami zawdzięcza Izrael doskonale wyszkolonym żołnierzom, wysokiej technice, a przede wszystkim Mosadowi. To bowiem *kat'sa* (agent służby) wykrył konstruowany przez Francuzów reaktor w irackim miasteczku Osirak. To przecież Mosad nawiązał współpracę z technikiem ekipy francuskiej. Wtedy to izraelskie myśliwce bombardujące całkowicie zniszczyły reaktor, uniemożliwiający Irakijczykom poznanie technologii nuklearnej. Miało to miejsce w roku 1981.

Irak toczył wówczas krwawe walki z Iranem; naturalne było, że po ich zakończeniu zagrożony zostanie Izrael. Saddam Husajn bowiem odmawiał prawa do życia trzem stworzeniom – „Persom, Żydom i muchom”. Oczywiście Izraelczykom zależało na przedłużeniu wojny. Zniweczyli więc iracki projekt atomowy.

Jednak, mimo wszystkich zabiegów, Irak wszedł w posiadanie broni masowej zagłady – iperytu. O jego skuteczności przekonały się zwłaszcza miliony Kurdów i Persów. Nie zaprzestał też szukać dostępu do broni nuklearnej.

W czasie trwania wojny z Iranem rząd bagdadzki nawiązał kontakty z amerykańskim naukowcem pochodzenia kanadyjskiego, Geraldem Vincentem Bullem, zna-

nym ze swoich badań nad bronią artyleryjską. W latach sześćdziesiątych pracował on nad działem, będącym w stanie wystrzeliwać pociski w przestrzeń kosmiczną. Był głównym konstruktorem armii Południowej Afryki, za co został skazany na rok więzienia przez sąd w Stanach Zjednoczonych. Przeniósł się do Brukseli, gdzie został konsultantem armii chińskiej. Iracki minister przemysłu i uzbrojenia, Amir Sadi, interesował się doktorem Bullem. Wyjaśnił naukowcowi, że Irak chciałby osiągnąć propagandowe zwycięstwo nad przeciwnikami – umieścić swego satelitę na orbicie jako pierwsze państwo arabskie. Postanowiono zrobić to w jak najszybszym czasie i jak najtaniej. Możliwe to było jedynie przy wykorzystaniu superdział – ogólny koszt takiego przedsięwzięcia nie przekraczał dziesięciu milionów dolarów.

Tak oto powstało działo „Babilon”: kaliber 1000 milimetrów, lufa długości 180 metrów, masa 1665 ton. W maju 1989 roku wystrzelono rakietę Al-Ubajd (Wyznawca). Mosad zareagował z niepokojem – rakiety kosmiczne mogą doskonale służyć jako międzykontynentalne pociski balistyczne.

Tymczasem program raketowy zakończył się niepowodzeniem – Ab-Ubajd wzniósł się jedynie na wysokość 12 tysięcy metrów, po czym eksplodował. Prawdziwym niebezpieczeństwem było działo „Babilon”. Nikt jednak nie zdawał sobie z tego sprawy.

Wiosną roku 1990 Europą wstrząsnęła seria dziwnych wydarzeń. W marcuownicy o śniadej cerze zastrzelili doktora Bulla; 11 kwietnia brytyjscy celnicy odkryli w porcie Middlesborough osiem wielkich stalowych rur z gwintowanymi otworami. 23 kwietnia w Turcji zatrzymano węgierską ciężarówkę, wiozącą grubego pręta niespotykanej długości. W maju Włosi odkryli w kilku swoich hutach kilkadziesiąt ton stali tytanowej z elementami włókien węglowych. Inne części działła znaleziono w Niemczech. W produkcji zaangażowanych było osiem firm, z których żadna nie wiedziała, co właściwie wytwarza. W tym samym czasie saperzy z Gwardii Republikańskiej zbudowali Ka'la – Fortecę. Stworzono nową górę z betonu przysypanego kilkumetrową warstwą stepowego piasku. Wybudowano trzy wioski i sprowadzono pancerną dywizję Tawakalna. Przywieziono i zamontowano we wnętrzu góry superdziało.

Zamontowano czerwony guzik.

Działo o wielkich kalibrach są łatwe do zlokalizowania już po pierwszym strzale. Szybko się też zużywają. Postanowiono zatem wystrzelić tylko jeden pocisk – bombę nuklearną.

Od czasów odtajnienia dokumentacji projektu „Manhattan” (rok 1947) technologia atomowa jest łatwo dostępna. Kiedy Izraelczycy zniszczyli reaktor w Osiraku budowany na licencji francuskiej, Irak postanowił samodzielnie wejść w posiadanie materiałów rozszczepialnych. Szef irackiego programu atomowego, doktor Dżafar al Dżafar, skopiował po prostu amerykańskie instalacje z Oak Ridge, wypożyczając potrzebne plany z Biblioteki Kongresu USA. W Tarmijji i Raszdijji powstały kompleksy nuklearne – w Raszdijji zamaskowane jako wytwórnie wody mineralnej, zaś w Tarmijji... ogrodzono sto kilometrów pustyni, wobec czego żaden z międzynarodowo-

wych inspektorów nie zwrócił uwagi na istnienie tej fabryki, której hale porozrzucane były co kilkanaście kilometrów.

Posłużwszy się technologią z czasów drugiej wojny światowej Irakijczycy używali uranu w ilości potrzebnej do wyprodukowania jednej bomby atomowej w listopadzie 1990 roku.

Eksperci koalicji antyirackiej nie przypuszczali, by Irak posiadał broń nuklearną, ponieważ nie brali pod uwagę przestarzałych technologii. One jednak, mimo swej starości, działały doskonale.

W styczniu 1991 roku, po rozpoczęciu wojny powietrznej z Irakiem, amerykański pilot myśliwca F-15 Eagle zbombardował przypadkowo Tarmiję. Wtedy to dopiero do akcji przystąpił Mosad. Jeden ze współpracowników Roberta Oppenheimera przypomniał o zapomnianej już technologii. Porównano materiały ze zdjęciami zniszczonego obiektu i wszystko się zgadzało. Teraz wszystkie poczynania Saddama Husejny stawały się łatwe do wytłumaczenia. Wcześniej wojskowi zadawali sobie pytanie, dlaczego nie zajął on Arabii Saudyjskiej, kiedy była ona jeszcze bezbronna, w sierpniu.

Dlaczego pozwolił zgromadzić w jednym obszarze ponad pięćset tysięcy żołnierzy wroga? „Na miejscu Saddama zrzuciłbym tam bombę atomową”, powiedział do Normana Schwarzkopfa Peter de la Billiere, brytyjski dowódca korpusu ekspedycyjnego. „Za małą przestrzeń, zbyt wielu ludzi.” „Kiedy noga pierwszego amerykańskiego żołnierza przekroczy granicę dziewiętnastej prowincji Iraku, zrobię krwawą łaźnię” – zapowiedział Saddam Husajn. Teraz te słowa nabrały nowego znaczenia.

Bomby nuklearnej nie można było wystrzelić rakiętą balistyczną – jak wspominałem, irackie rakiety były bardzo niedokładne (rozrzut do pół tysiąca kilometrów przy niewiele większym zasięgu). Samolot także nie wchodził w grę z racji alianckiego panowania w powietrzu. Irak nie posiadał okrętów podwodnych, z których zwykle wystrzeliwuje się bomby nuklearne.

Pozostawało superdziało o zasięgu tysiąca kilometrów. Do Kuwejtów było bliżej – około ośmiuset kilometrów.

Pocisku z działa nie da się strącić nawet raketami systemu Patriot. Jedynym wyjściem było znalezienie tego działa i unieszkodliwienie go.

I tym zajął się Mosad.

W ciągu jednego z najbardziej nerwowych tygodni swej historii nie zdołano zlokalizować Fortecy. Postarano się zatem o znalezienie zdrajcy na odpowiednio wysokim stanowisku w irackiej armii.

Wskazane będzie tutaj pobieżne przedstawienie specyficznej struktury Mosadu. Pracuje tam zaledwie około 1300 ludzi (kiedy w głównej kwaterze CIA jest około 25000 oficerów), w tym zaledwie czterdziestu oficerów operacyjnych (*kat'sa*). Mosad może jednak liczyć na współpracę Żydów zamieszkałych w innych krajach. Człowiek taki musi być Żydem z obojga rodziców, deklarującym pomoc Mosadowi w jednorazowych akcjach, z zastrzeżeniem, że nie zaszkodzi to ich przybranej

oczywiście. Dzięki temu koszty przeprowadzanych operacji wielokrotnie maleją. Lodzi takich nazywa się *sayanami*.

Sayanem była kochanka dowódcy irackich wojsk pancernych. Dowódca ów, generał Kadiri, zwycięzca w bitwie na przylądku Al-Faw, decydującej o wyniku wojny z Iranem, cieszył się łaskami Saddama Husajna. Nie na tyle jednak, by wiedzieć o miejscu położenia Fortecy...

Znaleziono jednak kontakt z człowiekiem, który za okrągłe dwa miliony dolarów zdradził miejsce lokalizacji Fortecy.

Wojska alianckie czekały w alarmie bojowym na podstawach wyjściowych. Z niezrozumiałych powodów generał Schwarzkopf, „Niedźwiadek”, jak nazywali go żołnierze, przesunął termin natarcia. Oficjalnym powodem miało być włamanie brytyjskich komputerów do głównego komputera Ministerstwa Obrony, co spowodowało zafałszowanie prognoz pogody dla rejonu Zatoki Perskiej.

Początkowo zamierzano wysłać w celu zniszczenia Fortecy bombowce B-52. Odkryto jednak, że w razie jakiegokolwiek zagrożenia Irakijczycy odpalą superdziało z bombą nuklearną o nazwie „Kubdat Allah” („Pięść Boga”) w kierunku wojsk alianckich. Postanowiono więc raz jeszcze odwołać się do Mosadu.

Mosad dostał do dyspozycji od Brytyjczyków pluton żołnierzy SAS. Nikomu nie trzeba wyjaśniać, co to oznacza. Zrzucano ich z dziesięciu tysięcy metrów: otworzyli spadochrony sto metrów nad ziemią. Oznaczyli cel. W nocy nadleciał niewidzialny F-117 Stealth i zniszczył Fortecę, nie niepokojony przez nikogo.

Kwadrans na pierwszą w nocy z 23 na 24 lutego zadzwonił jeden z telefonów na biurku pewnego amerykańskiego dowódcy.

– Przybył Barabasz. Przybył Barabasz, generale Schwarzkopf.

– Dziękuję – odpowiedział głównodowodzący.

O czwartej rano wszystkie wojska lądowe koalicji ruszyły do natarcia.

Zaś Mosad dopiero po miesiącu wy dostał swoje dwa miliony dolarów umieszczone na prywatnym koncie w szwajcarskim banku. Na koncie... komendanta irackiej policji politycznej.

Trzeba przyznać, że cała ta akcja, znana pod kryptonimem „Jozue”, jak na Mosad trwała bardzo długo – blisko dwa tygodnie.

Każda firma ubezpieczeniowa radzi swoim klientom, by nie udzielali agentom Mosadu niepraktycznych rad, wywołujących za to znaczne emocje.

Zwykle kończy się to tak, jak w przypadku owego komendanta irackiej policji politycznej – śmiercią.

Mosad likwiduje wszystkich szantażystów.



(Według relacji gazet „The Observer” i „US News and World Report” oraz innych materiałów).

Piramida i słup

Piramida i słup. Rzućmy trochę światła na prawdziwie architektoniczne walory owych przedmiotów. Rzućmy na te przedmioty światło, jako na dwie drogi. Niech piramida, niech słup ukazać się nam w postaci symboli dwu sposobów na dotarcie do Celu. Niechaj będą to dla nas w tej chwili symbole oznaczające dwie, odmienne pod względem jakości i skuteczności, lecz identyczne, jeżeli chodzi o pożądany efekt, drogi.

Piramida... Może okazać się symbolem najprawdziwszego racjonalizmu. Ponieważ cel jest czymś, do czego może doprowadzić nas jedynie zbudowana przez nas samych (niewykluczona współpraca) droga, starać się trzeba, aby była jak najlepsza. Oto filozofia piramidy! Jak najlepsza, oznacza, że ma być ona przede wszystkim pewna. A także, oczywiście w miarę możliwości, jak najprostsza, najmniej mozolna i jak najbardziej stała. Oto cała piramida. Doskonałość jej konstrukcji. Gdy spojrzymy szczerze od tej strony, nasza piramida wydaje się być drogą do celu, który wiadomo od razu – wart jest morderczej pracy po to, aby został osiągnięty na pewno. Nieważne jakim kosztem energii i czasu osoby wybierającej Drogę Piramidy. Doskonała forma, pozwalająca na pełne pewności kroki. Każdy krok ma za sobą coraz to więcej obliczeń, poświęcenia, ufności, nadziei, a także poprzedzającej cały marsz mozolnej pracy. Na pewno i w tym punkcie prawdziwy rozsądek podpowiada, że jednak warto było wylać całą sól razem z potem z uwagi na możliwość podziwiania doskonałości ukończonej Drogi. Myślę więc, że piramida oznacza doskonałość celu. Musi być doskonały, skoro osiągnięcie go musi być dla nas (obojętnie jakim kosztem naszego życia) pewne, a jednocześnie myśl o przyszłym sukcesie daje nam całą siłę, potrzebną do – wydawałoby się – zbyt morderczej, szaleńczej pracy...

Słup... Ta droga natomiast nie ma nic wspólnego ze spokojem. Jest to najprostsza, najkrótsza, najłatwiejsza do stworzenia droga. Takie podejście okazuje się w finale zupełnie irracjonalne. Słup, choć szybko wybudowany, nie wymagający wielkiego nakładu pracy, okazuje się morderczą drogą. Sama konstrukcja, odbiegająca wiele od doskonałości, nie gwarantuje odporności na wiatry, jakie czekają na niepokornego, zaślepionego Już i Teraz śmiałka. Każdy metr drogi słupa to większe niebezpieczeństwo wiatru i wyczerpania. Wielokrotnie strąceni więc albo przez wiatr,

albo zmęczenie, po nadludzkiej wspinaczce, spadamy na sam dół, aby od nowa kontynuować, podyktowany raczej zniecierpliwieniem niż zaufaniem do własnego celu, własnego szczęścia zawartego w nim, wyścig z wiatrem i własnymi słabościami.

Wydaje się, że te prawdy są coraz mniej oczywiste. Rozejrzyjmy się. Piramidy są coraz większą rzadkością. Te, które do dziś stoją pomnikami na swoich dawnych miejscach powstały wiele wieków temu, zbudowane rękami starożytnych Egipcjan i meksykańskich Indian. A my? Otoczeni drapaczami chmur, budynkami o kształtach słupów. Wdrapujemy się i spadamy, wdrapujemy i spadamy. Zdajemy się ścigać nawzajem w budowie i we wspinaczce po tych słupach naszych dróg.

Sam już czasem nie wiem, czy warto budować piramidy...

Czy warto duszę uczynić piramidą?

Czy warto o tym pisać...

□

Radio Twojego Miasta

EMISJA: 73 76 00 INFORMACJE: 73 76 01 REKLAMA: 73 76 02



20-030 LUBLIN, UL. RAABEGO 2A
Gramy 24 godziny na dobę

Agata Jarzmik

Wyją i straszą

Żyjemy w drugiej połowie XX wieku. Koniec stulecia zawsze pobudzał wyobraźnię: opowiadano straszne historie o końcu świata, układano horoskopy etc. I nic się nie zmieniło.

Kiedyś odwiedziłam jeden ze sklepów indyjskich. Zatrzymałam się przed gablotką z amuletami. „Niech pani weźmie ten” – odezwała się sprzedawczyni wskazując na jeden z nich – „Ma moc odczyniania uroków”. Spojrzałam na nią i skonstatowałam, że mówi poważnie. „Nie dziękuję” – uśmiechnęłam się blado – „Niestety, ja w takie rzeczy nie wierzę”.

Amulet na uroki! Co za bzdura! To raczej amulet do robienia dziury w kieszeni, bo taka blaszka kosztuje 6 zł.

Parę tygodni później koleżanka opowiadała mi z przejęciem, jak to jej babcia „lała wosk” nad jej młodszym bratem, którego prześladował duch zmarłego wujka. Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu i uraziłam ją.

Ludzie, czy my wariujemy; w epoce komputerów i podróży kosmicznych wierzymy w magię?!

Inną naszą słabością są horoskopy. Jak wykazuje statystyka, najczęściej czytają je kobiety, aczkolwiek mężczyźni także często do nich zaglądają. Mniejsza o to. Faktem jest, że gdy w piśmie znajdzie się horoskop, zyska ono nowych czytelników. Psychologowie o horoskopach: „wszyscy podświadomie pragniemy unikać wszelkich przeszkód, a na te nieuniknione być przygotowani. Horoskop mówi jasno, czego mamy się w danym dniu, tygodniu wystrzegać, co nam się powiedzie. To daje pewne poczucie bezpieczeństwa”.

W księgarniach niemalym powodzeniem cieszą się książki paranaukowe traktujące o parapsychologii, psychotronice. W mojej osiedlowej księgarni pozycji takich naliczyłam aż sześć. Kupujemy też chętnie wszelkie przepowiednie dotyczące końca świata, trzeciej tajemnicy fatimskiej i innych. Nawiasem mówiąc, jeżeli ktoś pisze, że zna trzecią tajemnicę z Fatimy, to jest oszustem, ponieważ dokument ten znają tylko Jan Paweł II i siostra Łucja. Treść tego dokumentu nigdzie i nigdy nie została opublikowana; watykańskie mury dobrze strzegą swoich tajemnic.

Wiara w duchy. W wypowiedziach osób z mojego otoczenia powtarza się zdanie: „wprawdzie nie wierzę w duchy, ale przez cmentarz w nocy nie przeszedłbym”. A więc wiara w stworzenia nadprzyrodzone jest mocno zakorzeniona, być może dlatego, że w większości jesteśmy ludźmi wierzącymi, a każda religia mówi, że człowiek ma ciało i nieśmiertelną duszę. Czy duchy istnieją? Aby odpowiedzieć na to pytanie, zapytałam księdza. „Tak, duchy istnieją, ale nie straszą i jeżeli powracają na ziemię, to w jakimś konkretnym celu”. Z wypowiedzi wynika, że wyskakujące z ciemnego zaułku z przeciągłym „uuu” stwory są wytworami naszej wyobraźni.

Przesady: duchy, amulety, czarne koty... Śmiejemy się z nich, ale jednak wierzymy. To dobrze. Czy życie bez przesądów nie byłoby czegoś pozbawione?...

A duchy: niech wyją i straszą!





**gazeta codzienna
w Małej Ojczyźnie**



Kurier Lubelski, jak wskazuje na to już informacja na winiecie, istnieje od roku 1830. Wydawany jest w Lublinie, Chełmie, Zamościu. Białej Podlaskiej i Puławach, aczkolwiek koncentruje się na Lublinie. W redakcji, która mieści się przy ul. 3 Maja 14, pracuje 30 dziennikarzy. Redaktorem naczelnym jest Kazimierz Pawełek. Kurier ukazuje się bez zmiany nazwy i ogólnego profilu. Z założenia nie zajmuje się wielką polityką, lecz jest lokalną gazetą informacyjną. Kurier kilkakrotnie zawieszał działalność, przez pewien czas był też tygodnikiem i dwutygodnikiem.

Po przerwie wojennej reaktywował się w 1957 r. i od tego czasu ukazywał się jako dziennik popołudniowy.

Ostatnia przerwa w działalności to stan wojenny. Obecnie Kurier jest gazetą przedpołudniową. Od 6 maja br. możemy czytać także wydanie sobotnie.

Kurier ma bogatą tradycję kolumn młodzieżowych. Była harcerska „Na tropie”, były słynne studenckie „Konfrontacje”. Obecnie działa „Bez kitu” dla nastolatków i „Kurierek” dla dzieci.

Do 1991 r. właścicielem dziennika była RSW „Prasa – Książka – Ruch”. Cztery lata temu został wykupiony przez warszawską firmę MULTICO, która jest wydawcą do dnia dzisiejszego.

Nakład waha się średnio od 40 do 50 tys. egzemplarzy (wydanie codzienne), a wydanie magazynowe osiąga nakład 110 tys. egzemplarzy. Zwroty są niewielkie – ok. 10% numeru piątkowego i 15-25% wydania codziennego. Warto dodać również, że spośród dzienników w regionie Kurier ma największe udziały na rynku prasowym – 40,1%.

Opracowała: **Izabela Szewc**

Stanisław Żebrowski

Notatki z wykładu Franciszka Piątkowskiego o reportażu

Gatunkiem najtrudniejszym, gatunkiem królewskim wśród gatunków prasowych jest reportaż.

Reportaż z faktu wyrasta, faktem się odżywia, bez faktu nie ma reportażu – to po pierwsze. Po drugie – bez prawdy nie ma reportażu. Kto chce kłamać w dziennikarstwie, niech wybierze felieton, informację lub recenzję. W reportażu trzeba mówić prawdę, niezależnie od warunków politycznych, ideologicznych, od ustroju, itp.

Warto sobie uświadomić, że świat, w jakim żyjemy, składa się jakby z trzech sfer, oczywiście wzajemnie powiązanych. Świat, który widzimy, wszystko, co popada na zmysł wzroku, to ikonosfera. Świat dźwięku – szmeru, muzyki, mowy, krzyku, hałasu – to fonosfera, zaś trzeci obszar – to logosfera, wszystko, co jest myślane i mówione. W zależności od tego, którą ze sfer obserwujemy, uprawiamy: fotoreportaż – kiedy obserwujemy ikonosferę, reportaż radiowy – kiedy świata słuchamy i umiemy go słuchać, wreszcie reportaż pisany, ten, który jest cały zakotwiczony w logosferze – to jest reportaż, który opisuje fakt, opisuje określone zdarzenie.

Kiedy narodził się reportaż na świecie? Bardzo dawno temu. Twórcami reportażu była wielka trójka dramatopisarzy: Ajschylos, Sofokles, Eurypides. Ajschylos napisał „Persów”. Opis bitwy pod Salaminą u Ajschylosa jest wierniejszy niż opis tejże bitwy u Herodota. Juliusz Cezar – „Commentari de bello Gallico” – to również wielki reportaż, to jeden z największych reportażów świata. Jest to reportaż wojenny, który rozpoczyna się słowami: „Cała Galia jest podzielona na trzy części”, co po łacinie brzmi: „Gallia est omnis divisa in partes tres”. Gdyby to czytać heksametrem, usłyszeć by można rytm kroków legionistów. W reportażu ważne jest, w jaki sposób używa się języka.

Reportaż to literatura, która jest prawdziwa. Oczywiście nie należy mieszać reportażu z dziennikiem, listem, pamiętnikiem. Dziennik z podróży jest literaturą dokumentalną, list, jeśli nie jest skonfundowany – też jest literaturą dokumentalną,

pamiętnik również, ale reportaż tym się różni od pamiętnika lub diariusza, że jest pisany od razu z założeniem, z intencją.

Kiedy narodził się reportaż w Polsce? Tu zdania są podzielone, ale przyjmuje się, że w Polsce narodził się w okresie dwudziestolecia międzywojennego. Potrzeba opowiadania prawdziwego rodzi się na przełomie wieku XIX i XX. Prasa w tym okresie jest już zjawiskiem masowym, ludziom potrzebne są informacje, chcą poznawać świat, a proza światowa znudziła się fabułą. Jako pierwsza znudziła się nią literatura francuska. Dlatego powstały utwory Zoli, a wcześniej Balzac – naturalizm i realizm dziewiętnastowieczny.

Pojawia się reportaż, literatura prawdziwa. W Polsce w tym okresie tworzą: Melchior Wańkowicz, Ksawery Prószyński, Konrad Wrzós (wielki polski reportażysta okresu międzywojennego). W Czechach pojawia się geniusz reportażu, szalejący reporter – Egon Erwin Kisch. A oto przykład: Kisch jedzie do Australii, żeby napisać reportaż o grasujących królikach, które „zżerają” Australię. W momencie, kiedy statek dobija do nabrzeża, okazuje się, że w Europie panuje zabójcza grypa tzw. „hiszpanka”, w związku z tym nikt z pasażerów i załogi nie może zejść na ląd. Kischowi temat się „nie spalił”, ponieważ skoczył na nabrzeże, połamano nogi, trafił do szpitala, ale reportaż napisał.

W reportażu nie wolno kłamać, ale Kisch okłamał. Pisał reportaż z biednych polskich uliczek, pełnych tajemnic, zbrodni i nierzędu. „Szubienicza toni”, słynny wielki reportaż Egona Erwina Kisch. Jest to najpiękniejsza praca reporterska o prostytutce, to jedyny przypadek, w którym pojawia się konfabulacja, piękno usprawiedliwione kłamstwem. Na zakończenie Kisch dodaje słowa: „Toni poszła do nieba, święty Piotr ją wpuścił, bo wiedział, jakie miała ciężkie życie”.

Jak się robi temat reportażu? W konkursie ogólnopolskim zatytułowanym „Boryna” Franciszek Piątkowski startował z tekstem zatytułowanym „Szlacheckie ostatki”. Jediną ziemią na mapie Polski, gdzie do dzisiejszego dnia szlacheństwo jest kategorią społecznie żywą, jest Białostoczczyzna. Tam jest szlachta, która do dzisiejszego dnia zachowuje szlacheckie obyczaje, choć niczym nie różni się od chłopów. W 1973 roku Franciszek Piątkowski wyjechał z Lublina po trzaśnięciu drzwiami, gdyż otrzymał zakaz publikowania z KW PZPR i nie mógł pisać o problematyce ochrony Zamościa, jego walorów zabytkowych – wyjechał, gdzie go oczy poniosą i akurat oczy poniosły go tam, na Białostoczczyznę. Były to pierwsze dni jego pobytu w Białymstoku, była piękna słoneczna jesień, piękny słoneczny październikowy upalny dzień. Oglądał Białystok, deptał go codziennie kilometrami, aby poznać to miasto. W czwartki był targ w Białymstoku, to były targi, jakich tu na Lubelszczyźnie się nie widziało, tam można było kupić wszystko poza bombą atomową, jak twierdzili wtajemniczeni. Poszedł zobaczyć ten targ, oglądał go. Najbardziej zdziwiło go nie to, co tam można było kupić, ale wiejskie kobiety, które przy upalnym jesiennym słońcu nosiły parasolki i chodziły w białych rękawiczkach. Wydało mu się to interesujące. Zaczął tam jeździć, spędził w tych szlacheckich osadach: Łomży, Wysokem Mazowieckiem, Ciechanowcu, Siemiatyczach – sporo czasu. Przejechał na pewno tysiące

kilometrów i stracił na dokumentację około dwudziestu pięciu dni roboczych. Chodził i szukał w księgach informacji dotyczących szlachty i tak powstał reportaż „Szlacheckie ostatki”.

Na wschodzie istnieje coś, co się nazywa „oczerkiem”, w Związku Radzieckim można było w reportażu kłamać, dlatego żaden dobry krytyk reportażu nie powie, że tam uprawiany był reportaż. Tam był uprawiany „oczerek”.

Są różne podziały reportażu. Możemy reportaż zakwalifikować w zależności od tego, co autor opisuje. Według pana Piątkowskiego możemy wyróżnić następujące typy: reportaż typu „panorama”, gdy, aby opisać pewną społeczność, zachowuję się jak kamera, która panoramuje i oczywiście mogę go zakomponować tak, aby był do przeczytania. Drugi typ, to reportaż ludzkich losów, gdy przychodzę do człowieka mówiąc: „Proszę Pana, Pan ma na plecach bardzo ciężki plecak, w tym plecaku jest pańskie życie, czy Pan pozwoli mi to zobaczyć? Czy Pan zgodzi się o tym mówić?” Przy tym reportażu bardzo ważna jest sztuka otwierania człowieka, sztuka rozmawiania z człowiekiem. Podpunkt, jaki tu wyróżnia Franciszek Piątkowski, to reportaż interwencyjny. Reporter interweniuje w rzeczywistość społeczną.

Niestety, dzisiaj reportażu się nie realizuje. Powody są trzy. Po pierwsze – nie opłaca się, nad reportażem pracuje się ciężko i długo, a pieniądze za to żadne. Reportaż wymaga dużo zaangażowania samego siebie, ogromnego nakładu pracy. Po drugie – pisma, które kultywowały reportaż na swoich łamach, zniknęły z rynku wydawniczego. Nie ma tzw. tygodników społeczno-kulturalnych, a prasa codzienna nie jest najlepszym miejscem do publikowania reportażu. Trzecim powodem jest brak możliwości. Mijmy nadzieję, że reportaż się odrodzi. Przecież nie ma wielkiego dziennikarstwa bez wielkiego reportażu.

□

*„Uporczywie postępuj według reguł
Aby słowom było ciasno,
Myślom – przestronnie.”*

Nikołaj Niekrasow

Trzynaście pytań do Jerzego Mościbrodzkiego

1. Uważa się pana za specjalistę w dziedzinie wywiadu. Od ilu lat specjalizuje się pan w tej dziedzinie?

– Z tym specjalistą, to przesada. Może jednym z wielu?...Wywiadem zajmuję się od 5 lat. Wcześniej występowałem na estradzie, co zajęło mi ponad 20 lat. Jednak zawsze marzyłem o dziennikarstwie. Zacząłem uprawiać tę dziedzinę w lipcu 1990 roku w gazecie „Dzień”. Z Kurierem związany jestem 2 lata.

2. Dlaczego wybrał Pan wywiad jako swoją stałą dziedzinę dziennikarstwa?

– Z „premedytacją”, gdyż poprzednie lata mojego życia, spędzone na estradzie, dały mi orientację w sztuce teatralnej, filmowej i innych, poznałem też wielu ludzi, co przydaje mi się do dziś. Już od wczesnych lat mego życia chciałem być dziennikarzem. Marzyłem o pisaniu wolnym i samodzielnym. Za czasów poprzedniego ustroju było to niemożliwe, gdyż wtórował dziennikarzowi cenzor. Gdy cenzura okazała się przeszkodą zacząłem zajmować się dziennikarstwem na poważnie.

3. Z iloma osobami przeprowadził już pan wywiady?

– Z całą masą. Trudno zliczyć. Nie chwaląc się było już około 300 osób.

4. Jakiego typu pytania wystrzega się pan najbardziej?

– Z pewnością jest to pytanie o wiek i stan majątkowy. Dobry dziennikarz powinien wiedzieć o swoim rozmówcy możliwie jak najwięcej. W tym też zawiera się wiadomość o wieku rozmówcy. Trudno jest sobie także wyobrazić, aby w takiej pracy jak wywiad było zdanie typu: „Obecnie ma ona 53 lata.” Chociaż... i na to jest sposób. Sprytny dziennikarz może podać to gdzieś między wierszami, tak, aby nie rzucało się w oczy.

5. Z jaką osobą przeprowadził pan swój pierwszy wywiad?

– Z osobą, która pojawiła się po wielu latach nieobecności w Polsce. Był to Andrzej Czeczot, bardzo znany plastyk, mieszkający od 1982 r. w Nowym Jorku.

6. Z kim prowadził pan wywiad ostatnio?

– Z wielką gwiazdą polskiej piosenki Ireną Santor, Andrzejem Szczypiorskim, Emilem Karewiczem...

7. Jaką rzecz uważa pan za konieczną do przeprowadzenia wywiadu?

– Jest to na pewno absolutna wiedza o rozmówcy. Bez tego wywiad nie wyjdzie tak, jak by tego oczekiwał dziennikarz i czytelnik.

8. Czy uważa pan, że lepsze w sztuce wywiadu jest nagrywanie rozmowy na taśmę, czy też notowanie najważniejszych rzeczy?

– Zdecydowanie nagranie jest tą formą, która przyniesie nam więcej satysfakcji i zadowolenia z własnej pracy. Mój rozmówca musiałby bardzo wolno mówić, żebym zdążył wszystko zanotować, a każde jego słowo jest ważne.

9. Jak według pana powinien być zakończony wywiad?

– Nie można zakończyć wywiadu słowami „Dziękuję za rozmowę”. Gdy tak zakończymy naszą pracę, jest ona zła! Ja prywatnie czytam wywiady od końca. Jeśli jest on zakończony takim stwierdzeniem, nie czytam go.

10. Jaką formę zwracania się do rozmówcy pan preferuje?

– Dość często dziennikarz jest na „ty” ze swoim rozmówcą. Ja jednak stosuję w takim przypadku formę „pan” lub „pani”. Uzasadniam to tym, iż ja mogę być z rozmówcą na „ty”, jednak czytelnicy niekoniecznie, a w ich imieniu rozmawiam.

11. Czy dzieli pan rozmówców na dobrych i złych?

– W zasadzie, tak. Rozmówca dobry to osoba, której ja zadaję pytanie, a ona może na nie odpowiadać nawet pół godziny.

12. Jaką długość tekstu uważa pan za najwłaściwszą dla formy wywiadu?

– Uważam, że zawartość wywiadu powinna się zmieścić w około czterech stronach maszynopisu.

13. Jaki był pana najdłuższy wywiad?

– Sądzę, że była to rozmowa przeprowadzona na Święta Bożego Narodzenia w 1993 roku z Karoliną Wajdą, córką słynnej pary: Beaty Tyśkiewicz i Andrzeja Wajdy. Była to praca o objętości 12 stron maszynopisu.

– *Życzę owocnej pracy i jak najdłuższych wywiadów.*

– Natomiast ja życzę sobie, aby sekretarz redakcji „Kuriera” był jak najbardziej tolerancyjnie nastawiony do długości moich wywiadów. Szczególnie, gdy przekraczam tzw. barierę dźwięku, czyli wychodzę poza cztery strony.

Rozmawiał: **Tomasz Gap.**

Z historii „Dziennika”



Tytuł „Dziennika Lubelskiego” pojawił się jeszcze przed ogólnokrajowymi tendencjami transformacji prasy polskiej. W przeddzień rozwiązania PZPR w Polsce, na rynku

lubelskim ukazał się „Dziennik Lubelski”, wydawany przez zespół redaktorów dawnego „Sztandaru Ludu”. W ten sposób przestał istnieć w naszym regionie prasowy organ Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Dziennikarze „Sztandaru” od jesieni 1989 r. dyskutowali nad możliwościami transformacji swojego pisma, dążąc do uniezależnienia się od RSW „Prasa”. Tytuł zmienili wcześniej, ale dopiero ustawa sejmowa o demonopolizacji jedyne go w Polsce wydawcy prasy dziennej, jakim była RSW „Prasa”, umożliwiła dokonanie przekształceń strukturalnych i ideowych.

Od lipca 1990 r. redaktorem naczelnym pisma został Alojzy Leszek Gzella. Przystąpiono do poszukiwania współudziałowców w wydawaniu „Dziennika”. W myśl ustawy, redakcja, w ramach której powstanie spółdzielnia dziennikarska, ma prawo ubiegać się o tytuł swojego pisma. W „Dzienniku Lubelskim” powstała Pracownicza Spółdzielnia Dziennikarska „Edytor” i Komisja Likwidacyjna RSW „Prasa” jej przekazała na własność tytuł. Ustawowy wymóg obligował spółdzielnię „Edytor” do wejścia w spółkę wydawniczą z gwarantującym normalne funkcjonowanie kapitałem. Powstała spółka z prywatnym właścicielem Krzysztofem Dudą pod nazwą „Kadex – Edytor”, która była wydawcą „Dziennika”. Na początku roku 1993 sytuacja prawna pisma uległa zmianie. Spółdzielnia „Edytor” zerwała jednostronnie umowę z współwłaścicielem, który utracił zaufanie wspólnika. We wrześniu 1993 r. nowy wydawca „Edytor – Press” zdecydował się zmienić tytuł, ograniczając go do „Dziennika” z dodatkiem wskazującym terenowe mutacje: dla województwa białkopodlaskiego – „Lubelszczyzna”, dla chełmskiego – „Chełmski”, dla zamojskiego – „Zamoj-

ski” i dla miejskiego – „Lublin”. Redakcja prowadzi oddziały w Białej Podlaskiej, Chełmie, Zamościu i Puławach. Zatrudnionych jest 52 dziennikarzy.

„Dziennik” dociera do czytelników w województwach: białkopodlaskim, chełmskim, zamojskim, lubelskim oraz częściowo siedleckim i tarnobrzeskim. Jednorazowy nakład wydania magazynowego (piątkowego) wynosi od 150 tys. do 180 tys. egzemplarzy.

„Dziennik” jest gazetą codzienną, wychodzi pięć razy w tygodniu, a w niedługim czasie będzie pojawiał się w kioskach sześć razy tygodniowo (nastąpiło to 13-14 maja 1995 r.). Redakcja wydaje też dwa suplementy – „Moto” i „Dom” i planuje uatrakcyjnienie podstawowego wydania przygotowywanymi dalszymi dodatkami. Magazyn piątkowy wzbogacony jest dodatkiem „Relaksu” oraz edycji kolorowej „Telemagazynu”, tytułu wspólnego dla wielu redakcji regionalnych w Polsce. Przez pewien czas „Dziennik” wydawał też kolorowy dodatek czwartkowy pt. „Telimena”.

„Dziennik” nie wiąże się z żadnym ugrupowaniem politycznym, od żadnego też nie jest uzależniony. Chce być pismem informacyjnym, określa się jako obywatelskie, a więc szanujące pluralizm poglądów i wolę szerokich kręgów czytelniczych. Zawsze chce spełniać funkcję służebną wobec czytelników i chce służyć dobru społeczeństwa.



Paweł Ziomba

O warsztatach dziennikarskich i spotkaniu z Alojzym Leszkiem Gzellą słów kilka...

Wszystko zaczęło się we wtorek 21 lutego br., zaraz po przyjeździe do Pliszczyna i prowizorycznym zakwaterowaniu przybyłych. W czasie całych Międzyszkolnych Warsztatów Dziennikarskich „Środki społecznego przekazu w Małej Ojczyźnie” uczestnicy nie mieli wiele czasu na zadowalający odpoczynek pomiędzy następującymi po sobie zajęciami. A do tego należy dodać nieustającą wymianę informacji na wykładach, w czasie posiłków, a nawet w nocy. Wszystko to wymagało cierpliwości i wytrzymałości od obu stron biorących udział w warsztatach. Bez pracy nie ma dziennikarza, a praca nie musi wcale być przyjemna.

Pierwszego dnia, po przerwie na skonsumowanie posiłku wieczornego, odbyło się spotkanie zatytułowane „Gazeta codzienna w regionie” z Alojzym Leszkiem Gzellą, redaktorem naczelnym „Dziennika” – gazety porannej regionu środkowowschodniego. Punktem wyjścia stały się przemiany na rynku prasowym, ich realizacja i skutki.

Należy pamiętać, że po roku 1989 zastanawiano się jak zreformować prasę, która w głównej mierze była partyjną, choćby nawet z tytułu. W 1990 roku Sejm wydał uchwałę o likwidacji wielkiego kombinatu RSW-Prasa, który jako monopolista wydawał wszystkie dzienniki w Polsce, poza „Słowem Powszechnym” i „Kurierem Polskim”. Zezwolono na to, by zespoły redakcyjne, które utworzą we własnym gronie spółdzielnię, mogły przejąć tytuły na własność. Takie spółki powstały we wszystkich pismach codziennych całego kraju. Zmiany te doprowadziły do tego, że prasa, aby funkcjonować, musiała się utrzymywać sama. W związku z tym pojawiło się masowo nowe zjawisko – reklama, która nie była wcześniej wykorzystywana jako źródło utrzymania gazety. Z tego powodu często spotykam się z zarzutem ze strony naszych czytelników. Chciałbym jednak wskazać na to, że w nowym układzie gazeta jest jakby inną instytucją niż jej biuro reklam. Faktem jest, że wszystkie dzienniki deklarują, iż nie biorą odpowiedzialności, ale biorą pieniądze. Wytworzył się taki dziwny dualizm pomiędzy tymi grupami działania, które spotykają się na łamach jednej gazety.

Skoro reklamy są (i pewnie będą), a mają w poważnym stopniu ujemny wpływ na ludzką psychikę (choćby stwarzanie nowych, niekoniecznych potrzeb obok już istniejących), to przecież stronicze z reklamami mogą nam posłużyć jako ochrona parkietu w czasie malowania, jako podkładka ochronna przy przesadzaniu kwiatków

czy też jako doskonały materiał do wyścielania wnętrza kosza na śmieci. Kupioną gazetę możemy wykorzystywać maksymalnie.

Podążając tropem transformacji polskiej prasy: słuchający zainteresowali się faktem powstawania wielu nowych tytułów po roku 1989. Okazało się jednak, że... Oto co powiedział na ten temat nasz gość:

Okazało się, że w żadnym prawie regionie nie utrzymały się nowe tytuły, poza „Gazetą Wyborczą”, która otrzymała olbrzymie wsparcie moralne i zapewne finansowe od Komitetu Obywatelskiego. Gazetę tę uznano za pismo wolnej, niepodległej Polski. W tej chwili funkcjonuje w dobrej kondycji finansowej. Na rynku pozostały pisma, które wcześniej wydawane były przez monopolistę RSW-Prasa. Pieniądże po monopolistcie przejął Skarb Państwa. Ale tradycja i przyzwyczajenie czytelników do tytułu legło u podstaw ich powodzenia. Jest ono również niemalą zasługą dobrego i profesjonalnego przygotowania do wykonywania zawodu tych ludzi, którzy pracowali w dziennikarstwie jeszcze przed rokiem 1990.

Jako podsumowanie na temat przemian posłużyły te słowa:

Myślę, że najbardziej niefortunnym zdarzeniem było zezwolenie na funkcjonowanie prasie w takim kształcie, w jakim ona była. Prasa w Polsce właściwie nie przeszła okresu kajania się. Pracownicy służący minionemu systemowi nie powiedzieli: popełniliśmy mnóstwo błędów. Wydaje mi się, że jeżeli ktoś niesie raz wysoko sztandar czerwony, a później z takim samym dumnym czołem dźwiga sztandar zupełnie odmienny, to coś tu jest nie tak. Dopiero wraz z odejściem tej generacji oczyszczą się szeregi dziennikarskie.

Na kajanie się prasy nie ma już co liczyć. W obecnej sytuacji coś takiego nie dałoby zamierzonych skutków. Rośnie nadzieja na oczyszczenie szeregów dziennikarskich – miejmy nadzieję, że „świeża krew” krwioobiegu dziennikarskiego nie będzie wracała do błędów przeszłości. Parafrazując: nie oglądając się wstecz, wyteżmy siły ku temu, co przed nami. Oddaję znowu głos redaktorowi naczelnemu „Dziennika”, który zaprezentuje nam losy i funkcjonowanie tej gazety:

Do roku 1990 w naszym regionie istniały dwie gazety codzienne – „Kurier Lubelski” oraz „Sztandar Ludu”, który na dwa dni przed likwidacją PZPR zmienił tytuł z organu partyjnego na „Dziennik Lubelski”. Tytuł otrzymaliśmy, jako świeżo zaistniała spółka, na własność i podjęliśmy próby reorganizacji wewnętrznej. Nowy tytuł zaczął funkcjonować od końca stycznia 1990 roku, a w lipcu objąłem funkcję redaktora naczelnego. Od 1.IX.1993 r. tytuł „Dziennik Lubelski” skrócony został do obecnego – „Dziennik”. Zmiana ta została podyktowana pewnymi obawami, które wiązały się z realiami administracyjnymi. Nie wiedzieliśmy, czy „Dziennik Lubelski” zechce kupować w Zamościu, Chełmie, Białej Podlaskiej czy w części województwa tarnobrzezkiego oraz siedleckiego. Tytuł dopasowaliśmy do regionu, w jakim przyszło nam działać. Całe dwie środkowe kolumny gazety występują w czterech wersjach. Również na pierwszej stronie dokonuje się pewnej wymiany informacji w zależności od tego, czy wydanie gazety przeznaczone jest dla Lublina, Chełma, Zamościa lub Białej Podlaskiej. „Dziennik” – przekazuje informacje, unika oceniania, że coś jest dobre a coś złe, nie wiąże się z żadnym ugrupowaniem politycznym.

Tyle o gazecie redaktora Gzelli. Teraz o ... ogólnie o prasie lokalnej.

Prasa ta do roku 1989 była formalnym przekątnikiem zunifikowanych informacji, komentarzy i myśli – o wszystkim decydowała centrala. Dzienniki regionalne powinny zajmować się sprawami lokalnymi, a więc najbardziej znanymi ludzom, którzy tam żyją, pracują i czytają gazety.

Chciałbym jeszcze powiedzieć coś o sprzedawaniu się gazet. Dla porównania podam, że w województwie poznańskim 48% nakładu pism sprzedaje się przez kioski Ruchu, natomiast u nas przez te kioski sprzedawanych jest 24%. Ktoś może zarzucić mi, że skarżę się na czytelnika zamiast zająć się poprawą jakości mojej gazety, niemniej jednak faktem jest bardzo słabe czytelnictwo na Lubelszczyźnie.

O prasie można by wiele mówić i pisać. Przy tej okazji należy wspomnieć również ludzi, którzy zapełniają słowami szpalty i stronicę. O dziennikarzach:

Być dobrym dziennikarzem znaczy posiadać umiejętność wnikliwej obserwacji, wrażliwe na wiadomości ucho, zdolność szybkiej reakcji. Do tego jeszcze spostrzegawczość i odpowiedzialność za słowo. Ktoś, kto chce być dziennikarzem, a tym bardziej gdy jest się nim, musi dużo pisać. Takim minimum są przynajmniej dwie strony maszynopisu czegośkolwiek dziennie, tylko po to by pisać, bowiem czynność ta prowadzi do znacznej wprawy w operowaniu słowem.

Spośród wcześniej wymienianych cech chciałbym wskazać na tę istotną, choć obecnie zepchniętą na margines działalności dziennikarskiej. Myślę o odpowiedzialności za słowo. A jeżeli w naszej codziennej aktywności zabraknie podstaw moralnych i jakiegoś przemyślenia, to będziemy działać na manowcach.

Słowa te nie wymagają jakiegokolwiek komentarza. Może tylko tyle: od najwcześniejszych momentów pracy o charakterze dziennikarskim uczmy się odpowiadać za słowo.

Na pytanie, czy młody człowiek przychodząc do redakcji „Dziennika” może na coś liczyć, redaktor Alojzy Leszek Gzella odpowiedział konkretną propozycją:

Prasa musi podążać naprzód, musi odpowiadać wymogom współczesności i tylko ludzie młodzi, którzy prasę tę zasilą, mogą to zapewnić. Zapraszam do współpracy na łamach mojej gazety.

Oferta niczego sobie. Oczywiście, współpracę można podjąć nie będąc jeszcze zawodowym dziennikarzem. Młody człowiek, który uda się do redakcji, może niekoniecznie zostanie poczęstowany kawą i ciastkiem, ale z pewnością wysłuchają go..., a wszystko inne wydarzy się już tam. Wybierając się na VI piętro przy ul. Zana 38C należy zabrać ze sobą kilka napisanych tekstów jako próbkę umiejętności.

I tak czas spotkania dobiegł końca. Czas nieuchronnie upływał, mijało kolejne spotkanie, następne, jeszcze jedno i 24 lutego zakończyły się Międzyszkolne Warsztaty Dziennikarskie w Pliszczynie. Pozostały wypowiedzi zarejestrowane na taśmie magnetofonowej, notatki, wspomnienia i my sami, uczestnicy, teraz już bogatsi o nowe doświadczenia.



O prasie amerykańskiej

O mass mediach w USA można mówić wiele. Specyfika tego, jakże różnorodnego kraju odzwierciedla się także w sposobach docierania do obywateli przez prasę, radio i telewizję. Korzystając z doświadczeń Ewy Dziadosz* pokusimy się o przedstawienie w wielkim skrócie funkcjonowania prasy w USA.

Charakterystyczny jest fakt wszechobecności na rynku amerykańskim gazet lokalnych. Niemal wszystkie tytuły prasowe są tu z założenia lokalne. Na przeszło półtora tysiąca amerykańskich dzienników tylko jeden „USA Today” ma zasięg ogólnokrajowy. Jest to gazeta kolorowa, zawierająca wiele krótkich informacji i ... przynosząca wydawcy znaczne straty. Zapotrzebowanie na gazety lokalne wiąże się z prowincjonalnością Ameryki oraz dużym zaangażowaniem Amerykanów w życie swojego środowiska. Stąd ich żywa współpraca z mass mediami lokalnymi, które są dla nich oknem na świat, biurem skarg i wniosków oraz łącznikiem między mieszkańcami. Często gazety lokalne mają ambicję docierać do szerszego grona czytelników, ale tylko kilku z nich to się udaje. „Washington Post”, „New York Times” zawierające w swym tytule nazwę miasta, gdzie są wydawane, czytane są chętnie także poza Ameryką, ot choćby w Europie.

Prasa amerykańska jest uważana za obiektywną. Komentarze są wyraźnie oddzielone od informacji, nawet wizualnie (znajdują się na innych stronach). Aby uniknąć tonu subiektywnego lub choćby podejrzenia o takowy, rozpowszechniona jest praktyka posługiwania się cytataми. Niektóre gazety całe strony przeznaczają na listy czytelników, którzy mogą zamieszczać tam swoje opinie, komentarze czy informacje. Informacja jest czymś bardzo ważnym dla Amerykanów. Dostęp do niej mają zagwarantowany w Konstytucji. Chcą wiedzieć wszystko. Dlatego wszelkiego rodzaju informacje zajmują w gazetach najważniejsze miejsce. Mimo całego obiektywizmu prasy amerykańskiej istnieje możliwość manipulowania faktami przez ich wybiórczość, co też jest czynione, zwłaszcza w okresie kampanii wyborczej. Gazeta

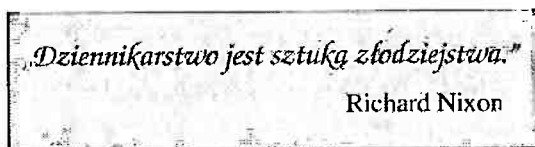
* Ewa Dziadosz – dziennikarka, pracownik „Dziennika”, goszcząca przez miesiąc w redakcji lokalnej gazety miasta Grand Rapids w stanie Michigan, USA.

lokalna przez swój monopol jest ważnym czynnikiem opiniotwórczym dla swych czytelników. Śledzą oni z uwagą o czym i o kim pisze się na łamach ich gazety i żywo na to reagują.

Prasa amerykańska uważa się za wolną i niezależną. Większość środków uzyskuje sama z reklam (około 70%). Zawierają one nieraz ponad połowę objętości gazety, powiększając ją nawet do kilkuset stron.

Rola techniki w codziennej prasie amerykańskiej jest znacząca, aczkolwiek nie jest aż tak duża, jak się to zwykło jej przypisywać. W „New York Times” są dwa komputery reagujące na polecenia wydawane głosem o odpowiednim akcencie, jednakże według redaktora naczelnego tejże gazety dziennikarz pozostaje ważniejszy niż narzędzie, jakim się posługuje.

Wykład pani Ewy Dziadosz cechował wielki entuzjazm wobec mass mediów amerykańskich. Można by zadać pytanie, czy w rzeczywistości prasa amerykańska jest tak świetna, wręcz idealna, jak ją widzi pani Redaktor?



Katarzyna Wilczyńska

Moja przygoda z „Gazetą w Lublinie”



Do „Gazety w Lublinie” trafiłam, gdy jeszcze miała swoją siedzibę przy ul. Górnej. Najpierw przejście przez obskurną bramę, potem mocowanie się z ciężkimi drzwiami, które strasz-

nie głośno się zamykały i wreszcie dłuugie „schody do nieba” – czyli na poddasze, gdzie znajdowały się pokoiczki dziennikarzy. Pomieszczenie „Młodych Sił” (dla których miałam pisać) znajdowało się przy rozklekotanej balustradce i przekraczało wszelkie oczekiwania. Pokoik 2x2, z dużym oknem, przez które ledwo można było dojrzeć bar Alibi, regalik z walającymi się i zabazgranymi papierzyskami i dwa biurka – na jednym komputer „Młodych Sił”, a na drugim stoiki z zaciekami, pędzle, piórka i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze, należącymi do Mariusza Głazowskiego, z którym to mieliśmy „przyjemność” dzielić ten „przeuroczy” kącik. Rysownik „Gazety” wystrojony w sweterek w kolorowe wzory i rozdeptane cielaki, miał w zwyczaju gotowanie herbaty (którą się z nikim nie dzielił) na swoim osobistym przedpotopowym grzejniku oraz zadymianie papierosami szarych komórek młodych talentów. Po 30 minutach nie można było dojrzeć ekranu komputera, nie mówiąc o oddychaniu. W nowej redakcji „Młode Siły” także dzielą pokój z Mariuszem, ale na szczęście pomieszczenie jest większe, wyższe i przechodnie, w związku z czym ciągle się wie- trzy. Artyście można się narazić „podprowadzając” (nawet nie specjalnie) krzesółko lub kubeczek.

Odkąd pamiętam młodym narybkiem zajmował się Mirosław Haponiuk – uważa- ny za mistrza recenzji teatralnej.

Nigdy nie zapomnę pierwszego spotkania: „Ma być dobry tekst!” oznajmił roz- czochrany facet noszący się w wyciągniętym swetrze, spodniach od garnituru i bu- tach kowbojkach (!), miażdżący nerwowym ruchem papierosa w rękę. Pamiętam doskonale moje rozgoryczenie, gdy skracając mój tekst o 2/3 mówił: „trzeba wyrzu- cić zbędne rzeczy – to nie jest „Wojna i pokój””. Tak marnowało się wiele „genial- nych” artykułów.

Janusz Dobżyński – twórca działu sportowego i zapalony rowerzysta, który codziennie w koszulce, czapeczce lub spodenkach „Gazety” reklamuje swoją firmę na trasie Świdnik – Lublin, Lublin – Świdnik, pomagał mi przy ciężkich próbach pisanie tekstów sportowych.

Z fotoreporterką „Gazety” Iwoną Burdzanowską (która prowokuje opiętymi na nogach legginsami fotografowane obiekty) miałam przyjemność bywać na koncertach muzyki poważnej w Warszawie. Pani Iwona bardzo ładnie wygląda w zwiewnych sukienkach na fotelu sali balowej Zamku Królewskiego.

Redaktora naczelnego dane mi było poznać dopiero po kilku miesiącach. Jest cierpliwy i pobłażliwy dla niesfornych „Młodych Sił”. Stwarza motywację i atmosferę do pracy. Niektórzy uważają, że ubiera się z elegancją Adama Michnika i ukrywa się w swoim pokoju, aby nie zepsuć dobrego wrażenia, jakie goście redakcji mają po spotkaniu z elegancko ubranymi portierami. Jednak za najlepszego kreatora mody uważa się w redakcji Grzegorza Józefczuka ufryzowanego w kucyk. Sekretarz redakcji w ubiegłym sezonie przechadzał się po Lublinie (i nie tylko – sama widziałam!) w telewizyjnej górze (marynarka) i plażowym dole (gatki „Gazety”).

„Gazeta w Lublinie” to przede wszystkim ludzie, wokół których krąży wiele plotek i anegdot. Znaleźć je można w tysięcznym wydaniu „Gazety w Lublinie”.

Jan Pleszczyński długo zabiegał o wywiad z rektorem KUL ks. prof. Stanisławem Wielgusem. Udało się po sforsowaniu zastępu sekretarek i pracownic Rektora KUL. Zadowolony był nie tylko dziennikarz, ale i ksiądz Rektor. Dał temu wyraz na jednym z wykładów mówiąc studentom, że „Wyborczą” mogą czytać, byle się z tym nie afiszowali.

W czerwcu 1995 r. „Gazeta w Lublinie” będzie obchodziła swoje 5-lecie. Inicjatywa powstania „Gazety w Lublinie” zrodziła się w Warszawie – w Gazecie Matce i była wspierana lokalnymi zachętami. GwL jest jedną z siedemnastu bezpłatnych dodatków obejmujących swym zasięgiem cały kraj. Lubelski Oddział obejmuje województwa: lubelskie, zamojskie, chełmskie i białkopodlaskie. Od 8 maja 1995 „Gazeta” ukazywać się będzie w nowej szacie graficznej. Każdy z 17 dodatków w całym kraju ma taki sam wygląd. Pierwszy numer „Gazety w Lublinie” ukazał się w czwartek 7 czerwca 1990 r. Był bardzo cieniutki – obejmował 4 strony (w tym 1 strona ogłoszeń) i miał 11 tys. egzemplarzy nakładu. Początkowo GwL ukazywała się tylko w czwartek. Od września 1990 r. zaczęła wychodzić w poniedziałki i czwartki, a od listopada tegoż roku także i w środy. Wtedy redakcja Gazety znajdowała się na Al. Racławickich, w szarej, zakurzonej, trzypiętrowej kamienicy pod numerem 4. W pokoiku wynajmowanym od sióstr zakonnych stały cztery biurka. Zdobywcy neowsów, nieustraszeni reporterzy, przestraszeni stażyści i publicyści – wszyscy w ustawicznej kolejce do dwóch elektrycznych maszyn do pisania. Szare komórki owiewał zapach smażonych piętrowo niższej gofrów i zapiekane. Makiety jechały pociągami do Gazety Matki w stolicy. Coraz częstsze ukazywanie się „Gazety” fetowano szampanem. Wystarczała butelka na całą redakcję. Jeszcze w tym samym roku (od 16 grudnia 1990 r.) redakcja została przeniesiona na ul. Królewską

15 do oficyny na I piętrze. Ten rok zakończył się wydaniem 45 numerów. Od stycznia 1991 r. GwŁ ukazywała się 4 razy w tygodniu, także w soboty. Od sierpnia 1991 GwŁ ukazuje się już codziennie. Powiększyła się objętość, ilość kolumn i pracujących dziennikarzy. Przybył teleks, ksero, pierwsze komputery... i nowe miejsce (od 23 października 1991) na ul. Górnej 4 a, w szarej, przysadzistej kamienicy skrytej w podwórku. Tam właśnie, na poddaszu, w małych pokojach pracowała kilkudziesięcio- (już) osobowa grupa dziennikarzy. W gazecie ukazywały się depeszowe strony, dział rynkowy, kulturalny i sportowy. W pracy pomagały komputery, modemy i łącza telbanku, dzięki którym makłady Gazety nie musiały już jeździć pociągami i samochodami. Od grudnia 1991 w GwŁ ukazuje się rubryka pt. „Gazeta Młodych Sił”, w której piszą licealiści, młodzi i nieopierzeni adepci sztuki dziennikarskiej. Obecnie rubryka ta ukazuje się w czwartki (z różną częstotliwością w zależności od napiętego rozkładu zajęć w szkołach np. niektórzy mają maturę w tym roku...). „Gazeta Młodych Sił” zaprasza wszystkie gorące i niewyżyte młode pióra do współpracy.

Rok 1991 zakończył się dla Gazety w Lublinie liczbą 222 numerów. Od 1992 r. „Gazeta” miała już codziennie 8 stron i w sumie wyszło 289 numerów. Od marca 1993 liczyła 12 stron objętości. W tymże roku ukazało się 305 numerów. Od 4 kwietnia 1994 GwŁ zdomowila się (pewnie już na stałe) w kamienicy przy Krakowskim Przedmieściu 39. Na I p. znajduje się Biuro Ogłoszeń, a na II p. obszerny neeews room z piętnastoma stanowiskami pracy, nad którymi sprawuje kontrolę (przez wewnętrzne okno) i pracuje nad ich wydajnością Sekretariat. Każdy dziennikarz ma do dyspozycji własną dziuplę z biureczkiem, komputerem i telefonem. Sami mówią, ze wytchnieniem koncepcyjnym jest wewnątrzredakcyjny barek, gdzie poją kawę i herbatę.

Od roku 1994 GwŁ ma średnio od 12 do 20 stron, nadal grubiej, a każdy numer pochłania 780 kg papieru. Tysięczny numer „Gazety w Lublinie”, który ukazał się z datą 17 czerwca 1994, to: 21 439 077 egzemplarzy, 207 786 486 stron i 610 559 kg papieru.

W czerwcu 1990 na wydrukowanie GwŁ potrzebowano 453 kg papieru, a w maju 1994 – 17,5 tony. Rok 1994 dał 304 numery.

Wszystkie numery Gazety (dowód rzeczowy) są skrzętnie zbierane i przechowywane w redakcyjnym archiwum. Kompletu są oprawiane w skórzane okładki z podobnymi napisami.

Jedynym i niezmiennym od początku jest redaktor naczelny Wacław Biały. Najdłużej w „Gazecie” pracują redaktorzy: Agnieszka Dybek i Jan Pleszczyński. Nad codziennym wydaniem ciężko pracuje wielu wspaniałych dziennikarzy i redaktorów, którzy starają się być wszędzie obecni, aby móc dostarczać swoim Czytelnikom świeże informacje i ciekawe tematy.



Materiał zebrałam dzięki uprzejmości opiekuna przeszłości (redakcyjnego archiwum) czyli p. Małgosi Sychut. Skorzystałam także z „urodzinowego” tysięcznego numeru Gazety w Lublinie, zasłyszanych wspomnień i własnych obserwacji.

„Dziennikarstwo to przede wszystkim rzemiosło”

Konferencja prasowa Wacława Białego – redaktora naczelnego
„Gazety w Lublinie”, Pliszczyn 23 lutego 1995

Co to jest odpowiedzialność dziennikarza?

Wacław Biały: Dziennikarz odpowiada głównie na pytania, które mu zadają czytelnicy, które chcą mu zadać czytelnicy. Odpowiada na pytania, co do których myśli, że czytelnicy chcieliby mu je zadać. I to właściwie jest w dużym skrócie odpowiedzialność dziennikarza.

Dziennikarz odpowiada tylko przed czytelnikami, przed nikim więcej, oni są jego chlebodawcami. Nie należy mylić tego z odpowiedzialnością dziennikarza jako obywatela, ponieważ wtedy dziennikarz odpowiada jak każdy obywatel. Jeśli popełni przestępstwo, to ponosi odpowiedzialność i tak właśnie wyobrażam sobie odpowiedzialność dziennikarza.

Odpowiedzialność zawsze kojarzy się z lojalnością. Jak jest z lojalnością dziennikarza wobec tzw. informatorów, jak Pan się do tego ustosunkowuje?

Wacław Biały: Ustosunkowałem się do tego dosyć gruntownie. Uważam, że jeśli ktoś przychodzi do dziennika-

rza z informacją i nie chce, żeby ujawniono jego nazwisko, to dziennikarz nie powinien tego robić. Musi także pogodzić się z ewentualnymi konsekwencjami swojej decyzji. To znaczy, że jeśli zażądają od niego ujawnienia informatora i odmówi to mogą go ukarać. To jest wpisane w jego zawód.

Czy informacje od informatorów, którzy nie chcą podać Panu swojego nazwiska, uważa Pan za tak samo wiarygodne jak osób ujawniających się?

Wacław Biały: Jeśli ktoś podaje mi informacje, a ja nie wiem, kim jest osoba, jest to anonim i wyrzucam go do kosza. Po to gwarantuję, że nie ujawnię nazwiska informatora (przed policją, przed sądem, przed prokuratorem), żeby informator miał do mnie zaufanie. Muszę jednak wiedzieć z kim rozmawiam.

Czy zrezygnowałby Pan z naprawdę dobrego materiału, który mógłby być materiałem Pana życia, ze względu np. na tajemnicę państwową?

Wacław Biały: Bardzo trudne pytanie. Nie wiem, jakbym się zachował.

Jeśli stanę przed takim wyborem, będę go dokonywał. Kiedyś narażałem się, żeby zrobić materiał, mimo że za jego opublikowanie groziły mi poważne konsekwencje. Nie mogę powiedzieć, jak będzie w przyszłości.

Czy nie uważa Pan, że jakakolwiek zmiana oblicza gazety na przykład to, które planuje „Gazeta Wyborcza”, odbije się na odbiorze pisma przez czytelnika? Każdy jest bowiem przyzwyczajony do charakterystycznego wyglądu gazety. Czy nie jest to tak, jak ze zmianą tytułu?

Wacław Biały: Święte słowa. Bardzo się boję projektowanej zmiany wyglądu „Gazety Wyborczej”. Specjaliści, którzy się tym zajmują twierdzą, że będzie ona lepsza, ładniejsza. Jednak najbardziej konserwatywnym ze stworzeń chodzących po ziemi jest czytelnik gazet, który nie lubi zmian. Przykładem tego jest francuska gazeta „Le Monde”, która przeprowadziła taką zmianę, zresztą po długich przygotowaniach i długiej intensywnej kampanii promocyjnej. Nakład jej spadł bardzo nisko, gazecie groziła plajta i dopiero radykalne działania sprawiły, że ta tendencja się odwróciła. Gazeta Wyborcza ponosi to samo ryzyko.

Czy to właśnie dlatego jest odkładany termin zmian?

Wacław Biały: Termin odkładany jest dlatego, że część dziennikarzy, którzy mają tę gazetę robić, nie jest przekonana do tych zmian. Trudno robić coś dobrze, jeśli się samemu o tym nie jest przekonanym. Osobiście uważam, że jest to dobre i gazeta będzie ładniejsza.

Czy „Gazeta w Lublinie” będzie się rozwijać i szukać nowych czytelników?

Wacław Biały: Celem każdej firmy jest rozwój, my także będziemy się rozwijać, starając się pozyskać coraz to nowe grupy czytelników. Jest wiele typów czytelnika, każdy czego innego szuka w gazecie. Jednego interesuje polityka, drugiego tylko repertuar kin, trzeci przegląda ogłoszenia drobne, a czwarty interesuje się sportem itd. Najchętniej ludzie czytają o sobie, o swoich bliskich, znajomych i tego też szukają, i właśnie w tę stronę zamierzamy rozwijać: „Gazetę w Lublinie” jako regionalny dział „Gazety Wyborczej”. Nas interesują wyłącznie wydarzenia, które mają miejsce między Bugiem a Wisłą, czyli na Lubelszczyźnie, od reszty świata są pozostałe łamy gazety.

Czy w planach „Gazety w Lublinie” leży zwiększenie liczby reportaży?

Wacław Biały: Tak, uważam, że reportaż jest najbardziej pożądanym przez czytelników gatunkiem dziennikarskim. Jestem za tym, by tych reportaży było jak najwięcej, myślę nawet o ogłoszeniu konkursu na reportaż lokalny.

Czy były takie okresy, kiedy malała w sposób zauważalny sprzedaż „Gazety Wyborczej”? Jeśli tak, to czy redakcja znalazła przyczynę i jak na to zareagowała?

Wacław Biały: Był taki okres. Zaczął się na początku 94 roku, wtedy wyraźnie spadała liczba czytelników. Zrobiliśmy badania i stwierdziliśmy ogólny spadek czytelnictwa prasy w Polsce. To nas trochę uspokoiło, do-

szliśmy do wniosku, że wina nie leży w nas, że to nie my robimy coraz gorszą gazetę, tylko ludzie nie chcą czytać prasy. To oczywiście nas nie usprawiedliwia. Naszym zadaniem jest robić taką gazetę, by mimo wszystko ludzie nas kupowali. Ta tendencja utrzymywała się aż do stycznia tego roku.

Czy „Gazeta w Lublinie” wierzy w badania opinii publicznej, czy wierzy w tzw. „statystycznego Polaka”?

Wacław Biały: O ile wiem to ani „Gazeta...” nie wierzy, ani ja nie wierzę. Nie ma kogoś takiego jak statystyczny Polak. Jest to pojęcie bardzo umowne. Na przykład: Pan ma lat 18, ja 50, statystycznie mamy po 30. Jak Pan widzi jest to absurd.

Czy uważa Pan, że podanie wyników badań może wpływać na kształtowanie się opinii publicznej? Czy można mówić o możliwościach opiniotwórczych prasy pod tym względem?

Wacław Biały: Coś w tym jest. Osobiście wierzę w wyniki badań opinii publicznej tylko wtedy, gdy znam metodę jaką zastosowano. Jeśli chodzi o drugą część pytania myślę, że wyniki mogą wpływać na opinię publiczną. Ale nie jest to wpływ decydujący.

Jak wygląda kwestia dochodowości gazety i jaką rolę odgrywa reklama?

Wacław Biały: Jeżeli przyjmujemy dochody „Gazety Wyborczej” jako 100%, to 70% pochodzi z reklamy, a 30% ze sprzedaży nakładu. W przypadku „Gazety w Lublinie” 100% naszych dochodów pochodzi z reklamy. Wszystkie nasze koszty (druk,

papier, telefony, telexy, czynsze, płace, ZUS) musimy ponieść właśnie z tych pieniędzy.

Czy gazeta powinna się komercjalizować?

Wacław Biały: Myślę, że nie powinna. Są oczywiście tytuły, które to robią natógowo, na przykład stosują zdrapki. Działają to jednak na bardzo krótką metę, to znaczy np. dzisiaj „Super Express” organizuje zdrapkę, natychmiastowo wzrasta im sprzedaż nakładu, po czym kończy się zdrapka, zaś sprzedaż pisma spada poniżej poziomu wyjściowego. Wtedy trzeba robić nieustającą zdrapkę. Jak pewnie Pan zauważył „Gazeta Wyborcza” zdrapkę nie robi i robić nie będzie. Długo się zastanawiałem, co należy robić, by pozyskać czytelnika. Doszedłem do wniosku, że najskuteczniejszym sposobem będzie zamieszczanie ogłoszeń drobnych.

Nie uważa Pan, że ten sposób pozyskiwania czytelników jest mało ambitny?

Wacław Biały: Dlaczego? Przecież ogłoszenie jest bardzo ważną informacją, a poza tym jaka to pasjonująca lektura.

Chciałbym się dowiedzieć, na ile „Gazeta w Lublinie” zależna jest od „Gazety Wyborczej”. Wiadomo, że każda gazeta ma swoją orientację polityczną. Czy zdarzają się takie sytuacje, że przyjeżdża ktoś z Warszawy, bierze do ręki lubelski dodatek, wskazuje na artykuł i mówi „tutaj napisaliście tak, że nie pasuje do ogólnego kierunku gazety, proszę to zmienić.”

Wacław Biały: Tego typu przypadek do tej pory się nie zdarzył przez prawie pięć lat i myślę, że się nie zdarzy. Gdyby taka sytuacja zaistniała, przestałbym w tej firmie pracować. „Gazeta w Lublinie” jest bardzo zależna od „Gazety Wyborczej”. Jest to gazeta niesamodzielna, jest częścią całości.

Czy sądzi Pan, że nazwiska współpracowników gazety w jakiejś mierze kształtują gazetę?

Wacław Biały: Myślę, że tak. Każdej gazecie dobrze robi, jeśli pojawiają się w niej nazwiska znane, popularne, lubiane. Są takie teksty, które zaczyna się czytać od podpisu. *Kiedy dziennikarz przestaje być dziennikarzem?*

Wacław Biały: Wtedy, kiedy przestaje informować ludzi o wydarzeniach. Kilkanaście lat temu wyrzuciono mnie z pracy z wilczym biletem, formalnie przestałem być dziennikarzem i przez ponad siedem lat miałem ten wilczy bilet. To jednak wcale nie oznacza, że przestałem być dziennikarzem praktycznie. Jeżeli ktoś ma coś do powiedzenia, to robi to. Stefan Bratkowski, mój znakomity przyjaciel, gdy w latach 80-tych po stanie wojennym próbowano dziennikarzom zamknąć usta, wymyślił metodę mówienia do ściany, polegało to na tym, że nagrywał kasetę, przy czym podczas nagrywania wyraźnie zaznaczał, że nagrywa w jednym egzemplarzu, nazywało się to „Gazetą mówioną Stefana Bratkowskiego”, podawał tam wszystkie informacje, których cenzura wtedy nie puszczала, komentarze, które by w żadnej innej gazecie nie poszły i ten jedyny egzemplarz, na-

gle tajemniczo ginął mu z biurka i rozmnażał się w tysiącach egzemplarzy, które krążyły po całej Polsce.

Na czym według Pana polega atrakcyjność zawodu dziennikarza? Czy Pana zdaniem dziennikarz ma do spełnienia jakąś misję w swoim życiu?

Wacław Biały: Będąc w szkole średniej zamarzyłem, by zostać dziennikarzem. Teraz z perspektywy lat wiem, jak dalekie były moje wyobrażenia od rzeczywistości, ale dokonałem tego wyboru, zostałem dziennikarzem i nie żałuję. Czy dziennikarstwo to jest misja? Moim zdaniem to jest przede wszystkim rzemiosło, praca. Misją dziennikarza jest podawać dobre, rzetelne informacje. Dobry dziennikarz powinien być przede wszystkim dobrym rzemieślnikiem, to jest w 90%, zaś w 10% powinien być artystą.

Jak według Pana powinna wyglądać lojalność dziennikarza wobec własnej redakcji i czy w ogóle coś takiego powinno istnieć?

Wacław Biały: Uważam, że powinno się być lojalnym wobec firmy dla której się pracuje. Jeśli się nie zgadzam z redakcją to powinienem z niej odejść.

Co według Pana oprócz wysokości nakładu jest wyznacznikiem poziomu gazety i jakie inne jeszcze kryteria bierze Pan pod uwagę przy ocenie poziomu pisma?

Wacław Biały: Ja i moi koledzy uważaliśmy się (i mamy chyba podstawy, żeby tak uważać) za profesjonalistów, czyli za dobrych rzemieślników i mniej więcej wiemy, jak powinna wyglądać dobra gazeta lokalna, ale oczywiście przekonanie to musimy weryfikować. Naszym zada-

niem jako redaktorów „Gazety w Lublinie” jest przede wszystkim zaspokajanie potrzeb naszych czytelników w coraz większym stopniu, coraz lepiej.

Jakie Pan, jako redaktor lokalnego dodatku „Gazety Wyborczej”, utrzymuje stosunki z samorządem lokalnym i z władzami miasta i jak działania tych władz są prezentowane na łamach Pana dodatku?

Wacław Biały: Stosunki naszej gazety z władzami miasta są popraw-

ne. Jednak często tematy, które podejmujemy na naszych łamach, nie podobają się pewnym przedstawicielom tych władz i odbieramy wtedy liczne telefony.

Na szczęście teraz przychodzi nowe pokolenie dziennikarzy, nie obciążonych przeszłością, myślących nowocześnie i to właśnie jest nadzieja polskiej prasy.

Opracował: **Gerard Staniecki.**

„Dziennikarz jest wrogiem rewolucji poprzez zadawanie pytań i ujawnianie działania władz rewolucyjnych.”

Włodzimierz Ilicz Lenin

Kilka uwag o specyfice pracy w gazecie codziennej

Jeden z zachodnich dziennikarzy, o wieloletnim doświadczeniu, zapytany został podczas pobytu w naszej redakcji: czym w swej pracy kierować się powinni dziennikarze i redaktorzy gazety codziennej? Odpowiedział: zdrowym rozsądkiem.

Wypowiedź tę można zinterpretować tak: nie ma precyzyjnego i ostatecznego zbioru zasad zachowania dziennikarzy i redaktorów; jeżeli oczywiście pominąć te, które powołują się na zasady oczywiste i powszechne, takie jak obowiązek służenia np. prawdzie, rzetelności, bezstronności. Ale nawet prawda, rzetelność, bezstronność to wartości w praktyce nie zawsze łatwe do rozpoznania dla dziennikarza. Co więcej, prawdziwie ludzkie a dla dziennikarzy intrygujące są (bądź powinny być) sytuacje i zdarzenia, w których nie można jednoznacznie wskazać co jest np. prawdą, a co domniemaniem, mitem, co słuszne, co bzdurne, co jest dobrem, a co złem. Być może dlatego właśnie wspomniany na wstępie nestor dziennikarstwa odwołał się do zdrowego rozsądku. Nie należy jednakże z tego wyprowadzać wniosku, że dziennikarstwo funkcjonuje bez, albo poza, możliwością oceny kategoriami dobra i zła, prawdy i kłamstwa, rzetelności i partactwa.

Wymigajmy się, przynajmniej z pozoru, od dyskusji na ten temat. Praca w tym zawodzie charakteryzuje się sytuacjami specyficznymi, i o nich lepiej na wstępie pogawędzić – z zastrzeżeniem, że będą to konstatacje wybiórcze, subiektywne, nieyczerpujące tematu...

Dziennikarz widzi więcej. Niektórzy woleliby zapewne określenie: nie dziennikarz, a gazeta powinna widzieć więcej. (*A propos*: widzieć więcej to mieć więcej oczu i do tej konstatacji nawiązuje wielki plakat reklamujący jeden z polskich dzienników – na plakacie troje oczu oraz nazwa gazety).

Dziennikarz posiada ustawą gwarantowane prawo dotarcia do dokumentów i informacji dla zwykłego obywatela niejawnych. Ale zarazem obowiązek obiektywnego i rzetelnego zreferowania dzięki temu prawu rozpoznanej sytuacji, obowiązek przedstawienia wszystkich stron konfliktu itp. Dobry dziennikarz powinien poznać

dokładnie sferę rzeczywistości, o której pisze, osoby znaczące, poznać głębszą strukturę problemów, którymi się zajmuje (jak choćby grupy nacisku, powiązania osobiste) – a tego poznania nie zagwarantuje dziennikarzowi już żadne prawo, lecz tylko własna inicjatywa i wrażliwość.

To widzenie stoi w sprzeczności z wymogiem natury praktycznej – koniecznością selekcji informacji. Bo artykuł to nie pamiętnik, protokół. Jak sobie z tym poradzić?

Gazeta codzienna żyje jeden dzień. Taka – jednodniowa – jest żywotność dużej części materiałów prasowych. Żywotność to marna, więc rodzi frustracje. Efekt pracy, poparty niekiedy dużym wysiłkiem, wgłębianiem się w problem, pojawia się i natychmiast znika (zanika). Z reguły pozostaje bez echa. Dlatego dziennikarza cieszy, kiedy jego artykuł spotyka się z jakąkolwiek reakcją.

Jednodniowej żywotności gazety świadomi są także ci jej czytelnicy, osoby czy instytucje, którym wytyka się błędy czy oszustwa. Po prostu nie reagują, nie reagują świadomie – przemilczenie kompromitującego ich artykułu jest dla nich korzystne, wszak gazeta (i ten artykuł) żyje jeden dzień. Próby tłumaczenia, pokrętnych sprostowań kierowanych do gazety przedłużają jedynie żywotność artykułu.

Jednodniowy jest rytm pracy dziennikarza gazety codziennej. Każdy dzień przynosi nowe zdarzenia, wymaga nieustannej mobilności, koncentracji świadomości na innych sytuacjach, nie daje spokoju, łamie – tak oczywisty dla człowieka – podział strumienia czasu na tygodnie, miesiące. To praca, która potrafi „wypompować”, wycisnąć soki.

Dziennikarz pracuje w piątek i w świątek. Więc zanika rytm czasu – bądź inaczej: rytm czasu jest niezwykle jednostajny, dzień za dniem, dzień za dniem. I nic więcej?

Dziennikarz powinien szanować ludzi. To norma, którą trzeba powtarzać tym częściej, im chętniej dziennikarze skłonni są ją naruszać. Będąc tak blisko rozmaitych, niedostępnych czytelnikowi zdarzeń, dziennikarz nie zauważa, że może od spraw, sposobu myślenia i przeżywania zwykłego człowieka – czytelnika oddalić się na niespotykaną odległość. Popaść w rutynę i niewrażliwość.

Autorzy rubryk kryminalnych zapominają, że są sprawy, o których pisać nie wypada – jak niektóre samobójstwa. Jeżeli dziecko utopi się w stawie – zapominają, że to tragedia i potrafią notce na ten temat nadać tytuł „Ostatnia kąpiel”. Demagogizują i demonizując nieco, warto podział na dziennikarzy szanujących i nie szanujących ludzi bardziej upowszechnić.

Pisze dziennikarz, odpowiedzialna jest gazeta. Gazeta jest tworem zbiorowym. Za tekst dziennikarski odpowiada – tak określa to prawo prasowe i większość wewnętrznych procedur różnych redakcji – nie tylko dziennikarz-autor, ale i redagujący tekst redaktor (wydawca numeru, redaktor prowadzący) oraz redaktor naczelny. Rola redaktora jest tu ogromna – nie tylko techniczna, sprowadzana do poprawiania błędów gramatycznych, korekty tytułu itp. Może przedstawiać akapity, skracac je, uzupełniać itp. Nadać tekstowi nowy sens. Redaktor kompetentny powinien wiedzieć,

czy tekst jaki przechodzi przez jego ręce zawiera informacje prawdziwe, czy jest „moralnie słuszny” itp. Jak to wiedzieć?

Szukać faktów, poskramiać komentarze. Młodzi wrażliwi ludzie, zaintrygowani dziennikarstwem, mają nieustające skłonności do komentowania otaczającej ich rzeczywistości. Ich komentarze są jakiegoś rodzaju ekspresją osobowości własnej, interpretacją zjawisk. Dlatego chcą często pisać o kulturze, bo wydaje się im, że właśnie wydarzenia tej sfery są na komentarze podatne. To złudzenie. Co druga młoda osoba pytająca w redakcji o możliwości współpracy – pyta, czy mogłaby pisać o kulturze. Mówimy: precz!

Dziennikarstwo polega na tym, żeby nie zatracając wrażliwości, umieć oddzielić informacje (fakty) od komentarzy (interpretacji). To banal, który jest najgłębszą prawdą. Dziennikarz powinien być raczej jak medium, dzięki któremu poznamy fakty, a nie kaznodzieją i pedagogiem. Od interpretacji jest czytelnik.

Nikt się nie rodzi dziennikarzem. Nie pomogą w tym szkoły. Dlatego nie polecam, i nie jestem w tym odosobniony, studiów dziennikarskich.

„Dziennikarz to rewolucjonista, ponieważ umie się dziwić wobec niepodważalnych praw.”

Charles De Gaulle

- **absolutnie wszystko – recenzja**

Michał Łuszczuk

W dniach 5 – 11 lutego w Kazimierzu Dolnym w Kuncewiczówce prezentowana była wystawa prac nieżyjącego już lubelskiego malarza, Zygmunta Bartkiewicza. Wystawa pt. „Świat miniony – Lublin – Kazimierz” została zorganizowana przez Fundację Kuncewiczów oraz rodzinę artysty.

Zygmunt Bartkiewicz był malarzem i tylko malarzem, całe życie podporządkował tej idei i co najważniejsze, a rzadko dziś spotykane, był wierny przyjętym raz zasadom. W 1919 roku ukończył studia w Szkole Malarstwa i Rysunku Konrada Krzyżanowskiego w Warszawie. Po ukończeniu studiów zamieszkał na stałe w Lublinie, będąc jednym z głównych twórców życia artystycznego miasta, m. in. uczestniczył w założeniu Związku Artystów Plastyków w Lublinie w 1936 roku.

Zygmunt Bartkiewicz należał do nadzwyczaj płodnych malarzy, lecz nigdy nie stracił swej oryginalności, nigdy nie stracił specyficznego sposobu postrzegania rzeczywistości i lekkiego jej deformowania. Ciekawostką jest to, iż artysta nie używał pędzla, malował szpachlą, a właściwie nożem, przez co uzyskiwał niepowtarzalną fakturę obrazu i czystość koloru. Można rzec, iż Zygmunt Bartkiewicz interpretował świat w perspektywie sentymentalnej, wedle własnego, nieco baśniowego wzoru, będąc kompletnie nieczułym zarówno na dyrektywy sztuki akademickiej, jak i awangardowej.

Potwierdzeniem tych słów były obrazy wystawione w Kuncewiczówce, obrazy ukazujące przedwojenną lubelską Starówkę (często nie istniejące już ulice), przedmieścia miasta (dzisiejsze „betonowe pustynie”) oraz rzadkie w kolekcji „nielubelskie” prace prezentujące Kazimierz nad Wisłą. Wszystkie wystawione prace miały znaczną wartość muzealną.

Zgodnie z przewidywaniami organizatorów wystawę zwiedzali głównie ludzie starsi, dla których obraz ukazujący wieżę ciśnień na Placu Wolności nie stanowił zaskoczenia. Myślę, że to wielka szkoda, iż, pomimo ferii, tak mało młodzieży – zawsze tłumnie przebywającej w Kazimierzu – zawitało do Kuncewiczówki. Wystawy Zygmunta Bartkiewicza, tak rzadkie, stanowią bowiem świetną lekcję historii naszego miasta, pokazują nie tylko domy, uliczki, sylwetki mieszkańców, lecz też klimat i niepowtarzalną atmosferę Lublina z tamtych lat, jednym słowem – absolutnie wszystko.



- **absolutnie wszystko – impresja**

Katarzyna Kus

absolutnie wszystko lista mizerak założenie tandeta obrót stukot drobiazg staruszek upadek poddasze buntownik zapomnienie prezes kielich łapownictwo sprawca osiedle afisz krasomówca miejsce uczestnik wodotrysk wniosek indeks osłupienie argumentacja pysk nieproporcjonalność absolutnie wszystko śmiałek kot żniwo rupieć cieśnina pytanie nudziarz szlachcic wiadomość ojczyzna dodatek piśmiennictwo charakter wielbiciel adept niziołek przyroda kałuża krew niegodność ogień podręcznik rój likwidacja równość wachlarz skrytość wehikuł potajemność inicjator huragan absolutnie wszystko człowiek sen potwór audycja sień możnowładca śledź wilk głód zaciemnienie kontrola bezradność supermarket mistrz imię deszcz hojność podaż los skra restauracja wiatr gest budżet hańba zwierzę firma siostra miasto kwiat gra cywilizacja atrament jasność zabór okrągłak ubranie willa Szwajcar rebelia bungalów autor gazeta zespół historia świat księga nieskończoność blat nieboskłon nimfa szybkość właściciel czarodziej fabrykant wampir początek burza ścisk pal rozprawa apatia koń intryga smakołyk absolutnie wszystko ufność wzorzec pułapka oddech werdykt korzeń cecha złodziej minuta prorok mnóstwo jasnowidztwo gwiazdy idol Paryż kraj piosenka Polska tułaczka fantazja dzierżawca wymowa spotkanie komentator ojciec chłód pragnienie rana mapa komputer pająk lampa świętość widok szkło kryształ życie dźwięk magma spadek oczko tydzień pozycja słońce lot wojna pustynia trwanie skowyt krąg jestestwo hardość dotyk płomień brama wymiana strach nic absolutnie wszystko epoka cele figura żołnierz runda champion tytuł początek zmierzch pogoń sznur korekta hasło oczekiwanie eliminacje pieniądz kolacja byt litera bóg kufer precyzja administracja prędkość obietnica oświadczyń koń absolutnie wszystko?



- **absolutnie wszystko – promocja**

Agnieszka Kantor

Lublin – miasto wojewódzkie położone we wschodniej Polsce, liczące około trzystu pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców. Z pozoru wyglądające tak samo lub podobnie jak wiele innych miast. Czasem zdarza się jednak, że dzieje się coś niezwykłego. To jakiś koncert, to bal karnawałowy, premiera filmowa czy teatralna. Ważny jubileusz czy też spotkanie polityczne.

Jednak w ostatnich dniach, to jest od 15 do 18 lutego bieżącego roku, wydarzenia na kulturalno-gospodarczo-handlowo-dydaktycznej scenie naszego miasta przerosły wszelkie oczekiwania nawet najstarszych mieszkańców, pamiętających jeszcze przedwojenny Lublin. Byli zdumieni tym, co się działo. Centrum Kultury wraz z największymi domami towarowymi, hurtowniami artykułów spożywczych oraz szkołami podstawowymi i średnimi naszego regionu, zorganizowało niezwykle interesujące spotkania. W tym roku Dni Miasta Lublina odbywały się pod hasłem „Lublin – Centrum Polski”. Spotkania przybrały formę zarówno wystawowo-targową, jak i dyskusyjną. Uczestniczyli w nich przedstawiciele władz miasta (prezydent, wojewoda oraz działacze samorządowi), Kościoła Lubelskiego (arcybiskup Bolesław Pylak), szkolnictwa (dyrektorzy, pedagodzy, rodzice i uczniowie) oraz wielu reprezentantów gospodarczo-handlowej strony naszego miasta.

Uczestniczyłam w obradach otwartych dla prasy, w czasie których swoje poglądy i doświadczenia wymieniali dyrektorzy, nauczyciele i uczniowie wielu szkół. Odniosłam wrażenie, że reprezentanci pedagogów nie umieli poradzić sobie ze znakomitymi argumentami dzieci i młodzieży, opowiadającymi się za zasadniczymi zmianami w szkołach zarówno publicznych, jak i społecznych. Myślę, że nie będzie niczym zaskakującym dla uczestników obrad, jeżeli w przyszłym roku szkolnym spotkamy się ze znacznymi zmianami tego właśnie systemu.

Bardzo interesującym punktem spotkań przebiegających ściśle według programu w salach I Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Staszica była wystawa prac plastycznych wykonanych przez twórców różnych grup społecznych Lublina. Niewątpliwie najlepiej wykonane, reprezentujące najszerszą gamę technik plastycznych, a także najbardziej kontrowersyjne były dzieła uczniów Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych. Dodatkową atrakcją były targi kaset magnetofonowych, magnetowidowych, płyt CD, książek, ubrań, artykułów spożywczych i przemysłowych, które przyciągnęły wielu klientów.

Myślę, że tego typu spotkania są doskonałą propozycją na ocieplenie stosunków starszego pokolenia z niecznością „dzisiejszą młodzieżą”.

□

P. S. Wydarzenia przedstawione w artykule zostały – niestety – zmyślane dla celów dziennikarskich.

Jeżeli szukasz nowych, ciekawych metod pracy, skorzystaj z oferty

Klubu Alternatywnych Pedagogów

- organizujemy comiesięczne **spotkania z twórczymi pedagogami** kraju i zagranicą;
- organizujemy w całej Polsce 3-dniowe **kursy wstępne z pedagogiki zabawy**;
- organizujemy **warsztaty metodyczne**;
- wydajemy **czasopismo metodyczne „Kropla”**

**JEŻELI CHCESZ, ABYŚMY DOTARLI DO CIEBIE,
NAPISZ, ZADZWOŃ, PRZYJDŹ!!!**

Nasz adres:

Klub Alternatywnych Pedagogów

Towarzystwo Wolnej Wszechnicy Polskiej

ul. I Armii Wojska Polskiego 3

20-078 Lublin

tel. (081) 212-27



Czasopismo „Kropla” kupisz:

- w siedzibie TWWP w Lublinie,
- w siedzibie ZG TWWP w Warszawie (ul. Górnośląska 20),
- w Liceum Programów Indywidualnych w Gdańsku-Oliwie (ul. Abrahama 15),
- w Państwowym Pomaturalnym Studium Kształcenia Animatorów Kultury i Bibliotekarzy w Krośnie (ul. Kazimierza Wielkiego 4),
- na spotkaniach KAP-u.

Mozesz także otrzymać je pocztą. Kolportaż wysyłkowy:

Redakcja „Kropki”, TWWP

ul. I Armii WP 3/24

20-078 Lublin

ZAMÓW WYDANE I ZAPRENUMERUJ NASTĘPNE!

Rok 1992 – 1 numer, rok 1993 – 4 numery, rok 1994 – 4 numery + „Kropla ekologiczna”, wyd. specjalne, dla prenumeratorów bezpłatnie. Cena jednego egzemplarza – 1,5 zł (15000 st. zł), koszt przesyłki – 0,70 gr (7000 st. zł), razem 2,20 zł (22000 st. zł). Wpłatę za prenumeratę przekaż na konto TWWP, podaj swój dokładny adres oraz jakie numery i ile egzemplarzy zamówiłeś.

PKO II o/Lublin

nr 43528-3274-132

TWWP Oddział Lublin

Mozesz również zaprenumerować „Kroplę” (w cenie 1,5 zł za egz.) i odbierać pismo osobiście w siedzibie Lubelskiego Oddziału TWWP. Na druku prenumeraty zaznacz sposób odbioru.



dźwięk i obraz
w Małej Ojczyźnie

„Największy teatr świata...”

Wywiad z Redaktorem Naczelnym Radia Lublin
Januszem Winiarskim



Stanisław Żebrowski: *Nasz kwartalnik współpracuje z Teatrem NN, gdzie realizowany jest program „Pamięć – Miejsce – Obecność” napisany przez Tomasza Pietrasiewicza. Chcielibyśmy, aby głównym tematem tego wywiadu była rola radia regionalnego w Małej Ojczyźnie.*

Jakie są zadania radia publicznego w regionie?

Janusz Winiarski: Rolę radia publicznego określa Ustawa o Radiofonii i Telewizji. W dużym skrócie rzecz ujmując, polega ona na przekazywaniu informacji, edukowaniu, szerzeniu kultury i godziwej rozrywki.

Ale według mnie, radio publiczne to radio, które nie tylko spełnia zadania zawarte w ustawie, ale które przede wszystkim jest słuchane. Cóż to za radio, które nie posiada odbiorców, słuchaczy?

Oczywiście zawsze najlepszą promocją jest program. Niemożliwe jest

zaspokojenie wymagań wszystkich słuchaczy: inne wymagania ma młodzież, inne – starsi ludzie. Rewolucja radiofonii publicznej nastąpiła w 1990 roku. Do tej pory rozgłoszenie regionalne były filiami radia sterowanego centralnie; własny program radia to były zaledwie cztery godziny na dobę, pozostały czas był retransmisją Programu II... A zatem, aby zmienić stan istniejący do 90-go roku – należało: albo mieć pieniądze, aby pokryć koszty 24-godzinnego programu, albo za te same pieniądze otrzymywane dotychczas – przeprowadzić rewolucję programową. Zapytałem kolegów, czy robimy 24-godzinny program za pieniądze czwartego kwartału roku ubiegłego, czy robimy „radio naszych marzeń?” I załoga zgodziła się na to drugie.

Ale wracając do pytania, jakie są zadania radia? To przede wszystkim informacja: rzetelna i w miarę możliwości pozbawiona komentarza. Radio Londyn w czasie wojny i wiele lat po jej zakończeniu, głosiło zasadę: „Podajemy wiadomości dobre lub złe, ale zawsze prawdziwe”. Dobre, rzetelne radio powinno być wieme tej dewizie.

Katarzyna Grzybowska: *Czy rola informacyjna jest rolą najważniejszą?*

Janusz Winiarski: W Ustawie o Radiofonii i Telewizji są zapisane jeszcze inne bardzo ważne sprawy: kulturotwórcza rola radia, czyli podawanie informacji dotyczących kultury, promowanie literatury, dobrej muzyki. Wiadomo, że muzyką poważną czy literaturą klasyczną zainteresowana jest stosunkowo niewielka liczba słuchaczy, ale cała sztuka polega na tym, żeby promować je w taki sposób, w jaki naucza się dzieci w szkole... Po prostu krok po kroku.

Trzeba robić takie programy kulturalno-edukacyjne, żeby w sposób atrakcyjny promować wartości kulturowe tak, aby zainteresować tych, którzy jeszcze nie pasjonują się tymi tematami.

Łukasz Downar: *Jak to robić?*

Janusz Winiarski: To muszą być krótkie, atrakcyjne formy. Francuzi przeprowadzili przed laty badania – a nasze badania to potwierdziły – że człowiek, który słucha radia może „udźwignąć” najwyżej pięć minut słowa. Ponieważ, i tu posłużę się niemiecką definicją, radio jest tapetą... Towarzyszy człowiekowi na co dzień w pracy i w czasie odpoczynku. Telewizja natomiast jest zachłanna, wymaga wyłączności. Radio nam towarzyszy... Radio jest tym, co nas otacza, wypełnia przestrzeń dźwiękową. Sumując, radio spełnia rolę kulturotwórczą, informacyjną, edukacyjną. Zaś rola kulturotwórcza to nie tylko przekazywanie treści, ale także promowanie twórców: poetów pisarzy,

aby za to, co tworzą, otrzymywali godne wynagrodzenie.

Wojciech Marczewski: *Wydaje się, że teraz obserwujemy wzrost znaczenia radia lokalnego...*

Janusz Winiarski: Po rewolucji ustrojowej z 1989 roku wzrosła rola radia publicznego, ale przede wszystkim wzrosła rola radia lokalnego. Czymże jest radio lokalne? Jest częścią Małej Ojczyzny. Rola radia lokalnego w Małej Ojczyźnie to przyszłość radia w ogóle.

Stanisław Żebrowski: *Wspomniał pan o rewolucji w radiofonii. Dzięki niej powstały radia komercyjne... Jak się pan ustosunkowuje do stacji komercyjnych?*

Janusz Winiarski: Gdybym mówił źle o programie konkurentów, to poniekąd podważałbym sens istnienia radia. Uważam, że wielość podmiotów radiowych pozwala uściślić – wyznaczyć grupy celowe. Wiem, że muszę nie tylko zadowolić młodzież, ale także inne grupy wiekowe. Dobrze, że powstały radia komercyjne, ponieważ teraz mamy możliwość wyboru. To jest właśnie ta wielka zdobycz demokracji: mamy prawo wyboru i wcześniej czy później wybierzemy ten program, który najbardziej nam odpowiada.

Wojciech Marczewski: *Czy Radio Lublin musiało coś zmienić? Czy zostało do czegoś zmuszone?*

Janusz Winiarski: Nie. Modyfikujemy swój program, ale ta modyfikacja podyktowana jest koniecznością spełnienia obligatoryjnych zadań zawartych w Ustawie o Radiofonii i Telewizji.

Bartek Odorowicz: *Czy radio ma integrować społeczeństwo?*

Janusz Winiarski: Powinno. Dlatego też nie może reprezentować żadnej opcji politycznej, powinno stać ponad podziałami politycznymi. Jeszcze teraz pokutuje definicja, że radio jest środkiem przekazu, a ono powinno być środkiem społecznej komunikacji. Słuchacze współredagują przecież programy prowadzone „na żywo”.

Katarzyna Grzybowska: *Czy przeprowadzane są jakieś badania statystyczne? Czy „badany” jest odbiorca Radia Lublin?*

Janusz Winiarski: W ciągu roku dwukrotnie prowadzimy badania, we wrześniu badania ilościowe, a w maju roku następnego – badania jakościowe.

Katarzyna Grzybowska: *Czy badania mają wpływ na program?*

Janusz Winiarski: Decydujący. To działa na zasadzie sprzężenia zwrotnego. Badania są narzędziem, ale oczywiście chcemy też nadawać programy dla wąskich grup społeczeństwa, dla ludzi, którzy czekają na pewne tematy. O nich nie można zapomnieć.

Stanisław Żebrowski: *Jaki jest wpływ władz samorządowych na radio? Czy starają się współpracować?*

Janusz Winiarski: Każda władza: państwowa czy samorządowa – powinna dobrze współpracować ze wszystkimi środkami społecznej komunikacji. Jak wiecie mass media nazywane są często czwartą władzą. Współpraca ze środkami społecznego

przekazu leży w interesie wszystkich obywateli.

Bartek Odorowicz: *Jakie są główne bolączki Radia Lublin? Czy są to problemy finansowe?*

Janusz Winiarski: My, jako spółka, radzimy sobie dobrze. Dzięki reklamodawcom, dobrym uzasadnionym planom finansowym, tak, aby przy podziale abonamentu na rok przyszły, przypadła nam jakaś część. Np. 44% naszych dochodów w 1993 r. pochodziła ze sprzedaży zewnętrznej.

Katarzyna Grzybowska: *Czy w ostatnim czasie wprowadzone zostały jakieś znamienne innowacje do Radia Lublin? Z których osiągnięć radia jest Pan szczególnie dumny?*

Janusz Winiarski: Zakończyliśmy budowę jednego z najnowocześniejszych studiów nagrań muzycznych w Polsce. Klasa studia muzycznego polega nie tylko na nowoczesnej aparaturze, ale przede wszystkim na stworzeniu odpowiednich warunków akustycznych.

Łukasz Downar: *Ale przy stole reżyserskim musi siedzieć człowiek?*

Janusz Winiarski: Człowiek decyduje o wszystkim. Utalentowany fachowiec potrafi zrobić bardzo wiele, a nasze Radio posiada takich fachowców. Niebawem będziemy mogli się o tym przekonać. Wracając do zmian w Radiu Lublin, chciałbym jeszcze raz podkreślić, iż pierwszą, zasadniczą zmianą był ten wielki program, który sprawił, że radio stało się radiem dynamicznym, tzn. programy radiowe prowadzone są na żywo. Rewolucja polega także na tym, że radio to funkcjonuje teraz w

wolnym, demokratycznym kraju i że słuchacz może wyrazić swoje opinie na każdy temat, jeżeli oczywiście nie narusza swoją opinią dóbr osobistych drugiego człowieka. Dziennikarz musi umieć to wyczuć i nie jest to sprawa cenzury, lecz świadomego wyboru.

Łukasz Downar: *Czy Radio Lublin dochodząc do pełnej doby nadawania miało wystarczającą ilość pomysłów? Czy też pomysły rodziły się spontanicznie, na bieżąco?*

Janusz Winiarski: Pomysły mieliśmy już wcześniej. Ja tylko powiedziałem do ludzi: „puśćmy wodze fantazji...” i oni podchwycili moje wezwanie.

Katarzyna Grzybowska: *A jakie szanse w pańskim Radio mają młodzi ludzie? Czy mogą liczyć na jakąś promocję?*

Janusz Winiarski: Muszę wam wyznać, że marzy mi się stworzenie zespołu młodych ludzi, twórców, tak aby powstał blok programów współredagowanych przez tych, do których są one adresowane. Młodzi, utalentowani ludzie mają naprawdę duże szanse. Muszą jednak wykazać się świetnym słuchem, brzmieniem głosu, melodyką słowa mówionego, dykcją... i oczywiście dużą wiedzą. Tutaj nie ma żadnych schematów, tego się nie da ustawić w jakimś porządku. Niekiedy osobowość jest znacznie ważniejsza niż umiejętność mówienia. Wielu ludzi przychodzi do radia z „pomysłem”, nie wiedząc zupełnie jak go zrealizować. Od pomysłu do realizacji jest bardzo długa droga. Czasem niezbędne są długie lata doświadczenia, słowem profesjonalizm.

Katarzyna Grzybowska: *Mówił Pan o funkcji kulturotwórczej radia. Lublin jest miejscem szczególnym, ponieważ to właśnie tutaj krzyżują się elementy różnych kultur: ukraińskiej, białoruskiej, żydowskiej. Naszemu regionowi przypisana została wyjątkowa rola: miejsce spotkania różnych kultur. Na ile radio wspiera te spotkania? Na ile się tym interesuje?*

Janusz Winiarski: Boleję nad tym, że tak mało miejsca poświęca się tym tematom. Oczywiście, że Radio Lublin jest tym zainteresowane. Zdaję sobie sprawę, jak istotne jest budowanie mostów między Europą Środkową a Zachodnią, a przede wszystkim z naszymi sąsiadami ze Wschodu.

Radio powinno czynić to przez wspańnięte słuchowiska radiowe, reportaże. Są to bowiem najwyższe formy sztuki radiowej, szalenie drogie. Dbamy o różnorodność form radiowych. Boleję nad tym, że tak mało miejsca poświęca się tym tematom. Oczywiście, że Radio Lublin jest tym zainteresowane. Zdaję sobie sprawę, jak istotne jest budowanie mostów między Europą Środkową a Zachodnią, a przede wszystkim z naszymi sąsiadami ze Wschodu.

Katarzyna Grzybowska: *Co Pan najbardziej ceni w swoim Radio?*

Janusz Winiarski: Wspaniałych ludzi, którzy je tworzą. Bez nich nie mógłbym zrealizować swoich marzeń.

Opracowała: **Katarzyna Grzybowska.**

Zabawa w radio

Z Anną Kaczkowską, dziennikarką Radia Lublin,
rozmawia Renata Lis

Renata Lis: *Jak się zaczęła pani przygoda z radiem?*

Anna Kaczkowska: Nigdy nie myślałam, że będę pracować w radiu. Bardziej interesował mnie teatr. Kiedy studiowałam, miałam do wyboru radio akademickie lub teatr studencki. Do radia nawet nie zajrzałam. Poszłam do teatru i spędziłam tam bardzo dużo czasu. Nawet przyczyniłam się do powstania teatru Prowisorium. Po prostu to mnie bardziej interesowało. Ale zarówno w radiu jak i w teatrze materiałem jest – słowo. Człowiek uczy się pewnej odpowiedzialności za nie. Pamiętam jak Ewa Benasz, aktorka wywodząca się z teatru krakowskiego, na jednym ze spotkań miała swój wykład o słowie. Mówiła, iż zapominamy, że słowo jest czynem. Wypowiedzenie słowa jest właściwie takim samym czynem, jak każdy inny uczynek. Stąd przenośnię poetów: sztytletował słowem czy ugodził słowem. Często słowo ma większą siłę rażenia niż jakiś uczynek. Może nawet zniszczyć człowieka. Jego psychikę.

Tymczasem jakoś rzadko myślimy o mówieniu kategoriami czynu.

Udziałałam się w kółku recytatorskim i tam zauważyły mnie starsze koleżanki, które współpracowały z radiem np. Majka Brzezińska. Potem, kiedy robiły audycje literackie, często zapraszały mnie do programu, gdzie czytałam prozę lub wiersze. Pamiętam, że była do wzięcia pozycja ukazująca się kilka razy w miesiącu o nowościach książkowych.

Trzeba było dotrzeć do autora, zdobyć trochę wiadomości i omówić książkę. Taki był mój początek. Potem przyszedł moment, gdy dużo osób odeszło z Radia na emeryturę i były wolne półetaty.

Wykorzystałam tę sytuację i odważyłam się na rozmowę z szefem. On zażykował i wziął mnie na staż. Po tym kilkumiesięcznym okresie próbnym przyjął mnie do redakcji rolnej, a ja byłam z wykształcenia polonistką. Janusz Winiarski – szef rolnej, obecnie mój redaktor naczelny, z wykształcenia inżynier rolnictwa, uznał, że pozbiera takie dziwne „towarzystwo” i coś zrobi. Przede wszystkim

przekształcił redakcję z rolnej na wiejską. W ten sposób poszerzył nam obszar działania i dał nam wolną rękę. Mielśmy robić ciekawe audycje o ludziach zamieszkujących wieś. Żeby nas zmoblizować, wyznaczał nam obowiązkowo współpracę z programami ogólnopolskimi; musieliśmy także brać udział w konkursach dziennikarskich. Często trzeba było robić rzeczy, na których nie do końca się znałam i które nie zawsze były interesujące. Myślę, że trafiłam do niezłej redakcji.

R.L.: *Dlaczego zrezygnowała Pani z teatru, a wybrała radio?*

A.K.: W tamtych czasach było trudno o pracę. Zresztą, tak jak teraz. Wydawało mi się, że praca w radiu należy do ciekawych. Ta praca stawia przed człowiekiem duże wymagania, różne zadania. Właściwie ciągle dzieje się coś nowego i bez przerwy ma się do czynienia z ludźmi. Czasami są to nie tylko programy, ale też ludzie, z którymi często się zaprzyjaźniam i którym pomagam.

R.L.: *Dlaczego właściwie wybrała Pani reportaż?*

A.K.: Interesował mnie ostateczny kształt przedstawienia teatralnego, jakby od strony reżyserskiej. I tutaj mam coś takiego do zrobienia. Ponieważ autor dokumentalnego nagrania jest poniekąd reżyserem całości, a może nawet więcej. Jest twórcą.

R.L.: *Co to jest reportaż radiowy i jak powstaje?*

A.K.: Reportaż jest to jakby odpowiednik filmu dokumentalnego czy jakiegoś spektaklu. Żeby był dobry, przede wszystkim musi być dobrze

przemyślany, nieść pewną dramaturgię i być bardzo skondensowany w treści. Powinien wynikać z niego jakiś rodzaj metafory i jakaś głębsza myśl. Trzeba słuchacza poruszyć, gdyż uczucia znacznie lepiej zapamiętujemy niż informacje. Czasem są ludzie, a nie ma tematu. Mnie fascynuje człowiek jako osobowość. Trzeba pomyśleć, jaki temat da się z nim poruszyć. Zastanawiam się, w jakim otoczeniu go przedstawić i w kontekście jakich spraw.

Czasem zdarzają się tak ciekawe osobowości, że nie wiadomo jaką formę wybrać i na tle jakiego problemu przedstawić? A czasem, przeciwnie, temat jest ważniejszy od człowieka. Ostateczna forma nie powinna być publicystyczna. Reportaż nie może być poświęcony tylko sprawie. Wtedy audycja przepada! Muszą w nim zaistnieć ludzie.

R.L.: *Ile trwa przygotowanie takiej jednej audycji?*

A.K.: Bardzo różnie, czasami dość szybko. Myślę, że trzeba sobie zostawić rezerwę trzech dni. To chyba najszybciej. Trzeba wtedy solidnie zakasać rękawy. Przy czym w radiu bardzo często planuje się równocześnie po pięć audycji. Np. z audycji, która ma być na wtorek, zadzwoni lekarka, że nie może przyjść, a w tej, którą mam wieczorem, raptem czegoś brakuje. Staram się to wszystko łączyć w miarę normalnie. Rodzina jest niezadowolona, ale to nic nowego. W mojej pracy zawsze coś jest kosztem czegoś. Mojego szefa nie interesuje, czy ten reportaż, który

ma pójść w niedzielę, jest robiony nocami czy o świcie.

On ma być zrobiony, ma być dobry. A to już mój prywatny problem, kiedy reportaż zrobię. Czasem są takie tygodnie, że jestem gościem w domu. Przychodzę wieczorem, nocuję i wychodzę rano.

R.L.: *Najtrudniej jest chyba określić, jaką formę ma przybrać reportaż, aby oddał atmosferę audycji i główny problem?*

A.K.: Czasami nawet po określeniu formy okazuje się w nagraniu, że całkiem inaczej powinna wyglądać. I znów wszystko od początku.

R.L.: *Jaki powinien być reportaż radiowy?*

A.K.: Przede wszystkim gorący temat. W pierwszej minucie audycji powinno być morderstwo, później wątek sensacyjny i napięcie powinno rosnąć. Powinien być bohater, który zwala z nóg. Wtedy jest reportaż! Układa się metafora jedna za drugą i wynika z tego myśl Shakespear. Kompozycja powinna być przejrzysta, z pointą. Po prostu chce się słuchać! Reportaż w tym stylu dostał nagrodę na prestiżowym konkursie dziennikarskim Prox Italia. Jest to jakby Oskar radiowy. Nagrodę tę otrzymał reportaż „Snajper” z Jugosławii. Prowadzony był tam wywiad ze snajperem znajdującym się na dachu. Czuł się jak Bóg, mógł zobaczyć idącą ulicą dziewczynę albo dawać jej życie. Wszystko zależało od niego. W tym tyglu została pokazana wojna. Można powiedzieć, że reportaż jest jedną z najtrudniejszych form wypowiedzi radiowej.

Nieliczne osoby tym się parają. Sam montaż trwa czasem 8-10 godzin.

R.L.: *Który reportaż bardziej „wrysuje” się w pamięć? Komiczny czy refleksyjny?*

A.K.: Mniej się pamięta, że coś nas rozbawiło niż to, przy czym popłynęły nam łzy. Chociaż dużo trudniej jest zrobić śmieszny reportaż. Trzeba mieć duże poczucie humoru i materiał musi być precyzyjnie zmontowany. Trzeba różnych zabiegów reżyserskich, żeby naświetlić śmieszne partie materiału, a następnie podeprzeć je muzyką, czy zdeżyć odpowiednie relacje. Jest dużo więcej pracy przy takim reportażu.

R.L.: *Czym właściwie się różni reportaż radiowy od reportażu pisanego?*

A.K.: W reportażu pisanym jest bardzo trudno przekazać emocje, klimat i atmosferę środowiska. Np. robiłam reportaż na konkurs ekologiczny. Bohaterem została przyroda i to ona istniała w audycji. Słuchać było las, łąki, wodę, ptaki. A tego na papierze nie da się zrobić.

Ale gazeta ma pewną przewagę, gdyż może podać więcej informacji, przekazać więcej szczegółów, konkretów. Natomiast podczas rozmowy w radiu człowiek czasem się zamyśli, zrobi przerwę i już tych informacji będzie mniej.

Prasowcy są bardziej kompetentni i skrupulatni. My jesteśmy zdani na rozmówcę. A na antenie są ważne idea, temat i emocje. Trzeba to przełożyć na język dźwięku.

Idę gdzieś i widzę jakąś sytuację, mogłabym to opisać i dla czytelnika byłoby jasne, że ci ludzie uśmiecha-

ją się do siebie, choć widać, że się nienawidzą. Muszę pokazać to słuchaczom w dźwięku, dodać jakąś muzykę albo odpowiednio to skomponować, żeby pokazać to, co jest między nimi, całą dramaturgię.

R.L.: *Jakie są zalety i wady dziennikarza radiowego?*

A.K.: Wadą jest to, że się ciągle śpieszymy i zawsze wszystko jest na wczoraj. Jeśli ktoś jest pedantem, będzie mu bardzo trudno. Trzeba starać się robić wszystko jak najwcześniej, nie zostawiać na ostatnią chwilę. Wszystko musi być przemyślane. A zalety to to, że uczy relaksu, dyscypliny myślowej, odpowiedzialności za słowo.

R.L.: *Czy ma pani jakiś radiowy autorytet?*

A.K.: Chyba nie. Jestem nieuciążliwym kolegą, można powiedzieć, nieszkodliwym człowiekiem. Natomiast nie wiem, czy w radio można mówić o jakimś porażającym autorytecie. Nie ma człowieka tak wszechstronnego, który by wszystko umiał i był fenomenem. Można najwyżej mówić o pewnego rodzaju autorytecie moralnym. Osobowościach, które były klarownie ukształtowane moralnie. Kiedy ktoś taki wydał ocenę, z góry przyjmowało się, że jest to ocena do szpiku kości uczciwa. Tacy ludzie nie kierowali się żadną koniunkturą. Ich oceny były uczciwe i obiektywne.

R.L.: *Jakie trzeba posiadać predyspozycje, żeby zostać dziennikarzem radiowym?*

A.K.: Ciekawość, inteligencję. Choć szczególnie wyrafinowany typ inteligencji może peszyć rozmówcę. Tacy

ludzie nie zawsze są akceptowani przez słuchaczy. Mówi się, iż reporter powinien nagrywać „chłodnym okiem”, ale z drugiej strony, reportaż staje się powierzchowny, jeśli nie akceptuje się rozmówcy i nie nawiązuje się z nim bliższego kontaktu.

Potrzebna jest odpowiedzialność. Mówi się, że jeżeli reportera radiowego potrąci samochód, wówczas zanim straci przytomność, powinien o wypadku zawiadomić firmę. Gdyż nie może zdarzyć się sytuacja, że zaczyna się program, a nie ma dziennikarza.

Nie będzie radiowcem ktoś, kto umawia się, że zrobi nagranie na jutro, a potem podczas audycji okazuje się, że tego nagrania nie ma.

R.L.: *Na koniec rady dla przyszłych dziennikarzy.*

A.K.: Przede wszystkim próbować bawić się w to radio. Człowiek musi orientować się we wszystkich dziedzinach. Czytać dużo gazet, książek i dużo obserwować. Próbować zorientować się co do siebie, co jest moją mocną stroną i w czym jestem dobry? Rozwijać swoje zainteresowania. Dobrze jest mieć jakąś dziedzinę, w której jest się dobrym. Trzeba zwrócić uwagę, że jest to mówiony środek przekazu, więc bardzo pomaga umiejętność poprawnego mówienia, co nabywa się przez czytanie i zajęcia krasomówcze. Trzeba panować nad głosem. Bo kiedy jesteśmy spięci, nasza krtań się zaciska i mówimy wyżej niż zwykle. A głos staje się stłumiony. Musicie być wszechstronni!

O informacjach kilka informacji

Informacja jest w radiu tak samo ważna jak muzyka. Badania prowadzone wśród słuchaczy wskazują, że w wyborze radiostacji najważniejsze są dla nich kolejno: rodzaj muzyki i informacja właśnie (potem długo nic). Dlaczego? Człowiek taki jest, że chce wiedzieć – do tego chce wiedzieć jak najszybciej i przynajmniej tak samo dobrze, jak wiedzą inni. Często zresztą ta wiedza wcale nie jest mu tak szybko potrzebna, ale to inna sprawa.

Co to jest informacja (radiowa)? Kto lubi słuchać radia bez trudu przypomni sobie kilka godzin programu. Jakie są jego komponenty: piosenki, reklamy, dżingle, dzienniki, felietony, zapowiedzi, korespondencje, komentarze, rozmowy z gośćmi i słuchaczami itd. Co jest informacją, a co nią nie jest? Przynajmniej połowa tych elementów jest. Przecież reklama informuje, gdzie można kupić najtańszy cement i że jest to cement najlepszy. Felietonista informuje, że rząd źle zrobił przyjmując nowe stawki podatkowe. Wierzyć im czy nie wierzyć?

Człowiek chce informacji pewnej. Chce mieć zaufanie do tego, co słyszy; chce więc mieć zaufanie do dziennikarza i redaktora. Dlatego w programie serwisy informacyjne są wyraźnie wyodrębnione – co godzinę pięć minut dziennika, oznakowanego własnymi sygnałami. Co więcej – słuchacz chce mieć pewność, że informacja nie została zniekształcona przez niechętnego, nieżyczliwego, niedouczonego (itp.) redaktora (dobrze to znamy z PRL-u i nie tylko). Stąd na redakcjach ciąży jeszcze jeden obowiązek (bardzo dobrze zresztą znany dziennikarzom) – **oddzielenie INFORMACJI od KOMENTARZA**.

W gazetach wydziela się specjalne kolumny z nagłówkiem sugerującym lub wprost informującym o komentarzu. Dziennik radiowy jest oddzielony od komentarzy. W samym serwisie unika się przymiotników wartościujących. Jeśli sprawa dotyczy kilku stron, podaje się **opinie wszystkich zainteresowanych**. Tak dba się o rzetelność, którą słuchacz – co pewne – zauważy i doceni. Szczególnie w stacjach komercyjnych i początkujących pojawia się chęć zaskoczenia słuchacza, przebicia konkurencji, przyciągnięcia do swojego programu. Grozi to pojawieniem się w seriach informacji nie sprawdzonych, ale za to zaskakujących.

Szczególnie reklama jest wyodrębniona. Przed reklamą i po niej pojawia się w programie specjalny sygnał, w telewizji znika na ten czas z ekranu znaczek firmowy stacji telewizyjnej. Słuchacz ma prawo wiedzieć i gwarantuję mu to przypisy, że te właśnie informacje podaje „sprzedawca” na swoją odpowiedzialność.

Nie lada więc trudne stoi przed dziennikarzem zadaniem. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Jak dać sobie radę, żeby sprostać takim warunkom? Nie wystarczy przecież tylko napisać o tym, co się zobaczyło lub usłyszało. Na pewno najważniejszym warunkiem jest chęć i wewnętrzna **potrzeba przekazywania prawdy**. Jeśli dziennikarz sam szuka prawdy i odczuwa jej potrzebę, a nie tylko traktuje pracę jako rzemiosło lub możliwość zabłyśnięcia, to jest to gwarancją sukcesu. Jeśli jest dobry i tak zabłyśnie.

Pracujący dla serwisów radiowych dziennikarze w większości pracują na dwa sposoby: bądź zdobywają informacje przez telefon, bądź jako reporterzy wyruszają w teren. W obu przypadkach potrzebny jest NOS i nie mniej **UMIEJĘTNOŚĆ WYCIĄGANIA WNIOSKÓW**. Pracujący przez telefon ma do dyspozycji książkę telefoniczną, pewną listę stałych „informatorów” (urzędy, policja, straż, organizacje, itp.) i własne szare komórki. Pracujący jako reporter z magnetofonem musi wiedzieć dokąd jechać i co będzie nagrywać, żeby się nie miotać. Zawsze też trzeba się starać **zdobyć jak najwięcej informacji**. Bo potem, kiedy się siada do redagowania tekstu albo montowania dźwięku, okazuje się, że brak nam istotnego szczegółu, którego już nijak nie da się uzupełnić. Lepiej mieć za dużo i martwić się co wyrzucić, niż bezradnie rozłożyć ręce nad białą plamą.

Żeby jakąś informację potwierdzić, trzeba często po prostu się domyślić o co i jak pytać – na przykład burmistrza, który zawsze odpowiada, że się dzisiaj akurat nic ciekawego nie dzieje. Wymaga to trochę inteligencji i trochę doświadczenia. Nie ma więc co tu pisać, jak się to robi. Czasem trzeba szybko kojarzyć fakty albo przynajmniej uważnie słuchać rozmówcy. Podczas Warsztatów Dziennikarskich w Pliszczynie zainscenizowaliśmy konferencję prasową, na której wyimaginowany przewodniczący komitetu strajkowego w MPK narzekał na dyrektora i brak myjni dla samochodów. W potoku słów wyrzucił informację, że nazajutrz zacznie się akcja protestacyjna. Przyszli dziennikarze nie od razu zorientowali się, że trzeba pytać na czym akcja będzie polegała.

Można by wymienić trzy podstawowe źródła informacji dla dziennikarza:

- 1) zapisy i dokumenty,
- 2) wywiady,
- 3) własne obserwacje.

Do pierwszych należą akta sądowe, policyjne, testamenty, dyplomy, sprawozdania, ale także artykuły w gazecie itp. Wywiady to właściwie każda rozmowa z kimś, od kogo chcemy się dowiedzieć. Jak szpieg – wywiadowca, dziennikarz prowadzi wywiad na przykład z dyrektorem firmy, chcąc się jak najwięcej dowiedzieć. I tu uwaga! – rozmówca musi mieć pewność, że ma do czynienia z dziennikarzem. Dziennikarze radiowi – np. w „Radio Lublin” – zawsze się na początku w rozmowie

telefonicznej przedstawiają się, zaś gdy chcą nagrać tę rozmowę i potem wyemitować, pytają (mają taki obowiązek prawny) rozmówcę o zgodę. Odsyłam tu do Prawa Prasowego. Obserwacje własne to oczy szeroko otwarte, umiejętność wyciągania wniosków i wspomniany już „nos”.

Informacja musi być **SPRAWDZONA**. Nie należy poprzestać na informacji od np. dyrektora MPO, że załoga będzie strajkować nazajutrz. Trzeba sprawdzić u przedstawicieli załogi – najpewniej w związkach zawodowych. Można oczywiście podać (żeby szybciej): *„jak powiedział dyrektor MPK, załoga planuje na jutro strajk”*. Zaraz jednak trzeba tę informację sprawdzić.

Wiadomość musi też być **PEŁNA**. Powinna udzielać odpowiedzi na pytania: **KTO, CO ZROBIŁ, KIEDY, GDZIE, JAK, CO Z TEGO WYNIKA**. Wystarczy przysłuchać się najbliższemu wydaniu dziennika radiowego (czy telewizyjnego), żeby zauważyć, że dobre informacje właśnie o tym mówią. Czasem na przykład agencje nie podają któregoś z tych szczegółów. Wtedy należy powiedzieć słuchaczom – np.: *„... Dotychczas nie udało się uzyskać potwierdzenia zapowiedzi strajku u przedstawicieli żadnego ze związków zawodowych.”* Słuchacze powinni wiedzieć, że to nie przez nasze lekceważenie informacja jest niepełna.

Trzeba też dbać o **RZETELNOŚĆ** informacji. Napisane przez uczestników wspomnianej warsztatowej konferencji prasowej informacje o strajkujących podają napisy z transparentów. I różnią się – nie tylko pomiędzy sobą, ale też i w stosunku do tego, o czym mówiliśmy w czasie ćwiczenia. Można powiedzieć, że to nic takiego. Ale kiedy porównać informację z wiadomościami innych rozgłośni, okazuje się, że tylko my podaliśmy coś nieprawdziwego.

W serwisach radiowych przyjmuje się budowę każdej informacji na zasadzie **odwróconej piramidy**. Pierwsze zdanie jest najważniejsze i udziela podstawowej informacji o wydarzeniu. Każde następne jest uzupełnieniem – im dalej, tym mniej istotnym. Można więc odcinać od końca (jeśli informacja za długa) nie ujmując jej „pełni”. Kto, co zrobił, kiedy, gdzie, co z tego – te informacje powinny znaleźć się na samym początku – w pierwszym zdaniu, przynajmniej w ogólnym zarysie.

W amerykańskim podręczniku dziennikarstwa James Glenn Stovall podaje następującą zasadę budowy informacji radiowej: **KULMINACJA, PRZYCZYNA, SKUTEK**. Dla zobrazowania spróbujmy przedstawić informację o MPO:

KULMINACJA (co się stało):

Żałoga lubelskiego MPO zapowiada od jutra strajk, polegający na dwukrotnie rzadszym wywożeniu śmieci z miasta.

PRZYCZYNA (dlaczego):

Decyzje taką podjęli przedstawiciele związku zawodowego, działającego w lubelskim MPO, po dzisiejszej sesji Rady Miejskiej. Kilkudziesięcioosobowa delegacja pracowników MPO przybyła z transparentami na posiedzenie rady, domagając się ostatecznego rozstrzygnięcia sporu z dyrektorem, któremu zarzuca się, że za przeznaczone na myjnię dla samochodów pieniądze, urządził sobie sekretariat. (...)

SKUTEK (co dalej):

Rada Miasta powołała komisję nadzwyczajną, która w ciągu miesiąca ma zbadać sprawę MPO. Pracownicy MPO przypomnieli jednak, że sprawa w Radzie ciągnie się od trzech miesięcy i zapowiedzieli odjutra strajk.

W przeciwieństwie do artykułów prasowych, w informacji radiowej niepożądana jest kwiecistość języka, zbytnie rozbudowywanie zdań, nadmierna opisowość. Tekst informacji musi być tak napisany, żeby lektor czytający dziennik mógł go bez trudu zinterpretować i przekazać zrozumiale treść słuchaczom. Można to krótko nazwać **ZWIEŻŁOŚĆ**, choć to jeszcze wszystkiego nie mówi.

Czasem, zwłaszcza początkujący dziennikarze, mają kłopot z nadmierną długością informacji. Chcieliby zawrzeć w niej jak najwięcej, bo wszystko, czego się sami dowiedzieli, wydaje im się istotne. Tymczasem w dzienniku musi znaleźć się sporo informacji i dlatego muszą być dość **KRÓTKIE**. Tego trzeba się nauczyć – wyławiać to, co istotne, resztę pomijając. Ale też nie odrzucić wyjaśnienia ludziom np. tła wydarzeń.

Niekiedy informacje rozpoczyna się od **CYTATU**. Na przykład: *Zbyt długo czekamy na nową myśnię. Odjutra zaczynamy strajk. Tymi słowami przewodniczący delegacji pracowników lubelskiego MPO podsumował dzisiejszą decyzję Rady Miasta o odsunięciu na kolejny miesiąc zbadania sprawy...* Robi się tak wtedy, gdy cytat jest ciekawy, stanowi meritum informacji i przyciąga uwagę. Nieraz też powołuje się w informacji na agencję, którą ją podała. Zwłaszcza, kiedy mowa o czymś niepewnym, wydającym się niewiarygodnym itp. Dla radiostacji to ważne, żeby nie posądzono jej o podawanie informacji nierzetelnych. Powołanie się na znaną agencję przenosi odpowiedzialność na nią, a poza tym uwiarygadnia ją (przynajmniej w przypadku „sprawdzonych” agencji). Nie zawsze dotyczy to agencji. Powołanie się np. na dyrektora firmy, jako źródło informacji ma podobne walory. Agencje zresztą też starają się nie publikować wiadomości, nie sprawdzwszy ich w dwóch niezależnych od siebie źródłach. Tak postępuje np. radio BBC.

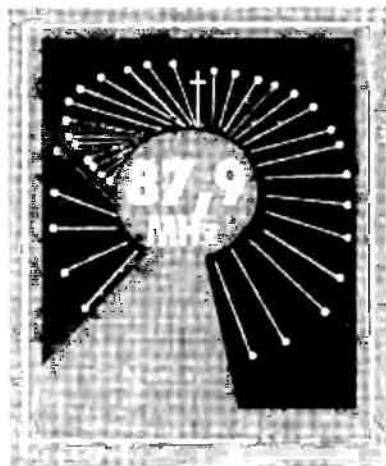
Wszystkie te uwagi o informacji nie wyczerpują oczywiście tematu. Są tylko częściową pomocą dla kogoś, kto chce popробować redagowania informacji, albo krytycznie słuchać np. dzienników radiowych. Tym pierwszym nic nie zastąpi samodzielnych prób, które najlepiej uczą. Zwłaszcza, kiedy pojawiają się wątpliwości: co dać na początek, co w ogóle wyrzucić i co zrobić, żeby było krócej, jaśniej, prościej.

Na koniec mogę jeszcze tylko polecić (choć podręczniki nie gwarantują zostania dobrym dziennikarzem) lekturę książki pt. „Poradnik dla dziennikarzy z Europy Środkowej i Wschodniej” pod redakcją Malcolma F. Malette, przygotowanej przez Amerykanów przy współpracy Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, wydanej przez wydawnictwo KRAĞ w 1990 roku.



Piotr B. Nowak

Katolickie Radio Lublin w pierwszą rocznicę działalności



Katolickie Radio Lublin, obchodzące pierwszą rocznicę swej działalności, jest jedną z agend Kurii Metropolitalnej Lubelskiej. Archidiecezja Lubelska uzyskała zgodę na jej uruchomienie już w 1991 r., wtedy też rozpoczęły się prace nad przygotowaniem odpowiednich pomieszczeń dla rozgłośni, którą usytuowano w budynku szkoły katechetycznej przy parafii św. Rodziny w lubelskiej dzielnicy Czuby. Pod patronatem Ks. Abp. Bolesława Pylaka i przy współpracy miejscowego proboszcza ks. Ryszarda Juraka, pierwszy dyrektor ks. dr Stanisław Sieczka przystosował siedzibę do potrzeb studyjnych i redakcyjnych. Długie oczekiwanie na uruchomienie radia łączyło się z brakiem na

ten cel odpowiednich funduszy. Po pokonaniu tych trudności, pod kierunkiem nowego dyrektora ks. prof. Tadeusza Zastępy nastąpiło poświęcenie radiostacji i rozpoczęcie emisji, co miało miejsce w uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego 3 kwietnia 1994. Program rozpoczęto uroczystym błogosławieństwem papieskim *Urbi et Orbi* transmitowanym bezpośrednio z Watykanu.

Radio nadaje w wysokim tzw. zachodnim paśmie UKF na falach częstotliwości 87,9 MHz i jak do tej pory słyszane jest na terenie miasta Lublina i w promieniu kilkudziesięciu kilometrów wokół niego. Najpóźniej do połowy maja 1995 planowane jest, dzięki instalacji nowego nadajnika w Bożym Darze, zwiększenie zasięgu do ponad 100 km, tak, aby objąć cały teren Archidiecezji Lubelskiej oraz części diecezji sąsiadujących. Codzienne audycje nadawane są w dni powszednie od 6.00 do 22.00, w soboty zaś i niedziele do 24.00.

Zespół redakcyjny, kierowany przez ks. Piotra Rożka, któremu pomocą służą ks. Jarosław Woźniak i ks. Jarosław Jęczeń, stanowią w większości ludzie młodzi, studenci lub absolwenci Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Rozgłośnie realizując hasło „Aby życie mieli...” stara się być źródłem informacji i środkiem formacji wierzącej części społeczeństwa polskiego, zwłaszcza w ramach tzw. Nowej Ewangelizacji. Stąd pragnie oddziaływać na wszystkie sfery życia ludzkiego: religijną, intelektualno-naukową, moralno-obyczajową i artystyczno-estetyczną. Z tego profilu radia wynika podział na poszczególne redakcje.

Redakcja teologiczna przygotowuje programy z zakresu szeroko rozumianej formacji religijnej, która obejmuje takie dziedziny jak: problemy wiary, życie Kościoła i jego relacje z innymi społecznościami, dzieje chrześcijaństwa i niektórych instytucji, zagadnienie moralne. W zakres pracy tej redakcji wchodzi też przygotowywanie programów o charakterze modlitewnym: modlitwy porannej, przedpołudniowej modlitwy z chorymi, Aniōła Pańskiego, Apelu Jasnogórskiego i modlitwy wieczornej. W ciągu dnia nadawana jest kilkakrotnie Ewangelia, a wieczorem o godzinie 18.00 transmitowana Msza Święta z kościoła św. Rodziny. W niedziele i święta Msza jest o godz. 10.00, zaś o 12.00 transmitowany bezpośrednio z Watykanu Aniōł Pański z Papieżem.

Zadaniem redakcji informacyjnej jest redagowanie serwisów oraz przygotowywanie relacji dźwiękowych z uroczystości i ważniejszych wydarzeń odbywających się na terenie miasta i archidiecezji. Bardzo ważnym elementem pracy tej redakcji są codzienne i tygodniowe przeglądy prasy i to zarówno katolickiej, jak i innych tytułów, nie wyłączając pism niechętnych Kościołowi.

Uzupełnieniem własnych dzienników są serwisy Radia Watykańskiego, transmitowane dzięki urządzeniom satelitarnym ufundowanym przez Ks. Bp. Ryszarda Karpińskiego.

Bardzo ważną rolę spełnia redakcja społeczna, podejmująca zagadnienia z życia społeczno-politycznego o charakterze ogólnokrajowym i lokalnym, naświetlając je w kontekście Katolickiej Nauki Społecznej. Podobnie prężnie działa redakcja ekologiczna współpracująca ściśle z Lubelską Fundacją Ochrony Środowiska Naturalnego i Regionalnym Centrum Edukacji Ekologicznej w prezentowaniu problemów ekologicznych i promowaniu zdrowego trybu życia.

Zagadnieniami kulturalnymi zajmuje się redakcja literacka. Szczególnie ciekawe programy przygotowuje redakcja dziecięca. Działa również redakcja gospodarczo-ekonomiczna. Oprawą muzyczną całości zajmują się prezenterzy oraz redakcja muzyczna. Muzyka prezentowana na antenie KRL obejmuje większość gatunków i stylów – od klasycznej przez religijną i ludową po rock and roll, oczywiście z wykluczeniem wykonawców i utworów, których życie i prezentowane treści są w ewidentny sposób nie do pogodzenia z zasadami moralności katolickiej.

Specjalna część programów, pod nazwą Radio Młodych, przygotowana przez członków Katolickiego Towarzystwa Młodzieży z ich archidiecezjalnym modera-

torem ks. Mieczysławem Pusewiczem, stawia sobie za zadanie dotarcie do uczniów szkół świeckich i studentów lubelskich uczelni.

Szczególnie interesującymi programami, oprócz wymienionych, są poranne magazyny społeczno-rodzinne, popołudniowe otwarte studia, do których poszczególne redakcje zapraszają zawsze licznych gości spoza radia, wieczorne programy teologiczne oraz codzienne felietony.

Ponad roczne doświadczenia wskazują, że mimo docierania na teren Lubelszczyzny Radia Maryja, istniała paląca potrzeba powołania do istnienia także lokalnej rozgłośni katolickiej, której działalność choć w części pozwala przeciwstawiać się postępującej fali laicyzacji społeczeństwa. Mimo dużej konkurencji nowych stacji KRL zdobywa sobie powoli coraz liczniejszą grupę wiernych słuchaczy, która w najbliższym czasie, dzięki zwiększeniu zasięgu, ma szansę na dalszy znaczący wzrost.



Marcin Rozwałka

Telewizja regionalna

Wykład Jacka Dąbały z Telewizji Lublin 3 na temat telewizji lokalnej uważam za swego rodzaju „perełkę” Międzyszkolnych Warsztatów Dziennikarskich. Na wstępie prelekcji naświetlony został problem telewizji lokalnej jako instytucji działającej nieco w cieniu takich kolosów, jak 1 i 2 program TVP. Jacek Dąbała zdefiniował pojęcie lokalności. Telewizyjne ośrodki lokalne to 11 stacji nadających programy na terenie ośrodków. Bardzo spodobała mi się wypowiedź Jacka Dąbały, który zdawał sobie sprawę, co może interesować młodego człowieka w telewizji i po słowach „...mówić ogólnikowo, to znaczy tyle, co nie mówić wcale” przeszedł do spraw dotyczących realizacji programu. Za jeden z zasadniczych obowiązków programu uznał to, że nie może on nudzić potencjalnego widza. Następnie prelegent przeszedł do spraw dotyczących bolączek wydawców tv, objawiających się trudnościami w znalezieniu odpowiednich kandydatów na prezentera lub prezenterkę. I tu warto zwrócić uwagę na sposób prowadzenia wykładu „okraszonego” wieloma przykładami wziętymi z życia telewizji. Przykładem mogą być opowieści związane z poszukiwaniem spikerów, kiedy to kandydaci, wyglądający bardzo dobrze, posiadający dar wymowy, w obliczu kamery i reflektorów stają się bezradni i przerażeni. Tu właśnie leży podstawowy problem pracy na wizji – doświadczenie i opanowanie. Jednak nawet posiadając takie zalety, prezenter nie jest wolny od problemów. Wykładowca powiedział, iż należy sobie uświadomić rolę spikera – intruza w mieszkaniu widza. Czasem nieodpowiedni tembr głosu może powodować u oglądającego wściekłość i nienawiść do postaci mówiącej z ekranu, stąd też pewne ryzyko i niebezpieczeństwo w zawodzie prezentera. Natomiast z drugiej strony przytoczony został przykład Jana Suzina, człowieka wysyłającego przyjazne fluidy.

Za ważne przed kamerą mówca uznał naturalność i osobowość prezentera. Przy czym agresywność, rozpychanie się łokciami nie decydują o tym, czy możemy pracować w telewizji. To od nas zależy, co mamy do zaoferowania widzowi i czy będzie to ubogość intelektualna czy wciąganie widza w sprawy poruszane przed kamerą.



Wreszcie prelegent, być może nieco już wyczerpany ciągłym mówieniem, zapytał, co słuchacze sądzą o telewizji regionalnej i potrzebie jej działania. W tym miejscu spotkania posypały się jak pioruny zarzuty w kierunku naszej lubelskiej telewizji jako instytucji, której brakuje jeszcze umiejętności w realizacji ciekawych pozycji. Telewizja nadaje zbyt wiele taniej muzyki (disco polo), przez co staje się zaściankowa i uboga.

Pan Dąbała próbował odpierać oskarżenia, tłumacząc się okresem ciągłego rozwoju ośrodka i brakiem funduszy. Przy czym niejednokrotnie powtarzał, iż zdaje sobie sprawę z pewnych niedociągnięć w działalności telewizji regionalnej, ale widzi w niej przede wszystkim szansę dla przyszłych pokoleń, które będą mogły mówić z ekranu do ludzi rozumiejących potrzebę takiego kontaktu, poruszając najbardziej żywotne problemy regionalnych społeczności.

Telewizja lokalna jest szansą dla naszego regionu. Dzięki niej możliwe jest szybkie przekazywanie wiadomości i informacji najważniejszych dla małej społeczności. Niesie ze sobą szansę scalania i łączenia określonych regionów, dlatego też telewizja lokalna powinna istnieć.

Po spotkaniu z Jackiem Dąbałą nabrałem przekonania, że telewizja regionalna to nie wymysł, ale potrzeba naszej lokalnej społeczności.

□

„Niech pan patrzy na przeciętną polską rodzinę, gdzie telewizor jest włączony cały czas (...).

To zresztą jest zasadnicze pytanie o rolę telewizji w rozwoju cywilizacji. Obawiam się, że może być ona całkowicie destruktywna, że człowiek stworzył wirus, który go zabije.”

Jacek Snopkiewicz, dyrektor Ośrodka Szkolenia i Analiz Programowych TVP S.A.

Być dziennikarzem. Ale – po co?

Na zorganizowanych przez Teatr NN i redakcję „Scriptores Scholarum” w Pliszczynie k/Lublina Warsztatach Dziennikarskich, podczas spotkania poświęconego prawu prasowemu, najbardziej dociekliwie młodzi dziennikarze pytali o granice ingerencji w prywatne życie osób uważanych za publiczne. Pytano więc: czy można np. politykowi zrobić zdjęcie „zza krzaka” podczas przechadzki z psem czy robienia zakupów? (w domyśle na pewno nieprzychylne). Czy można zrobić i opublikować zdjęcie dziennikarza na konferencji prasowej? (w domyśle również nieprzychylne czy ośmieszające); czy członkowie rodziny polityka to też osoby publiczne? (w domyśle – czy można je więc fotografować a zdjęcia publikować).

Te pytania, choć może zrozumiałe na początku kariery dziennikarskiej, jednak mnie niepokoją. Wiadomo, każdemu, a przynajmniej wielu adeptom sztuki dziennikarskiej, marzy się dziennikarstwo agresywne, atakujące – słowem marzy im się kariera tzw. w gwarze dziennikarskiej – „pistoletów”. Prawdą jest, że czytelnicy chcą sensacji i chętniej kupują gazety, które je podają. Gazety takie mają więc wysokie nakłady. Zatem dla redaktora naczelnego sensacja to wiadomość rentowna i chętnie będzie ją umieszczał. Ot, choćby przykład lubelski – wytłuszczony, na pierwszej stronie tytuł: „Pies zagryzł człowieka”. Jakiż to chwytliwy tytuł. Nieważne, że nie zagryzł, a ukąsił, a człowiek zmarł tak naprawdę na zawał. Gazeta się sprzedaje i to jest najważniejsze – odpowiedziałby zapewne redaktor naczelny.

Inny przykład, z ostatnich dni – całą niemal prasę obiegło zdjęcie wykonane na posesji domu, gdzie wybuchła bomba zabijając dwoje ludzi. Co wszyscy mogli obejrzeć? Leżącego trupa i jego goły tyłek! Co będzie na następnym zdjęciu? Może jeszcze większe zbliżenie? Wiadomo bowiem, że wrażliwość się stępieja wraz z liczbą czytanych czy oglądanych „makabresek”. Trzeba więc zadać sobie pytanie – jak daleko można się posunąć? Już teraz radzę to rozważyć adeptom sztuki dziennikarskiej. W odpowiedzi na to pytanie powinno pomóc Prawo Prasowe. W rozdziale poświęconym prawom i obowiązkom dziennikarzy, artykuł 10 mówi:

Zadaniem dziennikarza jest służba społeczeństwu i państwu. Dziennikarz ma obowiązki działania zgodnie z etyką zawodową i zasadami współżycia społecznego, w granicach określonych przepisami prawa". A więc dziennikarz, w tym co pisze i co fotografuje, ma służyć społeczeństwu! I zawsze musi o tym pamiętać rozważając, czy dane zdjęcie, czy dany temat zrobić czy też, po prostu – z ludzkich względów – sobie darować.

Informowanie – jedno z naczelných zadań dziennikarza, podstawowe, ma niewiele wspólnego z rzucaniem krwistego żeru ku ucieście publiczności. Granice ingerencji dziennikarskiej nagle zostały otwarte na oścież. I zawisamy nad uchem umierającego człowieka, by opisać to jutro w gazecie, walimy w drzwi rodziny, która prawie przed momentem przeżyła jakąś tragedię. Po prostu sepy.

Na polskim rynku mediów panuje obecnie, (na szczęście nie wszędzie, ale jest najbardziej widoczny) dziki kapitalizm. Etyka zawodowa? Gdy można zrobić świetny reportaż? I mamy – **stary człowiek popełnił samobójstwo, bo zawiódł go dziennikarz, bo nadużył jego zaufanie!** O tym pisała cała prasa. A ile jest tragedii cichych, nie tak spektakularnych. Bo dziennikarz obśmiał, wykił, pokazał w jedno-barwnym świetle (by może lepiej materiał sprzedać), bo nie uszanował uczuć, prywatności itp.

Niestety trudno nazwać obecny kodeks obyczajowy dziennikarzy polskich dokumentem zwartym i konkretnym. Obecnie trwają w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich poważne prace nad nowym kodeksem. Ale doświadczenia innych mogą stanowić dziś istotną wskazówkę – co wolno – a czego już nie powinno się robić.

Niemiecki kodeks prasowy (wyjątki):

„Zbieranie materiałów jest prawnie uznanym środkiem działalności dziennikarskiej. Należy przy tym przestrzegać granic wyznaczonych konstytucją, ustawami i zasadą poszanowania godności człowieka. Podanie przez gromadzącego materiały dziennikarza nieprawdziwych danych dotyczących jego tożsamości oraz organu, jaki reprezentuje, są z zasady sprzeczne z prestiżem i funkcją pracy. Środek w postaci niejawnego zbierania materiałów może być w jednostkowych wypadkach uzasadniony, gdy służy do zdobycia informacji stanowiących przedmiot szczególnego zainteresowania opinii publicznej, które w inny sposób nie są dostępne. W razie wystąpienia nieszczęśliwych wypadków lub katastrof prasa przestrzega zasady, iż środki podjęte celem ratowania ofiar i osób zagrożonych mają pierwszeństwo przed przysługującym opinii publicznej prawem do informacji. Zainteresowanie opinii publicznej informacją nie stanowi także dla dziennikarza żadnego usprawiedliwienia w razie popełnienia przez niego czynów karalnych, popełnionych w związku ze zdobywaniem informacji”

„Granice relacjonowania o wypadkach i katastrofach znajdują się tam, gdzie nie respektuje się cierpienia ofiar i uczuć członków ich rodzin. W wyniku relacji w środkach przekazu osoby dotknięte nieszczęściem nie mogą stać się ofiarami po raz drugi.”

„Publikowanie pamiętników przestępców może spowodować, że domniemy lub skazany przestępca zdobędzie popularność wykraczającą miarę niezbędnych informacji dla opinii publicznej. Szczegółowe opisywanie czynów przestępczych wyłącznie z perspektywy sprawców, którzy, być może znajdują się jeszcze w areszcie lub odbywają karę pozbawienia wolności, jest nie do pogodzenia z dziennikarską odpowiedzialnością. Wywiady ze sprawcami w czasie popełniania przestępstw są niedopuszczalne.”

„Należy zrezygnować z niestosownego, sensacyjnego przedstawiania przemocy i brutalności. W relacjach prasowych należy uwzględnić potrzebę ochrony młodzieży.”

„Prasa szanuje życie prywatne i sferę intymną człowieka. Jeżeli jednak prywatne postępowanie jakiegoś człowieka wiąże się z interesami ogółu, można je także poruszyć w środkach masowego przekazu. Przy tym należy sprawdzić czy skutek publikacji nie zostaną naruszone prawa osób nie mających ze sprawą nic wspólnego.”

Takie są generalnia. Nie da się ująć w ramy prawne i zapisać wszystkich sytuacji, w jakich znajdzie się dziennikarz. Zawsze problem musi rozstrzygnąć we własnym sumieniu. Np. nawet gdy prokurator czy sędzia – tak czytamy w komentarzu do prawa prasowego – wyda zgodę na publikację danych osobowych czy zdjęcia osoby przeciwko której toczy się postępowanie, nie znaczy to wcale, że muszą zostać opublikowane. Taka decyzja nie zwalnia bowiem dziennikarza od oceny, czy publikacja takowa jest celowa i społecznie uzasadniona.

Trzeba pamiętać, że dziennikarz podpisuje się pod materiałem swoim nazwiskiem i w ten sposób bierze całą odpowiedzialność za skutki swojej publikacji (nie tylko prawne) na siebie, tylko na siebie.



O prawie prasowym – relacja ze spotkania z Violetą Krasnowską

Najważniejszym dokumentem dla dziennikarza, którym powinien się zawsze kierować, jest Prawo Prasowe ogłoszone w Dzienniku Ustaw 26.I.1984 r. jako numer 5, pozycja 24. Trwają właśnie prace nad nowym Prawem Prasowym, ale na razie obowiązuje nadal prawo z 1984 roku. Jego nieznajomość może spowodować mnóstwo szkód z przegranym procesem włącznie i zamknięciem drogi do kariery dziennikarskiej. Prawo Prasowe mówi m.in. o prawach i obowiązkach dziennikarza. Wbrew pozorom, praw wcale nie jest tak dużo, jakby dziennikarze chcieli. Podstawowym prawem jest prawo do uzyskania informacji. Oficjalnie informacje mamy prawo uzyskać od każdego zakładu, urzędu państwowego, związku zawodowego czy organizacji samorządowej. Popularna dzisiaj funkcja rzecznika prasowego ogranicza dziennikarzom dostęp do informacji bezpośredniej, ponieważ po uzyskaniu informacji od rzecznika, nie mamy prawa domagać się jej potwierdzenia przez kogokolwiek. Osobą, która ma obowiązek udzielenia informacji w przypadku, gdy nie ma rzecznika, jest kierownik danego zakładu lub organizacji. Natomiast pracownik może odmówić nam udzielania informacji. Nie możemy na niego naciskać, żądać ani prosić. Tylko wymiar sprawiedliwości nie musi tłumaczyć się z odmowy udzielania informacji.

Prasa gorąco interesuje się sprawami sądowymi tzw. „kryminałkami”. Bywa i tak, że dziennikarze w ten sposób rozpoczynają swoją karierę. Ta sfera dziennikarstwa jest również regulowana przez prawo prasowe. Aby uzyskać dostęp do akt sprawy, niezbędna jest zgoda Prezesa Sądu lub Szefa Prokuratury i legitymacja prasowa. Nie możemy dostać akt tzw. postępowania przygotowawczego, dochodzenia, śledztwa w ich trakcie. Nic jednak stoi na przeszkodzie, abyśmy prowadzili własne śledztwa. Może ono być przerwane, jeżeli prokurator stwierdzi, że utrudniamy śledztwo. W momencie sporządzania akt prokuratorskich i przekazania sprawy do sądu mamy swobodny dostęp do akt. Prowadzący prokurator decyduje, czy jest możliwość podania nazwiska oskarżonego. Jeżeli dziennikarz dostał akta sprawy niejawniej, nie może ich jednak wykorzystać. Wyrok każdej sprawy jest jawny, natomiast jego

uzasadnienie może być niejawne. Nie można cytować biegłych lekarzy np. psychiatrów, możemy jednak opublikować końcową konkluzję (poczytalność lub niepoczytalność oskarżonego). Jeżeli dostaniemy zgodę na kręcenie materiału filmowego w czasie rozprawy, znaczy to, że możemy filmować poszkodowanych i świadków. Jednak ostateczna decyzja o emisji zależy od naszego wyczucia, tak, aby nie zaszkodzić dobru osobistemu osób trzecich.

O tym właśnie mówi najważniejszy chyba i sprawiający najwięcej trudności artykuł 12 Prawa Prasowego. Czytamy w nim, że dziennikarz jest zobowiązany chronić dobra osobiste, a zwłaszcza interesy działających w dobrej wierze informatorów i innych osób trzecich, które okazują mu zaufanie. Nie ma prawnej definicji dóbr osobistych, przyjmuje się natomiast, że są to niemajątkowe, indywidualne wartości świata uczuć i stanu psychicznego człowieka, do których należą: zdrowie, wolność, cześć, swoboda sumienia, nazwisko, pseudonim, wizerunek, tajemnica korespondencji i twórczość naukowa. Naruszeniem dóbr osobistych jest też np. opublikowanie zdjęcia osoby niepublicznej bez jej zgody. Przy pisaniu o życiu prywatnym osób jesteśmy zobowiązani pytać je o zgodę i zachować szczególną ostrożność. Osoba, która występuje przeciw nam w sprawie o naruszenie dóbr osobistych musi udowodnić, że poczuła się urażona, natomiast my musimy udowodnić prawdziwość opublikowanego materiału. Dziennikarz ma obowiązek poinformowania wymiaru sprawiedliwości, jeżeli w trakcie zbierania informacji dowie się o szpiegostwie, zbrodni lub przygotowaniu do zbrodni. Jednak informator ma prawo zastrzec sobie anonimowość. Jedną z rzeczy, która utrudnia szybkie zdobywanie informacji jest obowiązek poinformowania rozmówcy o prawie autoryzacji jego wypowiedzi cytowanych w artykule. Ochrona dóbr osobistych dotyczy również samych dziennikarzy: ich pseudonimy są tylko do wiadomości redakcji.

Artykuł 12 mówi jeszcze o tym, że „dziennikarz jest zobowiązany zachować szczególną staranność i rzetelność przy zbieraniu i wykorzystywaniu materiałów prasowych, zwłaszcza sprawdzać zgodność z prawdą uzyskanych wiadomości lub podawać ich źródło”, ponieważ autor firmuje tekst swoim nazwiskiem i odpowiada za jego treść.



Gazeta Polityczna

**Rozmowa ze Stanisławem Michalkiewiczem,
redaktorem naczelnym tygodnika „Najwyższy Czas!”**

Stanisław Żebrowski: *Jakie warunki musi spełniać gazeta, ażeby była gazetą partyjną?*

Stanisław Michalkiewicz: Tylko jeden: musi wyrażać punkt widzenia danej partii.

Stanisław Żebrowski: *A jakie cele stawia sobie gazeta takiego typu?*

Stanisław Michalkiewicz: W przypadku mojej gazety, dwa. Pierwszy, zasadniczy, dla którego ta gazeta powstała to realizacja funkcji opiniotwórczej. Jest to funkcja najważniejsza. Drugim celem, który wiąże się z poprzednim, jest edukacja czytelnika.

Adrian Lesiakowski: *W jakim kierunku, zdaniem Pana, rozwinie się polska prasa polityczna?*

Stanisław Michalkiewicz: W tej chwili nie ma właściwie w Polsce prasy niepolitycznej. Spośród dzienników obiektywizm starają się zachować „Rzeczpospolita” i „Życie Warszawy”, może jeszcze „Express Wieczorny” i „Super Express”. Te pisma nie są wyraźnie kojarzone z określoną opcją polityczną.

Jeśli idzie o prasę pravicową to wymienić można tu tygodniki „Gazeta

Polska”, „Najwyższy Czas!” i „Myśl Polska”. Z tym, że „Gazeta Polska” wyraża punkt widzenia nie tyle może pravicowy – w rozumieniu środowiska Unii Polityki Realnej – co raczej antykomunistyczny.

Przyszłość prasy pravicowej – bo lewicowa akurat na to nie narzeka – zależy będzie od tego, czy znajdą się środki finansowe, choćby na wydawanie dziennika.

Adrian Lesiakowski: *Czy mógłby Pan powiedzieć kilka słów na temat tego, co jest Pana specjalnością, a więc komentarza politycznego i felietonu?*

Stanisław Michalkiewicz: Komentarz polityczny powinien – nie wiem na ile mnie się to udaje – zwracać czytelnikowi uwagę na pewne istotne zdaniem autora elementy prezentowanej sytuacji, w taki sposób, aby czytelnik miał ułatwioną możliwość wyrobienia sobie poglądu na daną sprawę. Pisząc komentarz polityczny zawsze się zastanawiam, co zrobiłbym na miejscu opisywanego polityka, zakładając, że on wie więcej niż ja w tej chwili: to na ogół daje rezultaty.

Jeśli zaś idzie o felieton, to jest to bardzo trudna forma. Jeśli czytelnik ma być to tekst atrakcyjny dla czytelnika – nie można proponować czytelnikowi jakiegoś „strumienia świadomości” i nazywać tego felietonem. Felieton powinien wyrażać jakieś spostrzeżenia lub sąd, opinię; w miarę możliwości nowatorską, ubrać w finezyjną formę. A to jest bar-

dzo trudne. Do pisania felietonów potrzebny jest talent, przydatną jest dobra pamięć i erudycja. Pamięć i wiedza pozwalają wzbogacić tekst o przykłady, cytaty. Pisania felietonów nie można się nauczyć, do tego trzeba mieć Iskrę Bożą.

Opracował: **Adrian Lesiakowski.**



Fundacja Galeria na Prowincji
zwraca się do przyjaciół sztuki
na całym świecie o finansowe
wsparcie przedsięwzięcia,
jakim jest odrestaurowanie
Teatru Starego w Lublinie
i stworzenie
w tym historycznym obiekcie

Międzynarodowego Centrum Sztuki.

Każda przekazana na konto Fundacji kwota
pomoże w ratowaniu
jednego z najstarszych gmachów teatralnych w Polsce.
Zakupiona cegiełka o wartości 100 000 starych złotych
będzie biletem wstępu dla jej posiadacza
na jedno wydarzenie artystyczne w Teatrze
przez jeden rok po jego otwarciu.

Fundacja Galeria na Prowincji
ul. Obrońców Pokoju 13/3
20-950 Lublin, P.O. BOX 404
tel. (0-81) 327-85

Bank Depozytowo-Kredytowy S.A. w Lublinie
III/O Lublin konto nr: 334206-58375-132 Teatr



wydawnictwo
w Małej Ojczyźnie

Mateusz Kokoszka

Wydawnictwo – szansa dla aktywnych i twórczych

Jednym z wielu spotkań podczas Międzyszkolnych Warsztatów Dziennikarskich – Środki społecznego przekazu w Małej Ojczyźnie, był wieczór z dwoma lubelskimi wydawcami: Jerzym Bojarskim i Norbertem Wojciechowskim.

„Wydawnictwo – szansa dla aktywnych i twórczych” – tak został sformułowany temat.

Obaj wydawcy, co wydaje mi się bardzo interesujące, są właścicielami prywatnych wydawnictw katolickich. W Polsce aktualnie istnieją tylko trzy wydawnictwa prywatne i katolickie.

Trzeba przypomnieć, że właśnie wydawnictwa katolickie mają najstarszą tradycję edytorską w Polsce, ponieważ jednym z pierwszych wydanych tekstów były „Wykłady Torkwemady na Psalterz i dziełka św. Augustyna”, czyli dzieło katolickie.

Jerzy Bojarski, opowiadając o tym jak powstało jego wydawnictwo, między innymi powiedział:

„W moim przypadku założenie wydawnictwa wiązało się z tym, co jest dla mnie najważniejszą wartością. Dla mnie tą wartością jest BÓG i dlatego założyłem takie, a nie inne wydawnictwo. Tworząc je kierowałem się nie tylko wartościami nadrzędnymi, prymarnymi, ale również i tym, że chciałem się postłużyć książką do przekazania wartości ewangelicznych.

Co jeszcze zainspirowało mnie przy tworzeniu wydawnictwa „KERYGMA”?

Pracuję od piętnastu lat w księgarni uniwersyteckiej KUL i przychodzą czasami do mnie klienci mówiąc:

- Poproszę książkę religijną.*
- Tu jest pięćset tytułów i wszystkie są religijne – odpowiadam.*
- No to ja bym coś chciał o Panu Bogu.*



– Wszystkie są o Panu Bogu – odpowiadam – nawet ta książka, która traktuje o gramatyce jest religijna, o Bogu.

I wtedy doszedłem do wniosku, że ludzie szukają w książkach sensu życia i szukają w tym życiu Boga i dlatego, chcąc im wyjść naprzeciw, stworzyłem wydawnictwo.”

Tak pokrótce wyglądała droga Jerzego Bojarskiego do wydawnictwa.

KERYGMA jest prywatnym wydawnictwem katolickim z siedzibą w Lublinie, powstałym we wrześniu 1991 r. Greckie słowo *kerygma* oznacza głoszenie, wzywanie, proklamowanie. Dla chrześcijan kerygmat jest obwieszczeniem i uobecnieniem Dobrej Nowiny o Śmierci i Zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa, Jego zwycięstwie nad grzechem, Jego miłości do każdego człowieka i działaniu – Ducha Świętego, w którym wszystko staje się nowe... Wydawnictwo, zgodnie z przesłaniem wpisanym w nazwę, pragnie wspomagać i podtrzymywać to dzieło przekazywania Dobrej Nowiny.

Obecne we współczesnym świecie takie procesy jak: desakralizacja, dechrystianizacja i kryzys wiary, samotność i zagubienie człowieka oraz często rozpaczliwe i bezskuteczne poszukiwanie sensu życia i tożsamości – stanowią wyzwanie dla Kościoła i wzbudzają zarazem żywe impulsy misyjne, których heroldem jest Jan Paweł II, wzywający chrześcijan do Nowej Ewangelizacji. W to dzieło pragnie włączyć się wydawnictwo poprzez słowo drukowane i obraz.

Biblia i Tradycja, będące jak gdyby filarami wiary i życia Kościoła, wyznaczają także jego zainteresowania i preferencje. Kerygma wydaje książki, które sytuują się wokół Pisma św. (egzegeza, leksykony) i dotyczą korzeni chrześcijaństwa tkwiących w historii i tradycji Ludu Izraela, piśmiennictwie Ojców Kościoła, historii Kościoła pierwotnego. W drugim nurcie prezentuje bogatą różnorodność oblicza Kościoła współczesnego, która ujawnia się w refleksji teologicznej, modlitwie, katechezie i liturgii. W trzecim kręgu zainteresowań znajdują się te dzieła, które są owocem poszukiwań twórczych i inspiracji Dobrą Nowiną – w poezji, eseju, plastyce, fotografii.

Św. Paweł zachęca, aby przemawiać do siebie w psalmach, hymnach, pieśniach pełnych ducha, napełniając się mądrością.



NORBERTINUM

WYDAWNICTWO • DRUKARNIA • KSIĘGARNIA
NORBERTINUM

Spółka z o.o.

20-060 LUBLIN, ul. Księżycowa 13

tel. 338-95

Nasz drugi gość Norbert Wojciechowski opowiadał o historii, którą przeszedł, aby stać się wydawcą.

Norbert Wojciechowski zaczynał od pakowania książek, później pracował w dziale reklamy, krok po kroku doszedł w końcu do stanowiska dyrektora wydawnic-

twą i drukarni uniwersyteckiej KUL-u w roku 1989, w którym powstała szansa dla aktywnych i twórczych.

Pan Norbert mówił:

„Rok 1989 to rzeczywiście rok, w którym dla wielu ludzi przedsiębiorczych powstała szansa prowadzenia działalności wydawniczej.

Skorzystałem z tej szansy i założyłem własne wydawnictwo – „NORBERTINUM”. Wydawnictwo to interes, w którym nie trzeba mieć wielkiego kapitału, wystarczy pomysły, tytuły i umiejętność sprzedaży tego, co się wydrukuje.

Jednak z tą szansą, z tą wolnością, która przyszła na przełomie osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych lat pojawiły się również kłopoty – mam na myśli tzw. „amerykanizację i westernizację” rynku wydawniczego. Na dowód tego przytoczę kilka tytułów, które ostatnio zobaczyłem w witrynie księgarskiej:

„Jak zdobyć dziewczynę?”

„Jak schudnąć w 7 dni?”

„Jak zdradzić żonę?”

To jest jedna sfera problemów. Drugi problem związany jest z masą ukazujących się poradników. Ja to nazywam „rycyną intelektualną”.

Poważnym problemem jest dzisiaj sprzedaż książki. Prawda jest taka, że księgarnie są pełne i księgarze pewnych rzeczy po prostu nie przyjmują.

– Poezja? – śmieje się znajomy księgarz i mówi:

– Panie Norbercie, z czym Pan przychodzi? Z drzewem do lasu? Przecież tego nikt nie kupi!

I prawda jest taka, że rzeczywiście tego nikt nie kupuje. Wydając poezję nie drukuję więcej jak 200, 500, 1000 egzemplarzy i sprzedaję to przez długi czas.”

Norbert Wojciechowski poruszył wiele innych, istotnych problemów, z jakimi boryka się dzisiaj wydawca. Mówił również o tym, jak wygląda proces wydania książki i jej kolportaż. Nasi goście w ostatnich zdaniach swojego wystąpienia wypowiedzieli się krytycznie o polskich mass mediach. Zapytani o możliwości wydania przez młodego człowieka np. tomiku wierszy, odpowiedzieli, że sytuacja nie jest zbyt optymistyczna. Ale, jak to twierdzą obaj wydawcy, młody człowiek jest w stanie zapracować w czasie wakacji na wydanie swojego tomu. Oczywiście nie chodzi tu tylko o pieniądze, poezja musi być jeszcze wartościowa. Poezja nie może być destrukcyjna, nie może nieść wartości, które są złe i prowadzą do zła.

NORBERTINUM jest pierwszym prywatnym wydawnictwem katolickim w Polsce, powstałym w 1989 roku. Nazwa firmy pochodzi od imienia jednego ze współników i stanowi równocześnie świadome nawiązanie (poprzez łacińską końcówkę) do istniejących w Polsce wydawnictw kościelnych: „Pallottinum”, „Verbinum”, „Michalineum”, „Marianum”, „Bernardinum” itd. Norbertinum publikuje książki mieszczące się w szeroko rozumianym nurcie kultury chrześcijańskiej. Ambicją wydawnictwa jest wprowadzenie na rynek księgarski publikacji, które nie tylko znajadą oddźwięk czytelnicy, ale staną się znaczące kulturowo.

Norbertinum promuje książki wartościowe, dobrze przygotowane pod względem edytorskim, w interesującej szacie graficznej. Wydawca – podobnie jak ksiądz, lekarz, nauczyciel – to nie tylko zawód, ale i powołanie, misja, którą należy pełnić wobec społeczeństwa. To także odpowiedzialność za dobro wspólne narodu. W tym Norbertinum może wydawać się staroświeckie... a dla niektórych może nawet odrobinę śmieszne. Po prostu wydawnictwo takie jest i chce pozostać wierne swoim ideałom.

Norbertinum chlubi się tym, że 82 wydane tytuły to książki współcześnie żyjących (poza dwoma wyjątkami) autorów polskich, mieszkających na całym świecie – od USA poprzez Europę Zachodnią aż po Łaski, Gniew, Hrubieszów i Krasnystaw.

Wydawnictwu powierzyli swoje książki: Tadeusz Chabrowski, Jan Drewnowski, ks. Franciszek Drączkowski, Janusz Dunin-Horkawicz, ks. Tadeusz Fedorowicz, Feliks Gross, ks. Wojciech Góralski, Jan Krok-Paszkowski, Czesław Miłosz, Dominik Morawski, Danuta Mostwin, o. Antoni J. Nowak, Jerzy Pietrkiewicz, Jan Turowski, Andrzej Tysza – są to autorzy, którzy na trwałe wpisali się do światowego i narodowego dziedzictwa literatury i nauki.

Norbertinum proponuje książkę religijną, poezję, eseistykę (literacką i historyczną), a przede wszystkim literaturę wspomnieniową. Wydaje również niskonakładową literaturę naukową, wymagającą szybkiego druku.

Każda dobrze przygotowana edytorsko i starannie wydana książka pracuje na markę firmy. Dlatego starają się być w swej działalności solidni, odpowiedzialni i uczciwi. Nie zamierzają poddać się modom na zachodnie „hity” i łatwiznie publikacji „wywiadów-rzek” z bohaterami skandali i sensacji. Chyba w tej postawie nie są osamotnieni.





edukacja

Józef M. Bocheński, czyli finezja rozumu

Kim był Józef Maria Bocheński? Postacią tak bogatą i wielobarwną, że w krótkim tekście można co najwyżej wyliczyć jedynie niektóre jego „wcielenia” czy oblicza. Zacznę od końca, od tego, co w oficjalnych biogramach naukowców się pomija lub wspomina tylko ubocznie.

Był człowiekiem „z krwi i kości”, obdarzonym wielością talentów i wszechstronnością zainteresowań, silnym temperamentem i żywotnością, fantazją i poczuciem humoru, ogromną ruchliwością oraz intelektualną płodnością. **Światowiec i podróżnik** – przebywał w Polsce, Rumunii, Rosji, Szwecji, Szwajcarii, Włoszech, Wielkiej Brytanii, Niemczech, Stanach Zjednoczonych... i Bóg raczy wiedzieć gdzie jeszcze...; lubił samodzielnie kierować, rozwijać dużą prędkość samochodem lub... samolotem. **Żołnierz i kapelan wojskowy** – uczestnik dwóch wojen (jedna: polsko-bolszewicka, druga: światowa); antypacyfista, dostrzegający we frontowych przygodach piękny sprawdzian męstwa; twórca etyki żołnierskiej. **Polak i patriota** – dwa razy zrezygnował z nauki, by służyć w polskiej armii; publikując w renomowanych wydawnictwach w różnych językach, zawsze znajdował czas, by napisać coś po polsku i dla Polaków (wspierając swym słowem emigrację i – o ile się to udawało – rodaków w kraju); na międzynarodowych sympozjach, gdzie przyjeżdżały światowe sławy filozofii, przed wszystkimi spotykał się przy winie z polskimi biednymi naukowcami. **Ambasador kul-**

Józef Maria Bocheński (1902–1995) – logik i filozof oraz historyk tych dziedzin, studiował prawo, ekonomię, socjologię, filozofię i teologię na uniwersytetach we Lwowie, Poznaniu, Fryburgu (szwajcarskim) i Rzymie; profesor, wykładowca Papieskiego Uniwersytetu „Angelicum” w Rzymie, Uniwersytetu we Fryburgu szwajcarskim, gdzie pełnił funkcję dziekana a następnie rektora) oraz pięciu uniwersytetów w Stanach Zjednoczonych (m. in. Uniwersytetu Kalifornii w Los Angeles); założyciel i kierownik Instytutu Europy Wschodniej we Fryburgu; duchowny katolicki, dominikanin; jego orientacja filozoficzna to początkowo tomizm, a później – filozofia analityczna, jego ogromny dorobek (z którego tylko część opublikowano w języku polskim) obejmuje liczne naukowe rozprawy, artykuły i recenzje, podręczniki a także teksty publicystyczne i popularyzatorskie (dostępne m. in. na łamach „Znaku”, „Tygodnika Powszechnego”, paryskiej „Kultury”, „W Drodze”); najsłynniejsze dzieło: *Formale Logik* (1955); w języku polskim można przeczytać m. in.: *Ku filozoficznemu myśleniu. Wprowadzenie do podstawowych pojęć filozoficznych* (Warszawa 1986). *Sto zabobonów. Krótki filozoficzny słownik zabobonów* (Paryż 1987). *Współczesne metody myślenia* (Poznań 1992). *Logika i filozofia. Wybór pism* (Warszawa 1993).

tury polskiej – dla zachodnich filozofów był przedstawicielem polskiej logiki czy polskiej szkoły analitycznej (szkoły lwowsko-warszawskiej). **Zakonnik** – ojciec Innocenty, wierny duchowej i naukowej tradycji pracowitego zakonu dominikanów; wprowadził nie ochrzcił – tak jak jego starszy współbrat i mistrz: św. Tomasz z Akwinu postąpił wobec Arystotelesa – współczesnej logiki formalnej, ale uczynił z niej nie przeciwnika, lecz sojusznika średniowiecznej teorii bytu oraz przydatne narzędzie w badaniu religii (rozum okazał się tak ponownie dyskretnym zwolennikiem religii!). „**Dusza towarzystwa**” – tryskający (gdziekolwiek się znalazł) sarmackim dowcipem i pewnością siebie; mówca, skupiający wokół własnej osoby podekscytowane tłumy specjalistów i laików; kpiarz, rubaszny pogromca zabobonów i lokalnych autorytetów.

Kim jest Józef Maria Bocheński? Kim pozostanie przez pokolenia, mimo swojej nieodżałowanej śmierci? Co stanowi jego spuściznę? Bocheński to przede wszystkim **wybitny historyk logiki**, autor chyba najlepszej na świecie książki przedstawiającej, wraz z tekstami źródłowymi, dzieje logiki. Rezultaty jego znakomitych badań nad **logiką starożytną i średniowieczną** – ukazujące, jak wiele możemy się nauczyć od „wieków ciemnych” – wytrąciły z pychy współczesnych logików, niejednokrotnie przypisujących sobie odkrycia różnych Ameryk. Bocheński to także **znawca i krytyk nowożytnej i współczesnej filozofii**; w swych podręcznikach wykładu w sposób jasny, ścisły i ciekawy nierzadko zawile, mętne, nudne doktryny filozoficzne ostatnich stuleci. Szczególne miejsce jego dorobku zajmują prace poświęcone **marksizmowi i tzw. myśli sowieckiej** – ze względu na swój naukowy, a nie ideologiczny charakter stanowią one będą przez długi czas niezbędny materiał dla historyków, usiłujących zrozumieć fenomen komunizmu. Bocheński wreszcie to **samodzielny logik i filozof**, posiadający liczne **oryginalne koncepcje i szczegółowe rozwiązania** rozmaitych problemów filozoficznych (chyba ze wszystkich działów filozofii), a nawet pozafilozoficznych. Co więcej, ma coś, czego brakuje większości filozofów: jest **świetnym popularyzatorem** – wiele jego tekstów może ze zrozumieniem, podniecającą radością i osobistą korzyścią przeczytać każdy inteligentny człowiek (nie tylko specjalista); jego filozoficzna eseistyka i felietonistyka zostanie zaliczona do klasyki odpowiednich gatunków naukowo-publicystyczno-literackich!

Co łączy wielostronną osobowość i wielowątkową twórczość Bocheńskiego w jedną harmonijną całość? Rozum. Bocheński opracowywał oraz badał najsurowsze narzędzie rozumu – logikę. Za jej pomocą dokładnie i ostrożnie roztrząsał m.in. także odwieczne ludzkie pytania: o istnienie Boga, o strukturę bytu, o istotę człowieka, o sens życia... Pokazał, że rozum posługujący się logiką ma na te tematy niewiele, ale zawsze coś do powiedzenia. Jego *Logika religii* to przykład, jak daleko logika może wkroczyć na teren tak delikatny i rzekomo wobec niej obcy. Wkroczyć i nie zniszczyć go, lecz odsłonić przynajmniej część jego struktury. Co więcej, Bocheński dowodził, że rozum i jego logika (czy logiki) musi kontrolować wszelkie ludzkie poznanie; bez nich przestaje być ono poznaniem. Rozum musi bronić nas przed pseudo-poznaniami, intelektualnymi pomyłkami czy oszustwami, a także przed... samym sobą, zwłaszcza, gdy pojawiają się w nim pokusy przekroczenia własnych możliwo-

ści i kompetencji, np. chęć budowy utopii wszechogarniającego systemu wiedzy lub zastąpienia przez siebie religii. Główne dzieła rozumu – logika i filozofia, mają tylko pomagać ludzkiemu poznaniu; czynią je rzetelniejszym i ściślejszym, umożliwiają analityczne wyeksplikowanie tego, co naprawdę się dowiadujemy np. w naukach szczegółowych. Rozum-logika-filozofia służą więc życiu człowieka, by było ono – jak życie Bocheńskiego – szalone i bogate, a zarazem nie przekraczało pewnych granic, poza którymi jest tylko bałagan lub nonsens.

□

Teresa Kosyra-Cieślak

Program autorski klasy twórczej dziennikarsko–regionalnej

Założenia ogólne programu

I. W zakresie kształcenia

Klasa tworzona jest z myślą o uczniach o predyspozycjach i zainteresowaniach humanistycznych, którzy chcieliby w przyszłości studiować kierunki filologiczne, dziennikarstwo, kulturoznawstwo, etnografię itp.

1. Oprócz normalnego programu nauczania, przeznaczonego dla klasy liceum ogólnokształcącego o profilu podstawowym, uczniowie realizować będą program edukacyjny, obejmujący dwa nurty zagadnień: poznawanie kultury, historii i specyfiki własnego regionu (Podlasia) oraz kształcenie umiejętności reportersko-dziennikarskich i podnoszenia kompetencji językowych uczniów. Program ten będzie realizowany jako treści fakultatywne na lekcjach języka polskiego, historii, geografii i języków obcych, a także na zajęciach terenowych, warsztatach, wycieczkach. Przewidziana jest współpraca z redakcjami „Gazety Wyborczej”, „Dziennika”, a także „Radia Lublin” i „Katolickiego Radia Podlasia”.

2. Program „Przesiębiorczość” ma pomóc w nauce planowania i realizacji pomysłów, zapoznać uczniów ze strukturą i zarządzaniem przedsiębiorstwem, zasadami marketingu i reklamy – szczególnie zaś w odniesieniu do funkcjonowania mass mediów oraz działalności wydawniczej. Program ten ma ponadto służyć wyrabianiu u uczniów różnych cech osobowościowych potrzebnych współczesnemu człowiekowi. Ważnym celem opracowanego programu jest stworzenie warunków do wszechstronnego rozwoju intelektualnego, uwzględniającego rozwój zainteresowań i uzdolnień indywidualnych uczniów. Dlatego duży nacisk położony jest na indywidualizację toku nauczania (grupy zainteresowań przedmiotowych, koła naukowe, sesje i seminaria przygotowywane przez uczniów, funkcje asystenckie, udział w olimpiadach itp.) – oraz wprowadzanie różnych nietypowych metod pracy (działanie praktyczne, metoda zadaniowa, drama, nagrywanie audycji, wywiady itp.).

Szczególny nacisk został położony w programie na naukę języków obcych, informatykę, poznawanie elementów kulturoznawstwa, wiedzy o sztuce, filozofii, psychologii i socjologii. Przewidziane są kontakty z uczelniami wyższymi, a zwłaszcza z Wydziałem Humanistycznym UMCS. Mają one na celu rozszerzenie tematyki edukacyjnej, a z drugiej strony ułatwienie uczniom egzaminów wstępnych.

Wyjątkowo ważne miejsce w programie zajmuje przygotowanie do uczestnictwa w kulturze poprzez wyjazdy na spektakle teatralne, koncerty, itp., a także poprzez własną działalność artystyczną – teatr małych form, recytacje, poezję śpiewaną, uczestnictwo w konkursach itp.

Celem programu jest kształtowanie twórczych, aktywnych, otwartych postaw uczniów – zainteresowanych środowiskiem, w którym żyją, zdolnych do podejmowania inicjatyw, przygotowanych do życia w zmieniającej się rzeczywistości.

II. W zakresie pracy wychowawczej:

W pracy wychowawczej nacisk położony zostanie na kształtowanie właściwej atmosfery, dobrze pojęte partnerstwo, umiejętność współpracy, zrozumienie, koleżeńskość, odpowiedzialność, punktualność, wytrwałość, umiejętność komunikowania się z ludźmi i prowadzenia kulturalnej dyskusji, umiejętność planowania i podejmowania decyzji w sytuacjach trudnych, budzenia wiary w siebie, poznania swoich mocnych i słabych stron. W związku ze specyfiką klasy podejmowane będą (godz. wychowawcze, j. polski, „Przedsiębiorczość”) takie zagadnienia jak: waga komunikacji społecznej i jej moralne aspekty, informowanie społeczeństwa poprzez środki masowego przekazu, manipulacje językiem, propaganda i przejawy sterowania społeczeństwem poprzez język, etyka dziennikarska itp.

Celem pracy wychowawczej jest wytworzenie modelu człowieka twórczego: „elastycznego”, lecz niezależnego, mającego swoje własne zdanie, okazującego szacunek innym ludziom i tolerancyjnego, mającego zrozumienie dla tych, którzy prezentują inne stanowisko. W pracy wychowawczej duży nacisk zostanie położony na naukę planowania własnych zajęć, uczenia się i przezwyciężania stresów. Większość celów wychowawczych opisanych wyżej, zwłaszcza dotyczących kształtowanego modelu osobowości ucznia, zawarta jest w programie „Przedsiębiorczość”.

Istotną częścią programu wychowawczego jest integracja uczniów z Rodzicami poprzez udział Rodziców w planowaniu pracy i różnych przedsięwzięciach.

III. Założenia organizacyjne:

Program dydaktyczny klasy opiera się na siatce godzin profilu podstawowego, konieczne jest jednak wprowadzenie pewnych korekt:

- zwiększenie liczby godzin języków obcych (częściowo płatnych przez rodziców uczniów),
- wprowadzenie w klasie pierwszej I godz. tygodniowo na realizację programu „Przedsiębiorczość”,
- przyspieszenie rozpoczęcia nauki informatyki i jej stopniowe rozszerzanie od klasy I (zajęcia dodatkowo płatne przez rodziców),

- położenie nacisku na kształcenie sprawności językowej, umiejętności posługiwania się nowoczesnym sprzętem dziennikarskim, redagowanie podstawowych form wypowiedzi publicystycznej,
- wprowadzenie zajęć zblokowanych na obozach naukowych, warsztatach, seminariach w terenie itp. (2 wyjazdy dłuższe 7-10 dniowe i 4 wyjazdy 1-2 dniowe: w ciągu roku szkolnego),
- powołanie zespołów uczniowskich i zespołów rodzicielskich,
- wprowadzenie funkcji asystenckich powierzonych uczniom,
- powołanie wychowawcy klasowego,
- wprowadzenie oceny opisowej na koniec semestru i roku szkolnego obok oceny tradycyjnej.

Prowadzącej klasę zależy na współpracy wszystkich nauczycieli uczących w klasie poprzez stałe i regularne spotkania w ramach Rady Pedagogicznej Klasy z udziałem uczniów i rodziców (4 razy w roku). Klasa już została objęta opieką „Gazety w Lublinie” – lokalnego wydania „Gazety Wyborczej”. Podejmowane są starania o pozyskanie innych opiekunów i sponsorów (Fundacja Stefana Batorego, Radio Lublin). Program autorski stanowi pewną „ramę”, która musi być korygowana i na bieżąco uzupełniana. Szczegółowy program zostanie zatwierdzony przez rodziców i uczniów klasy po dokonaniu nadboru – we wrześniu 1994 roku; prowadząca dopuszcza możliwość zmian.

IV. Program edukacyjny, regionalno-dziennikarski klasy.

Wykaz planowanych zagadnień

Proponowane zagadnienia zmierzają do zainteresowania uczniów kulturą, historią, specyfiką wyznaniową, językową itp. Podlasia – regionu, z którego pochodzą i który powinien być ich „ziemią najbliższą” i „Małą Ojczyzną”. Poznawanie regionu i zdobywanie wiadomości powinno następować poprzez aktywne działania uczniów – poszukiwaczy i początkujących dziennikarzy, a więc: wywiady, rozmowy z ludźmi, spotkania z regionalistami, pisanie reportaży, poszukiwania źródłowe, zwiedzanie obiektów, lekcje Dziedzictwa Kulturowego.

A. Problematyka regionalna

KLASA I

1. Archeologiczne odkrycia na Podlasiu:

- ścieranie się wpływów polskich, litewskich, ruskich, jaćwieskich;
- cmentarzyska i kurhany;
- ślady dawnych grodzisk;
- tajemnicze obiekty (głazy, kamienne baby itp.)

2. Turystyczne, krajoznawcze i ekologiczne walory Podlasia:

- parki krajoznawcze;
- flora i fauna Doliny Nadbużańskiej;
- Bug – jego historyczne znaczenie komunikacyjne i współczesna rola rzeki granicznej;
- zagrożenia ekologiczne.

3. Różnorodność wyznaniowa Podlasia: jej przyczyny i wpływ na historię regionu:

- sanktuaria maryjne na Podlasiu np. Kodeń, Leśna Podlaska;
 - martyrologia unitów podlaskich, ślady unickie w literaturze;
 - parafia unicka w Kostomłotach;
 - klasztor w Jablecznej – ośrodkiem kultu prawosławnych;
 - św. Józefat Kuncewicz i dzieje jego kultu;
 - ślady reformacji;
 - Janów Podlaski – stolica biskupów.
4. Tatarzy na Podlasiu:
- pozostałości w Studziance, Kościeniewiczach, Lebidziewie;
 - tatarskie formacje wojskowe i ich związek z historią polskiego oręża;
 - losy polskich Tatarów.

KLASA II

1. Wielcy i znani Polacy na Podlasiu: ich ślady, muzea, groby, domy (np. J.I.Kraszewski, St.Żeromski, A.Naruszewicz, J.U.Niemcewicz, J.Bartoszewicz, J.Wężyk, K.Sawczuk, T.Kościuszko, A.Zamoyski, współcześni malarze, aktorzy, literaci).
2. Wielkie rody i ich wkład w rozwój ziemi podlaskiej: (Biała Radziwiłłów, Radzyń Potockich, Kodeń Sapiehów, Jabłoń Zamoyskich itp.)
3. Szlachta podlaska XVI-XVII wieku.
4. Powstanie styczniowe na Podlasiu (patriotyczne tradycje, ważni przywódcy, najważniejsze bitwy, cmentarze).
5. Pałace, dworki, parki, ogrody, ich zabytkowy charakter, piękno, związek z krajobrazem kulturowym, stan dzisiejszy i wykorzystanie (np. Czemierniki, Witulin, Jabłoń, Roskosz i inne).

KLASA III

1. Tradycje ludowe na Podlasiu:
 - etnograficzna charakterystyka terenu – rola Muzeum Okręgowego;
 - tradycje ludowe: stroje, obrzędy, zwyczaje, pieśni;
 - mieszanie się wpływów językowych, gwar i dialektów;
 - twórcy ludowi i „prymitywni” (rzeźbiarze, tkacze, plecionkarze);
 - budownictwo wiejskie;
 - kultywowanie tradycji i działania zmierzające do jej zachowania;
 - współczesne teatry obrzędowe, zespoły artystyczne (Dolhobrody, Dolholistka, Ratajewicze);
 - konkurs „Sztuka Ludowa Południowego Podlasia” i jego znaczenie.
2. Podlaskie nekropolie (cmentarzyska prehistoryczne, cmentarze zabytkowe np. w Wisznicach, cmentarze po epidemiach, groby powstańców styczniowych, cmentarze z okresu I i II wojny światowej – polskie, rosyjskie, austriackie, niemieckie, żydowskie itp. katolickie, unickie, prawosławne).
3. Żydzi w miastach i wsiach podlaskich: ich historia i kultura.

KLASA IV

1. Podlasie w czasie II wojny światowej i w latach powojennych:
 - nagłościenia, przemilczenia, „białe plamy”, przekłamania;
 - trudna historia najnowsza i obiektywizm w jej opisywaniu (pomnik w Siemieniu, groby w Kąkolewnicy, bitwa pod Kielbaskami, losy AK-owców, WiN-owców, BCh-owców).
2. Szanse i zagrożenia Regionu w dniu dzisiejszym:
 - przygraniczne położenie szansą gospodarczą;
 - walory ekologiczne i ich wykorzystanie: turystyka, ochrona środowiska; – czy „Polska B”?
3. Krajobraz kulturowy i architektura:
 - kościoły i pałace (gotyk, barok, klasycyzm itp.);
 - zabudowa historyczna miast i miasteczek;
 - zabudowa wiejska;
 - budownictwo współczesne – ocena efektów estetycznych.

B. Umiejętności dziennikarsko-reporterskie

Program zakłada aktywność uczniów w zdobywaniu wiadomości o Regionie i docieraniu do źródeł informacji. Ma ona polegać na realizowaniu zadań reportersko-dziennikarskich, przydzielonych zespołom i indywidualnym uczniom. Zdobyte wiadomości prezentowane będą w formie wypowiedzi publicystycznych (esej, reportaż, felieton, wywiad, notatka prasowa, audycja, film dokumentalny itp.) – najlepsze z nich trafią na lamy prasy i na antenę (w ramach współpracy z lokalnymi gazetami i stacjami radiowymi).

Program zakłada opanowanie przez uczniów podstawowych umiejętności dziennikarskich:

- przeprowadzenie wywiadu z wykorzystaniem notatnika i dyktafonu;
- redagowanie artykułu przeznaczonego dla określonego działu gazety (publicystyczny, aktualno-informacyjny, kulturalny, sportowy itp.)
- umiejętność posługiwania się sprzętem technicznym: dyktafon, magnetofon, kamera filmowa, mikrofon, aparat fotograficzny;
- poznanie specyfiki różnych pism i gazet (dziennik, tygodnik, dwutygodnik, wydanie specjalne, gazeta sobotnio-niedzielną, pisma specjalistyczne i adresowane do różnych odbiorców);
- zasady funkcjonowania gazety na rynku, sposoby zdobywania czytelników, marketing i promocja;
- redagowanie nowoczesnego pisma: wykorzystanie komputerów, programy komputerowe, przesyłanie wiadomości;
- działania mass mediów ogólnopolskich i regionalnych.

Program zakłada zdobywanie tych wiadomości poprzez aktywne zajęcia w terenie, spotkania z dziennikarzami, wizyty w redakcjach, w studio, warsztaty prowadzone przez specjalistów. Na praktyczne działania dziennikarskie przeznaczone są zajęcia terenowe: dwa dłuższe 7-10 dniowe, 4 krótsze 1-2 dniowe w ciągu roku. Formy tych zajęć wyjazdowych to: obozy naukowe, warsztaty, seminaria wyjazdowe, Lekcje Dziedzictwa Kulturowego, rajdy itp.



Ewelina Piętka

Mała integracja

Motto: „Nie ma dziecka. Jest człowiek.”

Janusz Korczak

Rok 1995 ogłoszono „Rokiem Tolerancji”. Statystyki głoszą, że w Polsce co ósme dziecko rodzi się niepełnosprawne. Jak nasze społeczeństwo przyjmuje do siebie te dzieci? Czy dajemy im szansę znalezienia się w obecnym świecie? Kim są ci „inni”...? Odpowiedzi na te pytania szukałam w przedszkolu integracyjnym nr 2 w Olkuszu (województwo katowickie).

Idzie Ola do przedszkola...

Dzień 2 stycznia 1995 roku był słoneczny, ale mroźny, toteż miło było wejść po krótkim spacerze do przedszkolnego hallu służącego jednocześnie maluchom za szatnię. Przywitała mnie pani Małgorzata Kulig, będąca dyrektorką przedszkola oraz pani Maria Jurga – wychowawczyni jednej z trzech grup integracyjnych. Panie prowadzą mnie do sali sześciolatków, przypominającej mi własną „zerówkę”. Dzieci jest jeszcze mało, (jest dopiero 8), a te, które już są, bawią się grzecznie przy półce z zabawkami. Panie opowiadają mi o swoim przedszkolu. Powstało ono w 1992 roku z inicjatywy pani Małgorzaty Kulig, która objęła wtedy stanowisko dyrektora. Stworzyła grupy integracyjne pomimo niechęci władz miasta do tej idei. Wspólnie z innymi nauczycielkami rozpoczęła szkolenia, które umożliwiły im lepsze poznanie problemów wychowania dzieci niepełnosprawnych. Z dumą wspomina osiągnięcia pani Marii Jurgi, która wygrała konkurs na najlepsze zajęcie „metodą dobrego startu”.

Obecnie w przedszkolu jest 7 grup, z czego 3 są integracyjne. Do przedszkola uczęszcza dziewięcioro niepełnosprawnych dzieci, troje z porażeniem mózgowym, jedno z zespołem Downa, jedno głuchonieme oraz trójka z umiarkowanym opóźnieniem. W grupie jest około 15 dzieci, w tym troje niesprawnych. Taką grupą opiekują się dwie nauczycielki. Jedna z wychowawczyń przebywa z grupą cały dzień, natomiast druga ze szczególną uwagą zajmuje się dziećmi chorymi. Niepełnosprawni malcy dojeżdżają tu z Olkusza i okolic.

– Początkowo – mówi pani Kulig – musiałyśmy wręcz szukać tych dzieci, ponieważ były one niejako ukryte i trudno było je znaleźć. Część dzieci praktycznie wywalczyłam, gdyż udało mi się przekonać rodziców, aby je tu oddali, co przecież nie było łatwe. Ciężko jest zaakceptować takie dziecko, przyzwyczaić się do tego faktu. Ale ten czas mija.

Panie oprowadzają mnie po całym budynku. Z wielkim zaciekawieniem oglądam specjalistyczny sprzęt rehabilitacyjny otrzymany z Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych, szafę wielofunkcyjną służącą do wyrabiania i ćwiczenia umiejętności manualnych u dzieci niepełnosprawnych, „suchy basen” zapelniony po brzegi kolorowymi piłeczkami. Następnie mym oczom ukazał się wielki, wiszący u sufitu kolorowy spadochron. Panie obiecują mi, że osobiście będę mogła uczestniczyć w ulubionej przez dzieci zabawie ze spadochronem, po czym wracamy do sali sześciolatków. Zbliży się godzina dziewiąta, hall powoli wypełnia się wchodzącymi rodzicami prowadzącymi swe pociechy. Przyglądam się jak z pośpiechem podchodzą do półek z odpowiednimi znaczkami i pomagają dzieciom rozebrać się. Nie wszystkim idzie to szybko i składnie. Panuje lekki rozgardiasz, który przyczynia się do tworzenia ciepłej, domowej atmosfery, podkreślonej jeszcze twórczością dzieci wiszącą na ścianach – malunkami i rysunkami. Po chwili wracamy do sali.

Jedziemy na wieś

W przedszkolu zatrudniony jest rehabilitant ruchu, surdopedagog (czyli pedagog pracujący z dziećmi głuchymi), współpracuje się z pedagogiem i terapeutą z poradni psychologiczno-pedagogicznej w Olkuszu. Nauczycielki prowadzą zajęcia głównie metodą dobrego startu (prof. Marty Bogdanowicz), metodą ruchu rozwijającego według Veroniki Sherborne, muzykoterapią oraz hipoterapią.

– Hipoterapia to ćwiczenie z konikiem – żartuje pani Maria.

Każdą wiosną i jesienią nauczycielki starają się organizować wyjazd do Małobądz (koło Ogrodzieńca).

– Jest tam taki pan fascynat, który hoduje niewielkie konie – hucuły. Nie jest ich tam dużo – trzy lub cztery. A to bardzo spokojne zwierzęta, na których można się bezpiecznie poruszać – mówi pani Jurga i przynosi kronikę przedszkola.

Przeglądam ją z zainteresowaniem, a pani Maria wszystko cierpliwie objaśnia. Nagle natrafia na zdjęcie roześmianego chłopca siedzącego okrakiem na koniu. To mały Krzysiek z rozszczepem kręgosłupa, chorobą objawiającą się bezwładem nóg. Patrzę uważnie na pozycję chłopca kurczowo przytrzymującego się grzywy konika, z pojaśniałą od szczęścia twarzą. Takich obrazków widzę coraz więcej, także z wyjazdów na wieś, do gospodarstwa. Pani Marysia opowiada z przejęciem o głuchym Piotrusiu i o innych dzieciach.

– One miały tyle radości... – mówi z zachwytem – To był szok, to była taka wielka radość, że ja czegoś podobnego nie widziałam! Zwierzę było tak blisko, aż im dech zapierało. Były takie szczęśliwe, że mogły sięść i pogłaskać...

Widać, że brak jej słów do wyrażenia tego, co czuły dzieci. Tymczasem zbliżała się szybko godzina dziewiąta. Malców przybywało z każdą chwilą, sala pełna była okrzyków, ruchu i roześmianych dzieci. Pani próbuje uciszyć rozbieganych chłopców, lecz udaje jej się tylko na krótką chwilę. Aż trudno uwierzyć, że gdzieś wśród tych dzieci są dzieci niepełnosprawne!

Nareszcie podano śniadanie. Pani Marysia odetchnęła z ulgą, gdy wtem rozległy się nawoływania dzieci, że Sylwuś płacze. Okazało się, że nie lubi pasztetu. – O, to żaden problem! Zaraz wszystko będzie dobrze – pociesza nauczycielka chłopca. Malec nareszcie się uspokoił i teraz z wielkim apetytem zjada kanapkę – bez pasztetu.

„Startujemy”!

Po śniadaniu pani Maria Jurga przeprowadza zajęcia metodą „dobrego startu”. Dzieci ze skupieniem przypominają sobie ostatnio poznane literki: „o”, „a”, „e”, „i” oraz powtarzają głośno i rytmicznie wierszyk:

*Nasz wróbelek nasz.
Wierność jego znasz.
Jaskółeczki za morzami
a wróbelek zawsze z nami -
nasz wróbelek nasz.*

Ten zabawny wierszyk będzie odąd nieodłączną częścią nauki litery „c”. Dzieci utrwalają sobie pojęcie lewej i prawej strony tupiąc właściwymi nóżkami do rytmu wiersza o wróbelku, gdzie jest góra a gdzie dół. W końcu przechodzą do kształtu i omawiania literki „o”, bawiąc się przy tym znakomicie. Układają z włóczki lub z bibułki, rysują w powietrzu oraz lepia z plasteliny. Kreślą ją także na swych plecach, z zamkniętymi oczami, wymawiając przy tym wierszyk.

– Chodzi o to, by dziecko wyczuwało kształt litery polisensorycznie (czyli wszystkimi zmysłami), a dzięki wierszykowi, w oparciu o rytmikę, dzieci nabierają płynności ruchów, pewności ręki. Nie są już spięte przy pisaniu.

Dzieci także uczą się poprzez świetną zabawę. Uczą się współpracy i współdziałania z dziećmi zdrowymi i umiejętności życia w grupie.

„Metoda ruchu rozwijającego” – czy to trudne?

Zajęcia trwają pół godziny. Chwila przerwy – i do akcji wkracza pani dyrektor Kulig – razem z młodszą grupą integracyjną. Wśród maluchów panuje ogromne ożywienie – będą zabawy ruchowe! Już nie mogą spokojnie usiedzieć na miejscu – tak bardzo się cieszą – i pani też. Ja również zostałam zapędzona do roboty. W tym przedszkolu nikt się nie obija! Każda osoba otrzymała swojego „rodzica” lub swoje „dziecko”, które się przytulało, chwyciło za kostki, „odklejało” od ziemi lub robiło na plecach pyszny „makaron”. Wyjątkowo udane spaghetti zrobił na plecach pani Kulig głuchy Piotruś. Pracują też Sylwek, Michał i Edytka. A potem przyniesiono spadochron. Dzieciom oczy świeciły się z nieukrywanej radości, kiedy „rekin” – w

osobie pani dyrektor znienacka wciągnęły je pod wodę – lub kiedy rybak nie mógł złapać żadnej rybki.

– Metoda ta, zarówno jak i metoda „dobrego startu”, zaliczana jest do metod psychomotorycznych – to znaczy rozwijających umysłowo poprzez ruch i zabawę – tłumaczy pani Małgorzata Kulig i opowiada wszystko, co dotyczyło tych zajęć.

Dzięki nim poznają schemat swego ciała oraz innej osoby, uzyskują większą sprawność fizyczną. Nie mniej jednak ważna jest nauka odpowiedzialności za siebie, zaufania, poczucia bezpieczeństwa oraz zwalczanie własnego strachu.

– Jest to terapia na wszelkie zaburzenia emocjonalne. Uspokaja, podobnie jak hipoterapia czy muzykoterapia. To duży relaks i radość – kończy pani dyrektor.

Patrzę zdumiona na zadowolone buzie dzieci. Prawie nikt nie zauważył, kiedy nadszedł koniec zajęć – godzina 11.

„Kochaj mnie takiego, jakim jestem”

Jak szybko płynie czas w przedszkolu! Po skończonych ćwiczeniach dzieci rozbiegły się, dokazując po całej sali. Ja zaś udałam się do trzeciej z istniejących grup integracyjnych – starszaków. Wychowawczyni tej grupki – pani Anna Zelzik oraz Barbara Dobrych opowiedziały o integracji z mieszanymi uczuciami, choć dużym entuzjazmem i wiarą. Zdrowe dzieci nie mają żadnych uprzedzeń, świetnie potrafią się razem bawić i porozumiewać nawet z dziećmi głuchoniemymi. Jest w nich tyle chęci niesienia pomocy, są opiekuńcze i przyjazne. Natomiast dziecko chore w kontaktach z dziećmi zdrowymi ma możliwość dalszego rozwoju, poprzez wspólną naukę i zabawę. Żyją w społeczności i należą do niej. Pani Anna Żelezik doskonale rozumie potrzeby dzieci niepełnosprawnych. Jest matką 18-letniej Joasi z porażeniem mózgowym.

– Wśród dorosłych utarło się takie myślenie – tłumaczy pani Anna – że dzieci te są inne, że nie potrafią, że muszą być izolowane. A to nieprawda, bo nikt nie chce li-tości, każdy chce być akceptowany i traktowany na równi z innymi. Na tym polega integracja. Jej głównym hasłem jest: „Jestem taki i taki już będę. Zaakceptuj mnie takiego, jakim jestem, wyciągnij do mnie pomocną dłoń”.

I o to wyłącznie chodzi. Niepełnosprawnym dzieciom trzeba dać wiarę w siebie i mocno je pokochać.

Do domu

Podano obiad. Dzieci szybkoitko składają zabawki i siadają do stołów. Jest wśród nich Łukaszek, opóźniony Pawełek, głuchy Piotruś i Sylwuś. Ewie i Grzesiowi z porażeniem mózgowym pomagają nauczycielki.

O godzinie 13 po dzieci przychodzą rodzice. Sale grup integracyjnych pustoszeją. Ja również powoli zbieram się do wyjścia. Żegnam nauczycielki i wychodzę w roz-słonecznione zimowe popołudnie. Kroki same układają się w rażny rytm wierszyka: Nasz wróbelek, nasz...

Szkoła to nie mercedes...

Skąd się wzięły szkoły społeczne i prywatne? – Ze złych wspomnień szkolnych dyrektorów i nauczycieli tych szkół.

Skąd biorą się uczniowie w tych szkołach? – Ze złych wspomnień szkolnych rodziców tych uczniów.

Skąd, w takim razie, wzięły się złe wspomnienia szkolne? Ano z tego wszystkiego, czym szkoły w epoce PRL-u były. Urzeczywistniał się wtedy taki paradoks: lubiliśmy się uczyć a nie lubiliśmy chodzić do szkoły. Wiele z tej wiedzy, jaką teraz wykorzystujemy w naszej pracy, w życiu w ogóle, zdobyliśmy poza szkołą, a niejednokrotnie wbrew niej. Więc co właściwie było grane?

Grana była kiepska sztuczka w amatorskiej reżyserii, w niewygodnych kostiumach przez aktorów z przymusu (podstawówka) lub „z woli ojca” (szkoła średnia) w beznadziejnych dekoracjach – co gorsza – w każdym mieście, wsi, miasteczku identycznych. Dyrektorzy z nomenklatury, zbyt liczne klasy utrzymywane w ryzach nie za pomocą autorytetu, lecz poprzez strach, zły program, brak miejsca na indywidualną wypowiedź... To miało oczywiście adekwatną oprawę materialną. Na przykład szaro-bure juniorki i fartuszki z paskudnego w kolorze i gatunku materiału z jednokowym obrzydzeniem noszone przez woźne, nauczycieli przedmiotów technicznych, sprzątaczkę i uczniów... Albo to, że gdziekolwiek się pojechało w czasie ferii lub wakacji można było zobaczyć znajomy kształt okien – typ szkolno-przychodniowy i zwarzyć sobie humor: system czuwa, już tylko miesiąc, dwa tygodnie, trzy dni a wpadniesz w jego macki.

Psychologia odkryła zbawienny wpływ kolorów: żółtego – na pobudzenie umysłu do pracy, zielonego – na uspokojenie i wypoczynek a więc wszystkie klasy w całej Polsce pomalowane były w kolorze musztardy do wysokości metr czterdzieści na olejno, powyżej emulsją, a wszystkie korytarze szkolne w całej Polsce – na mdły bladezielony do wysokości metr czterdzieści na olejno, powyżej emulsją. Wszędzie takie same białe lampy z koncentrycznym plastikowym rasterkiem osłon żarówek lub, co gorsza, wcale nie rzadko – w mlecznych, notorycznie potłuczonych oprawach świetłówek. Wszędzie na podłogach – zielone lub szare w ciapki PCV. Najlepiej, gdy

klasa w takiej typowej szkole miała okna zorientowane na wpół do trzeciej. W okresie wyżu demograficznego był to pewien kłopot. O tej godzinie trwały jeszcze zajęcia, a nie stosowano niestety żaluzji. Sala lekcyjna musiała pomieścić trzy rzędy ławek po 7-8 w rzędzie, co dawało nienaruszalny wymiar ok. 6x9 metrów. I w całej Polsce nie było sposobu, aby w razie potrzeby ustawić ławki w innym szyku. Wyjątkiem były pracownie techniczne i laboratoria – też niereformowalne na swój odrębny sposób. Acha, i przedwojenne jakieś szkoły, nietypowe oczywiście albo te, które mieściły się w budynkach doraźnie adaptowanych na potrzeby szkolne.

Przerwy! Osobny ciemny rozdział. W którymś momencie dziejów peerelowskiej edukacji wymyślono „system gabinetowy”. Teoretycznie każda sala zawierała inny zestaw specjalistycznych pomocy naukowych, każda lekcja zatem musiała się odbywać w innym „gabiniecie”. W praktyce sale różniły się jedynie tabliczkami na drzwiach – zamkniętymi. Tymczasem w nauczaniu, jak w muzyce, niezmiennie ważne są także pauzy. Pamiętamy, a jeśli nie, zawsze możemy zajrzeć do dowolnej funkcjonującej teraz szkoły by zobaczyć: nieopisany tłok (wynik niedostatecznej powierzchni rekreacyjnej, niepotrzebnie przez projektantów utożsamianej z komunikacyjną), przekrzykiwanie się, bieganie slalomem, chodzenie parami po jakichś odwiecznych – niedługich trasach i przesiadywanie na sfatygowanych plecakach pod ścianami w oczekiwaniu na lekcję, kiedy to uczeń będzie mógł przynajmniej usiąść na krześle, o ile akurat nie stanie pod tablicą. W takich warunkach nie sposób wypocząć. A jest to wina wadliwych rozwiązań przestrzennych i materiałowych w budynkach szkolnych.

Jest taka szkoła w Lublinie – pomnik 1000-lecia całkiem rozsądnie zaprojektowana: rozległa, pawilonowa na dużej działce, dająca, przynajmniej teoretycznie, możliwość właściwego wykorzystania przerw. Byłam kiedyś uczennicą tej szkoły. Łatwe do utrzymania, wybrukowane patio tej szkoły z trwałymi uprawami – różne drzewka i krzewy iglaste, skalnice, było zawsze zamknięte. Chodziło się wokół niego jakby wokół ogromnego zielonego akwarium. Zawsze w tę samą stronę – więzienny spacer. Tereny rekreacyjne szkoły na przerwach były niedostępne z prostej przyczyny – nie wolno było wychodzić. Wiadomo, że nikt nie zmieniałby obuwia na okoliczność pięciominutowego biegania za piłką lub spaceru po szkolnym ogrodzie. A przecież panie sprzątaczkі nie mogły zmywać podłóg w całej szkole po każdej przerwie. Męczyło mnie to od dziecka – dlaczego nie mogły? Ale wtedy nie należało zadawać głośno takich pytań. Rządy sprawował lud pracujący miast i wsi. Nie wiem dlaczego nikt wtedy – a gdziekolwiek aż do tej pory – nie zastanowił się nad tym, że uczeń biegający nie może być jednocześnie uczniem palącym pety w toalecie.

Toalety... Nie, nie będę o tym pisać. Choć zastanawiałam się swego czasu czy np. uczniowie II LO w Lublinie siusiali w czasie swego pobytu w szkole, czy woleli te sprawy zanosić do domu.

Także za to wszystko nie lubiliśmy szkoły, choć może nie uświadamialiśmy sobie tego dokładnie.

Wierzę, że współczesna szkoła, zwłaszcza społeczna lub prywatna, potrafi tego wszystkiego uniknąć. Młodzież jest właściwie umotywowana, nauczyciele są jej mi-

strzami a nie dozorcami procesu wkuwania, programy nauczania nie stają w całkowitej opozycji do tego, co młodych myślących ludzi interesuje. Są akademie, ogrody nauk i sztuk... Tyle, że mieszczą się na razie po plebaniach lub w przyciasnych budynkach prywatnych, niefunkcjonalnych.

Po prostu gra się tę sztukę w nieodpowiednich dekoracjach.

Szkoły niepaństwowe wyszły już z euforii okresu pionierskiego i chciałyby się wyprowadzić z gościnnych, acz niewygodnych lokali „na swoje”. A skoro pieniędzy jak na początku, tak i teraz brakuje, pojawia się niebezpieczeństwo peerelowskiego z pochodzenia wniosku: „potrzeba nam taniego powtarzalnego projektu małej szkoły”. Stop! Czyż po to wyemancypowaliście się, kochani, z państwowej, by teraz wleźć we własną jakąś środowiskową takąsamość, typowość. Panie i panowie, szkoła to nie mercedes, który w jakimkolwiek miejscu postawiony podnosi prestiż swego użytkownika. Szkoła to jest niestety, a raczej „stety”: nieruchomość i jako taka nosi obowiązek bycia wybitnym elementem w swoim otoczeniu. Jej rola kulturotwórcza nie może się ograniczać do tego, co się dzieje za jej murami, co wynoszą z niej absolwenci, nie może się nawet ograniczać do tego, co zyskują czytelnicy wydawanego w szkole pisma, goście organizowanych przez szkołę wystaw, zawodów sportowych, konkursów.

Na tak zwanym całym świecie projekty budynków szkół: małych, dużych, prywatnych, publicznych, wszelkich są przedmiotem najbardziej prestiżowych konkursów architektonicznych. To, jak wygląda szkoła, liczy się dla miasta nie mniej od tego, jak wygląda teatr lub ratusz.

Jakoś nawet w PRL-u nikomu nie przyszło do głowy, aby ogłosić jeden obowiązujący typowy projekt teatru. Wiadomo – każde miasto jest inne, każdy zespół twórców teatru jest inny. Ludzie się zmieniają, klimat trwa, a siedziba ów klimat ochrania.



Każda szkoła jest inna. Ktoś może zechce mi wmówić, że jej rola jest mniejsza niż rola teatru? Ba, nawet za socjalizmu zdarzały się szkoły – rodzinne, kiedy komuś z decydentów chwilowo przejaśniło się w głowie. Przykładem choćby szkoła tzw. środowiskowa na warszawskim Ursynowie. I w III Rzeczypospolitej już są jaskółki zdrowego myślenia na ten temat. Zainteresowanych odsyłam do artykułu pt. „Szkoła w Rudzie Śląskiej” z drugie-



go ubiegłorocznego numeru czasopisma „Architektura” i na zachętę proponuję rzucić okiem na obrazek stamtąd przerysowany.

Drugi obrazek to aula gimnazjum w Helsinkach (1955 r.!) autorstwa arch. Jorma Jarwi. Jeśli chodzi o kraje o wysokiej kulturze materialnej takie obrazki można by mnożyć. Przyjemniej byłoby mnożyć przykłady z Polski. To chyba nie za duże wymaganie wobec szkół, by w nich właśnie zaczęła się przemiana tego narodu w społeczeństwo wysokiej kultury materialnej, **także** materialnej.



Może Wenus załagodzi mój jałowy smutek, czyli o sztuce uczenia się

Uczenie się nie jest procesem biernego przyswajania informacji, przeciwnie – wymaga od jednostki uczącej się wkładu własnego wysiłku i aktywności, operowania materiałem, który chcemy opanować: szukania powiązań, tworzenia skojarzeń, uruchomienia wyobraźni, powtarzania itp. Im więcej takich operacji – tym lepsze zapamiętanie. Każdy, kto usiłuje nauczyć się czegoś „na pamięć”, niejako automatycznie i bez głębszego zrozumienia, jest z góry skazany na niepowodzenie, gdyż obecność w naszej pamięci tego rodzaju danych jest bardzo krótka. „**Nauka bez myśli to daremna praca**” – zauważył Konfucjusz.

Co zatem mamy robić, aby rozwinąć nasze zdolności uczenia się i zapamiętywania?

Odpowiedzi na to pytanie dostarczają nam wyniki badań naukowych prowadzonych nad pamięcią. Otóż stwierdzono, że bardzo korzystny wpływ na nasze zapamiętywanie ma stosowanie odpowiednich **technik uczenia się**, takich jak przeuczenie się, okresowe przeglądanie materiału i powtarzanie z pamięci. Niezłe wyniki przynosi również stosowanie **strategii mnemotechnicznych**, czyli technik zapamiętywania, których głównym założeniem jest wykorzystanie posiadanej już wiedzy jako punktu oparcia lub kontekstu dla wiedzy nowo nabytej. Wykorzystanie istniejącej struktury, zwiększenie sensowności materiału i posługiwanie się wyobraźnią wzrokową to wybrane strategie mnemotechniczne, które zostaną omówione poniżej. Wybór właściwej strategii zależy od rodzaju materiału i wymaganego typu zapamiętania.

Przeuczenie się

Uczenie się przerywamy zazwyczaj w momencie, gdy stwierdzimy, że opanowaliśmy już dany materiał. Nic bardziej błędnego – należy kontynuować. Dalsze ćwiczenie będzie miało znaczny wpływ na to, ile zdołamy sobie później przypomnieć.

Tak więc termin przeuczenie się (ang. overlearning) w języku potocznym oznaczający zmęczenie nauką, w psychologii uczenia się oznacza zjawisko bardzo dla nas korzystne!

Okresowe przeglądanie materiału

Gdy wiesz, że za jakiś czas będziesz odpowiadać z pewnej partii materiału, to prawdopodobnie wypadniesz lepiej, gdy co pewien czas przejrzysz notatki. Dzieje się tak dlatego, że przy ponownym przeglądaniu zwrócisz uwagę na rzeczy, które przeoczyłeś za pierwszym razem, lepiej usystematyzujesz sobie wszystkie wiadomości. Stosując okresowe przeglądanie stopniowo coraz mniej czasu będziesz potrzebować na tę czynność, aby zachować materiał w pamięci.

Aktywne powtarzanie z pamięci

Ucząc się danego materiału po raz pierwszy zapisuj i/lub wypowiadaj go na głos, a nawet odczytuj z książki. Innymi słowy: przepytuj sam siebie, stale sprawdzaj, co i jak zapamiętałeś. Takie postępowanie zapewni ci utrzymanie czynnej uwagi zamiast biernego postrzegania. Poza tym wyćwiczysz się w odszukiwaniu z pamięci potrzebnych ci informacji, co może ci pomóc w późniejszym wypracowaniu sobie strategii odpowiadania w czasie egzaminu.

Wykorzystanie istniejącej struktury

Osoba ucząca się może wykorzystać sposób zorganizowania jakiejś dobrze znanej struktury jako schemat umożliwiający uporządkowanie nowych informacji. Chcąc zapamiętać liczbę wielocyfrową, możesz każdej z cyfr przyporządkować wyraz o ilości liter odpowiadającej wartości cyfry, np. wierszyk zaczynający się od słów: „Kuć i orać w dzień zawzięcie...” itd. to nic innego jak „sposób” na zapamiętanie liczby π (3,14159...itd.). Jeśli masz problemy z zapamiętaniem kolejności planet układu słonecznego, ułóż zdanie, w którym pierwsza litera każdego wyrazu będzie oznaczała kolejną planetę, np. Może Wenus Załagodzi Mój Jałowy Smutek, Umysł Nadzieją Porwie (Merkury, Wenus, Ziemia, Mars, Jowisz, Saturn, Uran, Neptun, Pluton). Można też ułożyć poszczególne pozycje w taki sposób, żeby początkowe litery utworzyły jakieś słowo, niekoniecznie istniejące, byleby „wpadało” w ucho.

Zwiększenie sensowności

Względnie bezsensowny materiał zapamiętamy lepiej, jeśli nadamy mu określone znaczenie np. poprzez włączenie danych słów do jakiegoś zdania lub opowiadania. Tytuł tomu poezji Herberta pt. „Hermes, pies i gwiazda” możemy przekształcić w zdanie, które ułatwi nam zapamiętanie np. „**Hermes** spacerując ze swoim **psem** spotkał słynną **gwiazdę** filmową”.

Wykorzystanie wyobraźni wzrokowej

Strategia ta jest szczególnie przydatna, gdy chcemy zapamiętać niewielkie grupy sensownych elementów, takich jak słowa. Należy wyobrazić sobie kojarzone przedmioty jako biorące udział w jakiejś żywej scenie, np. parę słów: zegar – Chińczyk wyobrażamy sobie w postaci następującego obrazka: na wskazówce olbrzymiego zegara wisi rozpaczliwie dyndając nogami skośnooki mężczyzna. Wyobrażenie powinno być możliwie wyraźne, im bardziej zaskakujące – tym lepiej.

Tak więc widzimy, że uczenie się nie musi być nudną, rutynową czynnością, wystarczy trochę podstaw teoretycznych wypracowanych przez psychologię uczenia się i pamięci, a reszta – to kwestia naszej wyobraźni, pomysłowości i inwencji twórczej. Zatem – powodzenia!

Bibliografia:

P.G. Zimbardo, F.L. Ruch: *Psychologia i życie*, Warszawa 1994.

Serdecznie zapraszamy

- nauczycieli szkół i przedszkoli • animatorów kultury •
 - pracowników świetlic i ośrodków społeczno-wychowawczych •
 - pracowników poradni wychowawczych • rodziców •
- do odwiedzenia

CENTRUM WSPIERANIA EDUKACJI

Towarzystwa Wolnej Wszechnicy Polskiej
ul. Kapucyńska 1a (obok DT Centrum – „Sezam”)

Godziny otwarcia:

w dni powszednie od 10⁰⁰ do 18⁰⁰
w soboty pracujące od 10⁰⁰ do 14⁰⁰

Można wziąć udział: • w spotkaniach Klubu Alternatywnych Pedagogów, Klubu Podróży Ekologicznych • w warsztatach • w prezentacjach ciekawych pomocy dydaktycznych

W CWE zakupić można: • pomoce dydaktyczne • zabawki edukacyjne „PUS” • materiały plastyczne „SES” • aparaturę naukową firmy „Slandi” • książki z zakresu wychowania, metodyki nauczania, edukacji ekologicznej, ochrony środowiska, „Kroplę” i inne czasopisma •

ZAPRASZAMY

Living in Australia – Education and Culture

Łukasz Michałkiewicz is speaking about schools in Australia

Łukasz, you were in Australia for nine years.

Łukasz Michałkiewicz: That's right. **OK. Let's talk about education in Australia. Did you learn at Polish school or at Australian one?**

Ł.M.: I learnt at Australian school but I also had Polish lessons once a week for about a year.

Are there state or private schools in Australia?

Ł.M.: There are a lot of private schools but also of course there are state schools.

When do children start primary school?

Ł.M.: Children start primary school at the age of seven, so a year later than in Poland and primary school lasts for six years, then in the sixth grade they end primary school and start secondary school, sometimes called high school, which is four years on. After that they usually go to colleges where they get more basic education which lets them enter universities afterwards, if of course they want to continue their education at universities.

Do they take an abitur exam or any other kind of exam?

Ł.M.: Well, of course high school is ended with an exam but it isn't so important as it is in Poland.

Do pupils have to take any exams at the end of each year?

Ł.M.: No, marks are given as summary of the work from the whole year.

How much time do children devote to learning?

Ł.M.: In Australia there isn't so much pressure on children as far as learning is concerned and teachers try to emphasize more on practical work than on gathering difficult and hard information out of the book. They try to give the children more funny things to do, whilst at the same time, they try to teach as much as they can. Because of that the children aren't so stressed and they do not have to learn so much as they do in Poland.

What do you think of different levels of difficulty as for education in Australia?

Ł.M.: Australia executes rather radical education curriculum because it, unlike Poland and other countries,

puts the education level down, but insted children are more relaxed and they can learn more freely about what they are interested in. Besides, children are given freedom as for the choice of subjects they are interested in. And because of that most of the scientists are scholars come from Australia and America rather than from Poland where students are too stressed with information.

What do students wear at school?

Ł.M.: I think almost all private schools order to wear uniforms, which I think is a great idea, because you can always see what school they come from – every school has its own characteristic uniform, that's a suit, a white shirt and a tie. Girls wear a special kind of dress and the school emblems.

Have you seen a real Aborigine?

Ł.M.: Yes, I have. The Aborigine society has been mostly wiped out in 18th and 19th century, but a lot of Aborigines survived and although this society has been pushed away out of the big cities by the white Australians, you can still see them sometimes. They mostly live in the country in wooden schacks, unfortunately in most cases in poverty with drug abuse and alcohol.

What do they wear?

Ł.M.: They wear casual clothes, they don't go round with spears any more but you can see them in the theatre where they make performances, especially now when the Australian government is trying to save their tradition and culture.

In what way do animals in Australia live?

Ł.M.: In Australia there are a lot of animals and the government makes a lot of zoos and safari parks. As for kangaroos, they are a mass population and they are almost everywhere, of course you can't see them because they hide, but they are everywhere. They are a bit of nuisance since there have been a lot of car accidents because of them.

Are they safe or do people hunt for them?

Ł.M.: Kangaroo tail is a dish but people don't hunt for them and there are still a lot of these animals in Australia.

What did you learn in Australia?

Ł.M.: Generally I learnt a lot about people around the world so I'm not so one-nation-minded. I learnt a lot about the culture and customs of not only Australians but also many other people because Australia is a gathering of lots of nations.

What did you feel when you left Australia?

Ł.M.: When I was leaving Australia I was very excited about going to Poland so I didn't feel sad or depressed. Whilst now, I miss a little bit my friends and Australia generally.

Are you going back to Australia?

Ł.M.: Well, most of all it's a lot of money because it's very far away and right now I'm not thinking of going back but maybe some day I might visit Australia.

Thanks for the interview.

The interview was carried by **Michał Dąca, Piotr Pastwa and Andrzej Szewczyk.**



Jeżeli masz ochotę odpocząć
nie oddychając oparami
papierosowego dymu,
posłuchać dobrej muzyki,
porozmawiać z ciekawymi ludźmi,
włączyć się w działania na rzecz innych,
czy też po prostu napić się
jednej z ponad
100 herbat spośród czarnych, zielonych,
czerwonych, białych,
owocowych, indyjskich,
japońskich, chińskich lub
brazylijskich,

*Integracyjny Klub Animatorów
zaprasza do swojej siedziby
na ul. Wieniawskiej 15a,
codziennie od 15³⁰ do 21⁰⁰,
tel. 22 667.*





judaica

Katarzyna Grzybowska*

Sabataj Cwi – Mesjasz Żydowski?

*„Zwycięża ten, kto wierzy w swoją moc!
Króluje ten, kto głowę nad innymi wznieść umie,
Synostwo Boże na ziemi zdobywa ów,
Kto umie tego chcieć.”*

W mojej pracy pragnę przedstawić ruch mesjanistyczno-mistyczny powstały w XVII wieku – sabataizm. Pierwotnym moim zamierzeniem było przybliżenie trzech, jak sądzę najciekawszych, ruchów mesjanistycznych w XVII i XVIII wieku: chasydyzmu, sabataizmu i frankizmu. Z uwagi na ograniczenie czasowe i na fakt, iż ruch ten jest stosunkowo mało znany, mój referat dotyczyć będzie tylko sabataizmu.

Pierwsza część pracy omawia problem mesjanizmu w judaizmie, zaś druga dotyczy powstania duchowego „mesjasza”, konfliktu wewnętrznego Sabataja Cwi oraz rozprzestrzenienia się ruchu sabataistycznego w Europie.

Zajęłam się tym tematem, ponieważ uważam, że problem mesjanizmu jest jednym z największych fenomenów w kulturze żydowskiej.

Mesjanizm jest ideą o rozlicznych odcieniach przedstawiającą wtopienie się w dzieje nowego wymiaru. Jest to wymiar zbawienia i odkupienia.

Pojęcie „mesjasz” i „mesjanizm” pochodzą od hebrajskiego *Masziach*, które oznacza „namaszczone” lub „pomazaniec”. Mesjasz miał być wysłany przez Boga na ziemię, aby odbudować Izraela i sprawiedliwie rządzić. (Izajasz 5.6-7)

Ruchami mesjańskimi określano ruchy charakteryzujące się wyraźnie eschatologicznym i religijno-rewolucyjnym charakterem.

Ciekawy jest fakt, że motywy, idee i ruchy mesjańskie występowały w wielu kulturach. Jednakże należy zauważyć, że w sposób szczególnie mesjanizm zakorzenił się w kulturze chrześcijańskiej i żydowskiej.

* Autorka pracy zajęła I miejsce w Ogólnopolskim Konkursie „Historia i Tradycja Żydów Polskich” w roku szkolnym 1993/94

Idea mesjanizmu w judaizmie to część żydowskiej eschatologii. Mesjanizm często określany jest jako zbiór idei, nadziei i oczekiwań, którego głównym przesłaniem jest powrót do utraconego raju na ziemi, a także ogólnoludzkie pragnienie nastania lepszej ery dla świata.

Uważam, że mesjanizm jest ideą urzeczywistniającą tajemnicę metafizyczną, pogłębiającą nadzieję, ufność serc i umysłów.

W badaniach nad mesjanizmem można wyróżnić trzy problemy:

- sprawa osób pretendujących do godności mesjańskiej i ich rola;
- kwestia mesjanizmu jako zbioru idei, doktryn, nadziei i oczekiwań;
- problem mesjańskich ruchów.

Moim zdaniem mesjanizm jest pojęciem dotykającym wymiaru nieuchwytnego, metafizycznego, stąd też znalezienie odpowiedniego schematu jest bardzo trudne. Mimo to istnieje wiele definicji i sposobów klasyfikacji idei i ruchów mesjańskich. Przykładowo Joseph Klausner wyróżnia „oczekiwanie mesjańskie” i „wiarę w mesjasza”. Według niego oczekiwanie mesjańskie to „profetyczna nadzieja na koniec tego wieku, który przyniesie polityczną wolność, moralną doskonałość i ziemską szczęśliwość ludowi Izraela i całemu rodzajowi ludzkiemu.”

W odróżnieniu od oczekiwania mesjańskiego, wiara mesjańska przynieść ma odkupienie ludowi Izraela przez odkupiciela, który jak pisze Jan Doktor „przynieść ma siłę i ducha”. Jednakże istotnym jest fakt, że każdy element wiary mesjańskiej ulega ciągłym metamorfozom.

Gershom Scholem wyróżnia dwa etapy mesjanizmu: restauracyjny i katastrofijno-utopijny. Mesjanizm restauracyjny jest jego zdaniem restauracją, powrotem, odradzeniem się pierwotnego stanu. Jest nawiązaniem nieuchwytniej, niewidocznej łączności z czymś, co umarło, ale powstanie do życia przez odkupienie. Ten typ mesjanizmu był utożsamiany z odzyskaniem politycznej suwerenności przez Żydów. Mesjanizm utopijno-katastroficzny to fenomen, będący nową ideą, w której odrodzi się wszystko co istotne. Gershom Scholem nazywa ten typ mesjanizmu apokaliptycznym. Według tej teorii nowa era naznaczona jest koniecznością zerwania łączności z historyczną ciągłością. Te dwie sprzeczne, ale uzupełniające się tendencje dały idei mesjańskiej rewolucyjną siłę.

Ruchy mesjanistyczne i mistyczne pojawiały się wśród Żydów w okresach szczególnego zagrożenia bytu. Idee te szerzyli już w czasach starożytnych Izajasz i Ezechiel oraz ich następcy przepowiadający rychłe przyjście mesjasza, który zbawi naród żydowski.

W XVII wieku żydostwo przechodziło ogromny kryzys duchowy. Spowodowane to było nasileniem prześladowań w wielu krajach Europy. Izaak Lewin pisze, że we wschodnich krajach, „gdzie hordy Chmielnickiego urządzały ogromne orgie pogromowe” – zdawało się powszechnie, że już zbyt wielkie jest cierpienie w diasporze i że z tej niedoli uratuje naród jedynie mesziasz, pomazaniec boży, zwiastun lepszych czasów. Warunki życia, strach i rozpacz zmuszały Żydów do poszukiwania ukojenia w nadziei.

Jednym ze sposobów łagodzenia bólu było powstanie ruchu sabataistycznego w XVII wieku. Sabataizm głosił radość życia oraz złączenie się z Bogiem przez ekstazę religijną. Twórcą tego ruchu był Sabataj Cwi, który urodził się w Smyrnie w 1626 roku. Jego ojciec, bogaty kupiec, należycie dbał o jego wykształcenie, zaś jego nauczycielem Talmudu był sam rabin smyrneński Józef Eskafa. Już w młodości Sabataj studiował kabałę, zagłębiał się w Zoharze i odprawiał praktyki mistyczne wedle wskazówek Lurii. Wokół jego osoby skupiło się wielu ludzi, którzy szanowali go uznając za swego mistrza. Dopiero gdy do Smyrny dotarła wieść o prześladowaniach w Polsce, gdy wiara w Mesjasza zyskała podstawy – wówczas w 1660 roku Sabataj Cwi objawił się swemu najbliższemu otoczeniu jako zbawca i na znak swego posłannictwa wypowiedział „Imię Boże”.

Jak się okazuje typ „świętego grzesznika” nie zakorzenił się w żydowskich tradycjach mesjańskich. Świadczy o tym fakt, że między swym pierwszym wystąpieniem w 1648 roku a ostatecznym proklamowaniem się na mesjasza w 1665 roku – Sabataj Cwi nie zdobył ani jednego zwolennika, który widziałby w nim mesjasza. Niektórzy współczuli mu, wyśmiewali go, inni traktowali jako człowieka opętanego i chorego. Jego ogłoszenie się zbawicielem spowodowało, że został wyklęty i musiał opuścić Smyrnę. Wędrował poprzez Konsantynopol, Saloniki, Ateny aż do Kairu. Tam zyskał stronników, niektórzy uwierzyli w jego posłannictwo. Abraham Jachim, jeden ze zwolenników Sabataja, odnalazł nawet jakąś starą przepowiednię, która jakoby miała wskazywać na prawdziwość słów Sabataja. Ważnym wydarzeniem w biografii „mesjasza” były jego zaślubiny z Torą. Odbłyły się one w Salonikach w synagodze. By to symbol, który wywarł na wszystkich obecnych wielkie wrażenie. Po tym wydarzeniu rabini w Salonikach wyklęli go. Sabataj udał się do Jerozolimy. Należy zauważyć, że Jerozolima w tym czasie była miejscem biedy i ucisku ludności. Na pozycję Sabataja Cwi wpłynął fakt, że w momencie, gdy basza jerozolimski nałożył na Żydów wysoką kontrybucję – wówczas Cwi udał się do Kairu, do bogatego dzierżawcy cel, Rafaela Chelebi. Od niego otrzymał wsparcie finansowe dla gminy. Także w domu Chelebaja poznał piękną Sarę, która żyła w przeświadczeniu, że jest przeznaczona na małżonkę dla Mesjasza żydowskiego. Sara pochodziła z Polski. Została wcześniej osierocona, gdy jej rodzice zginęli podczas rzezi kozackiej na Ukrainie. W późniejszym okresie uciekła z klasztoru, gdzie po śmierci rodziców została umieszczona. Schroniła się na cmentarzu żydowskim. Uważa się, że życie klasztorne oraz przebyte cierpienia wycisnęły na jej psychice piętno mistyczne. Bowiem była ona przekonana, że jest jedyną kobietą, która może zostać żoną Mesjasza. Gdy dowiedziała się, że Sabataj Cwi przebywa w Kairze, pojechała tam i oddała mu swoją rękę.

Poślubiwszy Sarę, Sabataj postanowił wrócić do Jerozolimy. Droga wiodła przez Gazę; tam zdarzyło się coś, co miało radykalnie odmienić jego życie... W zadziwiających okolicznościach poznał młodego rabiego z jerozolimskiej szkoły talmudycznej. Był nim Natan z Gazy. Uważam, że wpływu tego człowieka na rozprzestrzenianie się ruchu sabataistycznego na całym świecie nie sposób przecenić. Natan intensywnie studiował Talmud i mistykę kabalistyczną swoich czasów. W marcu

1665 roku miał widzenie, w którym Sabataj Cwi, zapewne często widywany przezeń na uliczkach Jerozolimy, ukazał mu się jako zbawca. Zobaczywszy Sabataja stał się jego najwierniejszym sługą, głosicielem jego sławy, najgorliwszym wyznawcą, największym prorokiem. Razem z „mesjaszem” głosili radość życia i zjednoczenie, pojednanie się z Bogiem przez uczucie, przez ekstazę religijną.

Nasuwa się pytanie: czy Natan z Gazy miał wpływ na duchowe powstanie „mesjasza”?

Uwazam, że miał wielki wpływ. Jestem skłonna, po dokładnym przestudiowaniu opracowań i dostępnych mi źródeł, przychylić się do hipotezy wysuniętej przez Gershoma Scholema, który uważał, że to dopiero Natan z Gazy przekonał dużo starszego od siebie człowieka, który wątpił sam w siebie i walczył w duszy z demonami – o prawomocności jego powołania. To także Natan z Gazy rozwinął aktywną działalność jako prorok mesjasza, powodując wielką erupcję mesjanizmu. Bowiem pojawienie się prawdziwego proroka uwiarygodniło w oczach Żydów z diaspory postanie zbawiciela. To także on rozpisywał płomienne listy do gmin całego świata, w których objawił „dobrą nowinę”. Zdaje sobie sprawę, że dziwnym wydało się może tak entuzjastyczne i pełne szczerej wiary przyjęcie „Mesjasza”. Sytuacja jednak stanie się możliwsza do zrozumienia, jeżeli weźmie się pod uwagę fakt, że okres ten to czas największego nieszczęścia i cierpienia Izraela. Wszędzie bowiem czekano na objawienie, a wiara sięgała tak głęboko w życie codzienne, że czyniono powszechnie przygotowania do drogi do Jerozolimy. Biedni byli od razu gotowi do drogi, bogaci zaś z uwagą i wielkim zainteresowaniem śledzili dalszy ciąg wypadków.

Ruch błyskawicznie ogarnął żydowskie gminy od Jemenu i Persji aż po Anglię, Holandię i Polskę. Rozprzestrzenianie się sabataizmu spowodowało niebywałe uniesienie, tworząc duchową rzeczywistość podobną ekstazie religijnej, której „w starych księgach rabini nie przewidywali”. Już we wrześniu w 1666 roku sytuacja odmieniła się radykalnie. Sabataj Cwi został wezwany przed oblicze sułtana, przed którym miał potwierdzić prawdziwość swego posłannictwa. Gdy jednak stanął przed wyborem: śmierć męczeńska w imię mesjańskiego posłannictwa a przejście na islam – cóż uczynił „mesjasz”?

Wybrał apostazję z judaizmu. Co nam może wydać się absurdalne, dla niego było „ostatnim krokiem świętego grzechu”; apoteozą konieczną do potwierdzenia jego roszczeń mesjańskich.

... I stało się coś niesłychanego. Wielu wyznawców Sabataja Cwi było gotowych zaakceptować ten krok, wręcz zdradę judaizmu, jakoby szukając oparcia w starych księgach. „Prawowierni”, takim mianem określali siebie sabatajczycy, dopatrywali się bowiem w starych pismach i dokumentach tradycji słów, które potwierdzałyby konieczność apostazji mesjasza. Dlaczego tak się stało?

Gershom Scholem, na którego autorytecie się opieram, uważa, że siła mesjańskiego wybuchu była tak wielka, że nawet apostazja z judaizmu i przejście na islam nie doprowadziły do załamania gorączkowych i pełnych nadziei oczekiwań.

Myślę, że niezwykle interesująca jest kwestia Sabataja Cwi jako człowieka, który uwierzył we własne posłannictwo. Kim naprawdę był lub czuł się ten człowiek, którego postać tak mroczna i dwuznaczna fascynowała i intrygowała?

Według wielu badaczy ruchów mesjanistycznych sabataizm jest jedną z najbardziej interesujących zagadek kultury żydowskiej. Myślę, że tajemnica ta zahacza także o problem psychiki ludzkiej. Co sprawiło, że taki człowiek mógł stać się centralną figurą ruchu mesjańskiego? Nie ma jednoznacznej odpowiedzi.

Sabataj Cwi był „osobliwym świętym”, bardzo odległym od typu świętego, jaki mógłby zaakceptować konserwatywny Żyd. „Nie był to mesjasz, który spełniał tradycję w sensie konserwatywnym.” Niektórzy z badaczy uważają, że człowiek ten cierpiał na zaburzenia równowagi psychicznej, miewał się między szczytami uniesień a otchłaniami melancholii, zależnie od raptownie zmieniających się faz maniakalno-depresyjnych. Tak określa Sabataja Cwi między innymi Scholem, ale znajdują się także obrońcy pseudomesjasza. Izaak Lewin w swoim esej „Koniec mesjasza” nawiązuje do czteroaktowego dramatu „Koniec mesjasza” wybitnego, przedwcześnie zgasłego polskiego poety J. Żuławskiego. Dramat ten ukazuje człowieka o ogromnym zasobie wiary w samego siebie i w swoje posłannictwo. Jego wystąpienie należy uznać za cel, a nie drogę do celu prowadzącą. Sabataj Cwi Żuławskiego nie jest szarlatanem. W takim ujęciu upadek mesjasza okazuje się rezultatem wewnętrznego konfliktu bohatera, a nie sytuacji zewnętrznej. Żuławski przyznaje Sabatajowi niezwykłą wolę wybawienia narodu.

„Zdaje mu się, że jest Bogiem na ziemi i wierzy, że zmusi Tego, który jest w niebie, do użyczenia mu potrzebnych sił.” (Lewin)

Podsumowując: sabataizm powstał jako ruch heretycki w obrębie judaizmu z czasem przyjął formę sekty działającej w podziemiach getta. Mimo to zwolennicy Sabataja obecni byli w Europie Wschodniej i środkowej aż do początków ery emancypacji. W Turcji ruch ten przetrwał do naszych czasów. Sabataj Cwi w ostatnich latach swego życia wiódł podwójne życie jako żyd i jako muzułmanin.

W czym tkwił jego błąd? Myślę, że choć posiadał on niezwykle żywą wyobraźnię i ogromny wpływ na krąg najbliższych osób, nie potrafił przekazać swoich wyobrażeń w sposób tak sugestywny, jak czynił to Natan z Gazy i twórca literatury, których zafascynowała jego postać.



Joanna Malarczyk*

Śmierć w wierzeniach i obyczajowości Żydów

W biografie człowieka już od dnia narodzin wpisana jest śmierć. Śmiało można powiedzieć, iż jest ona jedyną pewną rzeczą, która nas spotka. Wszelkie przecież przewidywania mogą okazać się błędne, a najmisterniej nawet snute plany mogą nigdy nie zostać zrealizowane, za to śmierć przyjdzie zawsze, nigdy nas nie zawiedzie. Przedzej czy później osiągnie każdego: zarówno biedaka, jak i bogatego, nic nie znaczącego żebraka i dygnitarza. Starców na równi z młodymi pociąga w swoim korowodzie – zupełnie jak w średniowiecznym *dance macabre*.

Pomimo swej nieuchronności i powszechności śmierć była, jest i pozostanie jedną z największych tajemnic dla człowieka. Spór o to, czy jest końcem, czy też początkiem, a może przejściem do innego życia będzie trwał zawsze. Rozstrzygnąć mogliby go tylko zmarli, gdyż jedynie oni dostąpili łaski poznania. Ci jednak nie mogą podzielić się swą wiedzą z żywymi.

Odwieczna zagadkowość i tajemniczość, mistycyzm i transcendencja to źródło wpisanego w kulturę wielkiego różnicowania wyobrażeń śmierci. Każda z religii i kultur wypowiada się na temat jej istoty i genezy w sposób odmienny. Różne były i są również poglądy na to, co po śmierci dzieje się z człowiekiem.

Ze śmiercią nierozzerwalnie wiążą się różnego rodzaju obrzędy i zwyczaje, jak te związane z grzebaniem albo paleniem ciał, z żałobą. Każdy lud na przestrzeni wieków wykształcił swoisty rytuał postępowania ze śmiercią, Philippe Aries – autor książki 'Człowiek i śmierć' – nazwał go próbą oswojenia tego, co niepoznawalne.

Celem niniejszego artykułu jest przybliżenie rytuału związanego ze śmiercią, wytworzonego przez naród żydowski w czasie jego wielowiekowej historii – zwłaszcza na ziemiach polskich.

* Autorka pracy zajęła II miejsce w Ogólnopolskim Konkursie „Historia i Tradycja Żydów Polskich” w roku szkolnym 1994/95.

Wierzenia

Ludzie bardzo przyzwyczajają się do swego ziemskiego życia, myśl o tym, że prędzej czy później muszą umrzeć napęłnia ich strachem. Często tłumaczą sobie, że taka jest kolej rzeczy – ludzie rodzą się, żyją a potem umierają, po nich przychodzą następni i koło się zamyka. Jednak niekiedy wymyka się im pytanie – „Dlaczego?”

O genezie śmierci, a ściślej o przyczynie śmiertelności gatunku ludzkiego mówi Pismo Święte – w Księdze Rodzaju.

Adam i Ewa mieszkając w Raju wolni byli od śmierci dzięki rosnącemu tam Drzewu Życia, którego bliskość gwarantowała im życie wieczne. Złamanie Bożego zakazu – spożycie owocu Drzewa Poznania Dobra i Zła spowodowało utratę nieśmiertelności:

„Pan Bóg rzekł: Oto człowiek stał się taki jak My: zna dobro i zło, niechaj teraz nie wyciągnie przupadkiem ręki, aby zerwać także owoc życia, zjeść go i żyć na wieki.”

(Rdz 3, 22)

„Do mężczyzny zaś rzekł: Ponieważ posłuchałeś swej żony i zjadłeś z drzewa, co do którego dałem ci rozkaz w słowach: Nie będziesz z niego jeść – (...) W pocie oblicza twego będziesz musiał zdobywać pożywienie, póki nie wrócisz do ziemi, z której zostałeś wzięty, bo prochem jesteś i w proch się obrócisz”

(Rdz 3, 17-19)

Zgodnie zatem z przesłaniem biblijnym śmierć jest karą za grzech pierworodny i jednocześnie symbolem winy człowieka, odrzucenia przez niego stanu pierwotnej szczęśliwości i wyraźnym objawem upadku rodzaju ludzkiego.

Po fakcie wygnania z Raju śmierć była nie tylko nieuchronna, ale przychodziła też coraz szybciej. Człowiek pogrążając się w grzechu i występku powoli tracił kolejną cechę przodków – długowieczność. Przypomnijmy, że „ogólna liczba lat, które Adam przeżył, była dziewięćset trzydzieści.” (Rdz 5, 5).

Wiara w to, że śmierć nie jest końcem istnienia (a jedynie zamyka jego ziemski etap i jest drogą do innych form egzystencji) znalazła swoje odzwierciedlenie na kartach Talmudu, pism filozoficznych, a nawet w wyrażeniach używanych na określenie cmentarza, na przykład żydowskie „gute ort”, czyli dobre miejsce, hebrajskie „bet olem” – dom wieczności oraz „bet haïim” – dom żyjących. Wiara ta stanowi swego rodzaju ewenement wśród innych wierzeń tego narodu, nie znajduje sobie bowiem szerokiego poparcia w Piśmie. W Księdze Ezechiela znajduje się zapowiedź:

„Tak mówi Pan Bóg: Oto otwieram wasze groby i wydobywam was z grobów waszych, ludu mój, i wiodę was do kraju Izraela, i poznacie, że Ja jestem Pan, gdy wasze groby otworzę i z grobów was wydobędę, ludu mój. Udzielę wam mego ducha po to, byście ożyli, i powiodę was do kraju waszego, i poznacie, że Ja, Pan, to powiedziałem i wykonałem.”

(Ez 37, 12-14)

Są jeszcze nieliczne wzmianki na kartach Pierwszej Księgi Królewskiej i w niektórych Psalmach. Ponieważ gros ich znajduje się w Talmudzie, uczeni przypuszcza-

ją, iż załączki wiary w przyszłe życie zostały włączone w kanon tradycji wraz z końcem VI w. p.n.e. i wiążą się z tragedią narodową, jaką było zburzenie państwa izraelskiego, spalenie Pierwszej Świątyni przez Nebokadnezara i masowe uprowadzenie do Babilonu (586r. p.n.e.). W historii wielu narodów potwierdza się prawidłowość, że w naprawę trudnych chwilach nagle ze zdwojoną siłą powstaje i odżywa wiara w życie pozagrobowe jako swego rodzaju pocieszenie.

Być może z powodu braku w piśmie „jedynie prawdziwej” wizji przyszłego życia pojawiły się nader zróżnicowane opinie na ten temat.

Największą popularnością cieszyło się przekonanie, że dusza ludzka w momencie zgonu opuszcza ciało i udaje się do miejsca zwanego Szeol lub Gehinom, które można porównać z czymś pomiędzy chrześcijańskim czyśćcem i piekłem. Większość zmarłych spędza tu najwyżej dwanaście miesięcy, podczas których obmywają się z grzechów w rzece ognia. Wielkich niegodziwców wtrącano tam na czas nieokreślony. Jednak i oni mają chwile wytchnienia: szabat i święta – kiedy to gasną ognie piekielne. Kara wymierzana w Gehinom zależy od rodzaju grzechów danej osoby. (Niektóre z nich są bardzo wymyślne np. za złośliwe plotkowanie wisi się na własnym języku).

Wiara w Gehinom znajduje odzwierciedlenie w Talmudzie:

„Synowie Izraela i innych ludów, którzy zgrzeszyli cieleśnie, strąceni są do piekieł i skazani na dwanaście miesięcy. (...) Ale odstępcy, donosiciele i niewierzący, którzy sprzeniewierzyli się Torze (...) – strąceni są do piekieł na wieki: piekło się skończy, ale oni nie”.

Równie powszechny jest jednak pogląd, że po nadejściu Mesjasza owi potępienicy zostaną uwolnieni i przyprowadzeni przed oblicze Boga. A jak będzie tam? O tym mówi następujący fragment Talmudu:

„Przyszły świat jest nie podobny do tego świata. Nie ma w nim jedzenia ani picia, ani prokreacji, nie ma załatwiania interesów, zazdrości nienawiści ani współzawodnictwa. Są tylko sprawiedliwi siedzący w koronach na głowach i rozkoszujący się blaskiem Szechiny”.

W judaizmie z tematem śmierci łączy się również wiara w nadejście dnia sądu ostatecznego połączonego z przyjściem Mesjasza. W dniu śmierci dusza człowieka zostaje zbawiona lub potępiona indywidualnie. W dniu sądu ma nastąpić zmartwychwstanie ciała, sąd i zbawienie zbiorowe.

Sądu ostatecznego nie można tu utożsamiać z końcem świata, albowiem przyszły świat to ta sama ziemia a jedynie z gruntu zmieniona i uświęcona. Gdyby w dniu sądu świat miał zginąć, a człowiek znaleźć ratunek w niebie, oznaczałoby to negację ziemi, będącej przeciwieństwem Boga. Przyszły świat ma być spełnieniem Jego twórczych zamierzeń. Człowiek stanie się ponownie nieśmiertelny żyjąc we wspólnocie – przed Bogiem, w obliczu Boga i z pełną wiedzą o N i m.

Wśród pewnych kręgów żydowskich zdobyła popularność teoria wędrówki dusz, choć wydawałoby się, że wiara w reinkarnację charakterystyczna jest tylko dla religii Dalekiego Wschodu. Naukę o transmigracji – ponownym wcielaniu się w inny

kształt fizyczny: postać ludzką, zwierzęcą czy też przedmiot nieożywiony – głosił Anan ben Dawid, założyciel karaimizmu. Co prawda żydowscy filozofowie poddali ją krytyce, jako sprzeczną z wiarą ortodoksyjną, nie przeszkodziło jej to jednak zakorzenić się w kabalistyce. Po raz pierwszy opisano ją w Sefer ha-Bahir – pierwszej księdze kabały.

Dzięki teorii o wędrówce dusz wiele przejawów życia zyskiwało nowy sens. Łatwiej było pogodzić się z cierpieniem niewinnych i tak np. śmierć małych dzieci stała się mniej tragiczna, skoro ponosiły widać karę za grzechy popełnione w poprzednim wcieleniu, a i tak odrodzą się do nowego życia. Ludziom niegodziwym dopisywało szczęście, ponieważ czynili dobro w poprzednim życiu. Prozelici przechodzący na judaizm mieli żydowskie dusze wcielone jedynie w ciała nie-Żydów. Dobre uczynki prowadzą do odrodzenia się w postaci ludzkiej, złe skazują duszę na pobyt w zwierzęciu zależnie od rodzaju grzechów. Tak więc może się okazać (zgodnie z tą teorią), że krążący wokół nas owad jest wcieleniem duszy naszego znajomego z przeszłości lub... poprzedniego życia.

Mówiąc o wierzeniach i poglądach na przyszłe życie, obracamy się jednak wciąż w kręgu niedocieczonej tajemnicy, gdy tymczasem śmierć z całym jej brutalnym realizmem, wkracza do każdego domu...

Zwyczaje i tradycja

Śmierć przepełniała członków rodziny żydowskiej niemal zabobonnym lękiem, dlatego też unikano wszystkiego, co ją przypominało lub bezpośrednio się z nią łączyło. Z tego powodu niezmiernie rzadko możemy się spotkać z testamentem pisanym przez Żyda. Nawet bogaci przeważnie nie ważyli się na sporządzenie takiego dokumentu, aby przypadkiem nie skusić losu.

Gdy w domu znajdował się ktoś, o kim wiadomo było, że bliski jest śmierci, nie wolno było dać mu tego do zrozumienia. Składając umierającemu propozycję wyznania grzechów, co zapewniłoby mu udział w przyszłym życiu, należało zawsze podkreślić, że wielu takich, którzy to uczynili, żyje do dziś i ma się dobrze. Poza tym takiemu człowiekowi nie można było dokuczać, aby w żaden sposób nie przyspieszyć jego zgonu. Czyn taki traktowany był na równi z morderstwem. Podobnie zapamiętywano się na przygotowywanie żywego jeszcze człowieka do pochówku poprzez mycie, namaszczenie wonnościami, przygotowywanie śmiertelnej koszuli i całunu, kopanie mu grobu itd. Czasami starano się śmierć oszukać. Wierzono, iż jest to możliwe, gdyż Anioł Śmierci, którego wyobrażano sobie jako postać z zakrytymi oczyma i zatrutym mieczem w dłoni, łatwo się myli. Przede wszystkim zna on ludzi tylko z imienia i nazwiska, zatem dla wprowadzenia go w błąd można było spróbować nadać choremu dodatkowe imię, by anioł nie mógł rozpoznać swojej zamierzonej ofiary. Innym wybiegiem było „sprzedawanie” dziecka na czas choroby innym rodzicom. Moc Anioła Śmierci można było także zniwelować rozdając jałmużnę ubogim lub studiując Torę. Legenda mówi, że król Dawid wiedział, iż umrze w Sza-

bat, poświęcał więc wszystkie piątkowe wieczory i soboty na zgłębianie Pisma, a umarł tylko dlatego, że Anioł Śmierci zdołał odwrócić jego uwagę.

Śmierć wśród Żydów nabrała charakteru publicznego, dokonywała się w obecności rodziny i przyjaciół otaczających łóżko chorego. Kiedy Anioł Śmierci upuścił krople trucizny ze swego miecza na język umierającego, ten dokonywał swego żywota i dusza opuszczała jego ciało wraz z ostatnim tchnieniem. W momencie gdy to się stało, wszyscy obecni wypowiadali formułę:

„Błogosławiony niech będzie prawdziwy sędzia” („Baruch dejjan haemet”). Po czym jeden z synów (o ile był obecny) zamykał zmarłemu oczy. Ciało przenoszono na podłogę pokrytą słomą lub tkaniną. Przy głowie ustawiano świece – symbol duszy – które płonęły aż do zakończenia ceremonii pogrzebowych. Czasami stawiano przy zmarłym misę z wodą i kawałek lnianego płótna, aby dusza opuszczająca ciało mogła się obmyć i wytrzeć. Zgodnie z tradycją biblijną rodzina na znak żałoby rozdzierała bądź naciniała na sobie ubranie, stąd przysłowiowe już rozdzieranie szat. Jedną z pierwszych czynności, jaką należało natychmiast uczynić, było opróżnienie wszelkich naczyń zawierających wodę. Obawiano się, że Anioł Śmierci obecny w domu mógłby ją zatruć, oplukując w niej miecz, którym przerwał życie zmarłego. Wypicie takiej wody byłoby niebezpieczne dla domowników.

Halachiczny zakaz nie pozwalał na długie przetrzymywanie ciała w domu, wynikał on z przekonania, że dusza człowieka nie pogrzebanego nie może zaznać spokoju i wkroczyć w nowy etap życia.

Nakaz pogrzebu „blisko zgonu” nie obowiązywał jednak w każdej sytuacji. W niektórych przypadkach względy osobiste bądź wymogi religijne nakazywały przedłużenie tego okresu o dzień lub dwa. Na przykład prędko pogrzeb rodziców byłby objawem braku szacunku wobec nich. Poza tym pochówek nie mógł się odbyć w czasie Szabatu lub innych dni świątecznych. Gdy zgon nastąpił na krótko przed takim świętem, czynności pogrzebowe ograniczano do niezbędnego minimum lub też praktykowano pochówek tymczasowy – zmarłego chowano w pobliżu najbliższego wzgórza, a po święcie dokonywano ekshumacji i przeniesienia ciała w miejsce stałego spoczynku.

Wyłączając jednak owe szczególne sytuacje zazwyczaj od razu po śmierci przy łóżku zmarłego pojawiali się członkowie bractwa pogrzebowego. Najczęściej nosiło ono nazwę Chewra Kadisha – Święte Bractwo, chociaż nie było to regułą, zdarzały się i inne nazwy, na przykład lubelskie Chewra Nosim – ‘Stowarzyszenie Odprowadzających Ciała’. Do jego obowiązków należało przygotowanie ciała do pochówku, odprowadzenie do grobu i pogrzebanie. Przynależność do takiego stowarzyszenia uważana była za wielki honor i zaszczyt. Zgodnie z przepisami religijnymi zmarłego należało dokładnie oczyścić poprzez rytualne obmycie – kilkakrotne zanurzenie ciała w określonej ilości wody, ewentualnie polewanie specjalną chochlą. Oczyszczeniu podlegało też wnętrze zmarłego w dosłownym tego słowa znaczeniu, zabieg ten polegał na wypłukaniu z przewodu pokarmowego pozostałych tam resztek. Dokonywano również toalety włosów, brody i paznokci. Kolejność wszystkich tych czynności i

towarzyszących im modlitw była precyzyjnie ustalona i musiała być ściśle przestrzegana. W niektórych gminach wymagano od członków bractw pogrzebowych posługiwania się podczas ceremonii oczyszczania wyłącznie językiem hebrajskim – jako mową świętą.

Kolejną czynnością było ubranie zmarłego w białą koszulę śmiertelną i płócienne nogawice. Strój ten tzw. „ketonet” był bardzo skromny, wręcz zgrzebnny, co jest pewnym przeciwieństwem do tradycji chowania człowieka w jego najlepszych szatach wykształconej w wielu innych kulturach. Wynika to bezpośrednio z zakazu talmudycznego: *„Kto ubiera zmarłego w wiele sztuk odzienia narusza przepis mówiący nie niszczy, bezczęści go, pomnaża robactwo”*. W czasach bardziej nam współczesnych, zwłaszcza wśród chasydów, upowszechnił się zwyczaj chowania zmarłych w szatach, które nosili za życia w chwilach szczególnie uroczystych.

Aż do wieku XIX nie używano trumien, ciało owijano białym całunem i na marach niesiono na cmentarz. Wynikało to z powszechnego przekonania, które spisano też w Talmudzie, że ciało zmarłego doznaje bólu w trakcie procesu rozkładu. Cierpienie to łagodził dopiero bezpośredni kontakt z ziemią. Późniejsze trumny zaopatrywano w szereg otworów, dzięki którym zwłoki dotykały ziemi w sensie dosłownym. Całun lub trumnę umieszczano na marach niesionych z reguły przez sześć osób. Procesja pogrzebowa zaczynała się z domu zmarłego i wiodła bezpośrednio na cmentarz. Specyficzną cechą żydowskiej procesji pogrzebowej był obyczaj częstych zmian osób niosących mary. By możliwie jak największej liczbie osób zapewnić wymaganą przez nakazy wiary możliwość współuczestnictwa w obrzędach pogrzebowych, procesja zatrzymywała się, w przypadku niewielkiej odległości od cmentarza nawet co kilka kroków – mary kładziono na drodze lub ulicy miasta i dokonywano wymiany. Przerwom tym towarzyszyły opłakiwania i lamenty, czasem również krótkie mowy wychwalające cnoty i zasługi zmarłego. Stąd dziwne nieraz, szczególnie dla chrześcijan, wrażenie teatralnego, niemal tanecznego korowodu, jakie sprawiał żydowski orszak pogrzebowy.

Po przybyciu na cmentarz, nad otwartym grobem wygłaszano mowę pogrzebową, po czym następowało złożenie ciała do grobu i końcowy fragment modłów pogrzebowych – Kaddisz. Zasypanie mogiły odbywało się bądź w obecności krewnych i rodziny zmarłego, bądź po ich odejściu z cmentarza. Kolejność tych czynności nie była obowiązkowa, zdarzało się bowiem, że Kaddisz odmawiano dopiero po przysypaniu mogiły ziemią, czasami rodzina i inne bliskie zmarłemu osoby odprowadzały ciało jedynie do bramy cmentarza, pozostawiając dalsze czynności bractwu pogrzebowemu.

Grób nie był zbyt głęboki, sięgał najwyżej jednego metra w głąb ziemi. Jeżeli nie używano trumny, często wykładano dół deskami z boków i od spodu, a niekiedy też z wierzchu. Zmarłego układano twarzą do Jerozolimy, czyli głową na zachód. Wszystkie te zabiegi (płytki, odpowiednio zorientowany przestrzennie grób, brak trumny) wynikały z wiary w zmartwychwstanie w dniu nadejścia Mesjasza i konieczności powrotu do ziemi obiecanej, miały ułatwić spełnienie tego obowiązku.

Podczas badań archeologicznych na starych cmentarzach w Lublinie i Wyszogrodzie ujawniono istnienie obrzędów, o których do tej pory nie wiadano. Okazało się, że bardzo często zmarłym zakrywano oczy kawałkami naczyń glinianych. Zabieg ów mógł oznaczać chęć magicznego wzmocnienia zamknięcia oczu zmarłego tuż po zgonie. Wynikało to z przekonania, iż nawet śmierć nie jest w stanie pozbawić człowieka doczesnych pragnień, za siedlisko których uważano właśnie oczy. Należało mu je więc zamknąć, albowiem jak mówi Talmud „*oczy ludzkie nigdy nie są nasycone*”.

Oryginalnym zwyczajem, którego poznanie zawdzięczamy również badaniom archeologicznym na cmentarzach wyżej wymienionych, było wkładanie do grobu kłódki. Ich obecność w okolicach głowy świadczyć może o tym, że pierwotnie leżała ona na ustach zmarłego. Prosta interpretacja prowadzi do konkluzji, iż zapewne chciano w ten sposób zamknąć zmarłemu usta, „*by nie mówił na tamtym świecie, co się tutaj dzieje*”. Można jednak doszukać się głębszych przyczyn. Przykrywanie oczu i ust zmarłego skorupkami, zamykanie mu ust albo, jak sądzą niektórzy, całego grobu na kłódkę interpretować można jako przejaw usilnych starań odizolowania umarłych od świata żywych i powiązać z powszechnym w pewnych kręgach przekonaniem, iż zmarli są zupełnie świadomi tego, co się wokół nich dzieje.

W wielu odkrytych grobach znajdowano stare – już nie używane za życia osoby pochowanej – monety. Stanowiło to wielką zagadkę dla naukowców, gdyż w żydowskich wierzeniach o przyszłym życiu nie ma żadnych wzmianek o pieniądzach, jak miało to na przykład miejsce w wyobrażeniach starożytnych Greków. Wyszło w końcu hipotezę, że być może zwyczaj ten stanowił nawiązanie do praktykowanego niekiedy przez Żydów dawania sobie starych monet „na szczęście”. Za taką interpretacją przemawiać może fakt, iż owo zawołanie, po hebrajsku: „*mazłtow*”, rzeczywiście pojawia się w obrzędowości związanej ze śmiercią. Wypowiadali je obecni przy stawianiu macewy na grobie zmarłego. Moment ten uważano za bardzo uroczysty i radosny. Macewę stawiano bowiem nie bezpośrednio po śmierci, ale co najmniej rok później, w czasie, kiedy dusza zmarłego przeszła już przez wszystkie etapy oczyszczenia.

Po dopełnieniu obowiązków związanych z pogrzebem wszyscy biorący w nim udział udawali się do domu żałobników, gdzie brali udział w tradycyjnym posiłku – stypie. Składał się on z chleba, jaj (symbolu życia i śmierci) oraz napitku. Często goście pozostawali dłużej w domu zmarłego, aby wziąć udział w modłach rozpoczynających okres żałoby.

Talmud dzielił żałobę na cztery oddzielne okresy i ustalał czas jej trwania. Pierwszy z nich – „*aninut*”, żałoba w odosobnieniu – trwał od chwili śmierci do pogrzebu, drugi – „*sziw-ah*” – trwał siedem dni następujących po pochówku, po nim następował „*szelosim*” – trwający trzydzieści dni. Żałoba kończyła się po upływie jedenastu miesięcy od śmierci bliskiego.

Od zgonu bliskiego, po rozdarcie szat członkowie rodziny powinni przebywać w całkowitym odosobnieniu aż do chwili pogrzebu. W tym czasie nie wolno wykonywać żadnych, nawet najlżejszych prac, zakazane jest noszenie wszelkich ozdób.

Żałobnicy powinni nosić ciemne, najlepiej czarne stroje. Nie można również odmawiać modlitw.

Siedem dni po pogrzebie żałobnik miał obowiązek ciągłej modlitwy i pozostawiania w domu. Nie mógł się wtedy myć, ścinać włosów, nosić butów, studiować Tory ani zażywać żadnych przyjemności. Zabronione było jedzenie mięsa i picie wina.

Następne dni trzydzieści to okres tzw. żałoby połowicznej. Wtedy można było już wrócić do normalnych, codziennych zajęć, choć ścięcie włosów, noszenie nowych ubrań czy też zajmowanie zwykłego miejsca w synagodze nie było jeszcze dozwolone. Po tym okresie dalsza rodzina mogła przerwać żałobę. Jednakże dzieci, a zwłaszcza synowie, „musiały” opłakiwać rodziców przez cały rok, a właściwie jedenaście miesięcy. W tym czasie często zbierano się, by odmówić Kaddisz. Modlitwa ta wysławia Boga i zawiera prośbę o pokój i dobre życie, nie jest natomiast, jak to się często zwykło przyjmować, modlitwą za zmarłych. Jest raczej wyrazem podporządkowania się wyrokom Boskim, okazaniem, że pomimo świeżo poniesionej straty osoby bliskiej, pragnie się nadal sławić Najwyższego.

Według wierzeń dusza podlega oczyszczeniu, które w przypadku ludzi złych trwa rok, stąd zwyczaj odmawiania Kaddisz przez jedenaście miesięcy. Robienie tego o miesiąc dłużej sugerowałoby, że zmarły był człowiekiem niegodziwym.

Wraz z zakończeniem żałoby i wystawieniem macewy nie kończyła się oczywiście pamięć o zmarłym. Obowiązkiem synów było odwiedzenie grobu rodziców w każdą rocznicę śmierci i odmówienie Kaddisz oraz zapalenie specjalnej świecy, która płonie przez dwadzieścia cztery godziny, przypominając, że „lampą Pańską jest duch człowieka” (Prz 20, 27). Nawiedzenie cmentarza w Pesach, Święto Tygodni, Jom Kippur oraz 8 dnia Święta Namiotów świadczyło o wielkiej pobożności i szacunku dla przodków. Na grobach zapalano świece i układano kamyki, co nawiązywało do pradawnej tradycji usypywania kopców na mogiłach, nie było zwyczaju kładzenia kwiatów. W okresie międzywojennym, kiedy część Żydów zasymilowała się, na klepsydrach Żydów ortodoksyjnych pojawiały się prośby o „uprzejme nie składanie kwiatów”.

Odrębnym zwyczajem były pielgrzymki do grobów wielkich rabinów, uczonych czy też chasydzkich cadyków - „sprawiedliwych”. W żałomach ich nagrobków często zostawiano karteczki z życzeniami, czyli „kwitlech”. Najczęściej proszono o zdrowie, szczęście, „powodzenie w sprawach wszystkich” i „zapał w nauce świętej Tory”. Wierzono, że znany ze swej pobożności zmarły łatwiej może wyprosić u Boga ich spełnienie.

Cmentarz

I tak oto prześledziwszy wszelkie zwyczaje i obrzędy żydowskie związane ze śmiercią dochodzimy do cmentarza – miejsca nierozzerwalnie związanego z tematem śmierci. Każda gmina posiadała swój kirkut. Jego brak oznaczał konieczność przewiezienia ciała do najbliższego kahału, przy którym takowy się znajdował. Ciało Żyda musiało bowiem spocząć w ziemi do tego specjalnie przeznaczonej.

Cmentarz był wśród Żydów, podobnie zresztą jak i wielu innych społeczności, miejscem otaczanym szczególnym kultem. Pierwszym tego powodem był szacunek dla zmarłych, drugim bojaźń przed tym, co wykracza poza doczesność – przed śmiercią.

Cześć dla tego miejsca sankcjonowana była odpowiednimi przepisami prawnoreligijnymi. Cmentarz był miejscem nietykalnym; nie miały nań wstępu zwierzęta, nie wolno było przez niego przechodzić w celu skrócenia sobie drogi, także wykonywanie trawy i ziemi cmentarnej objęte było zakazem. Noszenie tałesu i tefilim oraz posługiwanie się Torą było tam zakazane, aby nie zawstydzić zmarłych, którzy już nie mogą tego robić.

Równocześnie jednak cmentarz uznawano za miejsce nieczyste, zamieszkane przez demony. Aby je zmylić, Żydzi wracali z cmentarza inną drogą niż nań przybyli, a w celu oczyszczenia się opuszczając go obmywali dłonie.

Jedno z hebrajskich określeń cmentarza brzmi – „bet kewarot” – dom grobów. Od najdawniejszych czasów z mogiłą żydowską wiąże się nagrobek. Pierwotnie był nim zwykły kamień mający zabezpieczyć grób przed zbezczeszczeniem. Był też znakiem dla kapłanów, by nie przebywali w pobliżu zwłok, gdyż „rzekł Pan do Mojżesza: *Przemów do kapłanów synów Aarona i powiedz im: Niech nikt z nich nie zanieczyści się z powodu zmarłego z jego ludu*”. Z biegiem czasu nagrobki stały się pretekstem do wykazywania się kunsztem artystycznym, do tego stopnia, iż jeden z wersetów talmudycznych mówi: „*Grobowce judejskie są od pałaców królewskich wspanialsze*”.

Najpowszechniejszą formą pomnika nagrobnego stała się na ziemiach polskich macewa, jest ona dzisiaj dla nas niemal symbolem cmentarza żydowskiego.

Nie od razu i nie wszędzie przyjęła macewa kształt z jakim dziś się powszechnie kojarzy – prostokąta z półkolistym zwieńczeniem, na którym znajduje się symboliczna płaskorzeźba. Pierwsze były bardzo skromne, miały formę prostokątnych tablic bez żadnych zdobiei i zawierały jedynie epitafium. Doskonałym przykładem może tu być XVI wieczny nagrobek Jakuba Koppelmana – najstarszy na cmentarzu lubelskim.

Do końca XVII wieku pojawia się już ozdobne obramowanie napisów, podkreślenie liter i wreszcie zwieńczenie półkoliste, czasem również trójkątne. Płaskorzeźby o symbolicznym znaczeniu wprowadzone zostają na przełomie wieków XVIII-XIX i to też tylko tam, gdzie były ku temu warunki tzn. odpowiedni kamień. Nagrobki lubelskie wykonywano z miękkiego piaskowca, którego dostarczał pobliski Szydłowiec. Ale w Polsce północnej, gdzie znaleźć można jedynie polodowcowe, granitowe głazy narzutowe, nagrobki nie mają nawet czasami kształtu macewy, a o rysunku nie ma już w ogóle mowy – kamień jest zbyt twardy.

Nagrobki wykonywano też z drewna, stawiano je najczęściej najuboższym. Tego rodzaju nagrobki były także na starym cmentarzu w Lublinie, ale do dziś żaden się nie zachował. W XIX wieku, kiedy kościół salezjanów, leżący tuż obok kirkutu, zajęty był przez wojska austriackie, żołnierze zbierali te drewniane macewy z cmenta-

rza i zużywali je na opał. Poza tym drewno nie jest materiałem zbyt trwałym i z upływem czasu samo niszczeje.

Z początkiem wieku XIX na cmentarzach zaczynają pojawiać się nagrobki odlewane z betonu. Te posiadają wiele ozdób, rysunki wykonane są bardzo dokładnie, ale niestety nie przedstawiają one większej wartości artystycznej, są robione według sztamponowych wzorów, odlewane niemal fabrycznie, brak w nich oryginalności.

Najważniejszą, a równocześnie zasadniczą częścią macewy jest inskrypcja nagrobna w języku hebrajskim. Jedynymi informacjami, w które bez żadnych obaw można uwierzyć, są imiona zmarłego oraz data jego śmierci. Nazwiska zazwyczaj nie podawano – w zamian umieszczano imię ojca lub męża w przypadku kobiet np. 'Mirel wdowa po zmarłym Dawidzie, lewicie z Litwy'. Resztę inskrypcji stanowi krótkie epitafium, o którym wszyscy badacze twierdzą, iż zawiera informacje nie tylko o życiu i śmierci zmarłego, co o tym jakie cechy uchodziły w społeczności żydowskiej za najbardziej pożądane i godne pochwały. Anna Kamieńska zauważyła, iż 'takie są konsekwencje nagrobkowych napisów, jakby umierali dobrzy i prawi'.

Niepoehlebne są też opinie o stylu tych krótkich wypowiedzi, które Schiper określa jako 'przeładowane epitetami i przenośniami i często przez to niezrozumiałe'. Jak ułał pasuje tu przykład przytoczony z kolei przez Majera Bałabana: 'Chwała wieku, szklanka manny, koszt książek, nasz nauczyciel, o którego duszę walczą aniołowie niebiescy z ziemianami'.

Dla osoby nie znającej hebrajskiego odczytanie epitafium jest zwyczajnie niemożliwe, lecz spoglądając na symboliczny rysunek zdobiący nagrobek, także możemy dowiedzieć się czegoś o zmarłym. Widząc zatem na macewie charakterystycznie rozłożone dłonie w geście błogosławieństwa, wiemy już, że zmarły był kapłanem lub przynajmniej wywodził się z rodu kohenów – potomków arcykapłana Aarona. Misa i dzban wyrzeźbione są natomiast na grobach lewitów – potomków Lewiego – pomocników kapłanów. Bardzo często na nagrobkach pojawiają się księgi, szafy pełne ksiąg. Zdobia one przede wszystkim groby rabinów, uczonych i kantorów. Nierzadko spotkać się można z symbolem korony, nie jest to motyw jednoznaczny. Zazwyczaj oznacza uczoność i pobożność, ale równie dobrze może symbolizować wierność małżeńską lub głowę rodziny. Na grobach kobiet pojawiają się często pojedyncze świeczniki ze świecami, jako że zapalanie świec szabasowych jest najważniejszą powinnością kobiety żydowskiej. Gdy na nagrobku widnieje puszka ofiarna, oznacza to, iż zmarły odznaczał się hojnością. Częstym motywem są również zwierzęta, nad którymi góruje lew – symbol narodu izraelskiego, lecz także uosobienie siły i potęgi. Wizerunki zwierząt mogą się też odnosić do imion zmarłego np. jeleń to Hirs (żyd.) lub Cwi (hebr.), a wilk to Wolf (żyd.) albo Zeew (hebr.). Przykłady można mnożyć niemal bez końca, gdyż ornamentyka nagrobna w kulturze żydowskiej jest szalenie bogata.

Mówiąc o cmentarzu i macewach warto wspomnieć, iż bardzo często były one polichromowane. Dziś tego już nie widać, gdyż z upływem czasu farba po prostu odpadła, ale zachowały się stare fotografie, rysunki oraz opisy w książkach i publikowanych wspomnieniach. Na podstawie źródeł wcześniej wymienionych, jak też

badan nad resztkami farby, jakie niekiedy znajdują się jeszcze na pomnikach, ustalono, jak pod względem kolorystycznym wyglądała typowa macewa. Część środkowa, ta, na której znajduje się napis, była w tonacji biało-czarnej (białe tło, czarne litery albo odwrotnie). Barwy te interpretuje się jako symbol jasności i ciemności, życia i śmierci. Personalia zmarłego oraz data śmierci zazwyczaj wyróżniały się od reszty tekstu kolorem czerwonym, złotym lub srebrnym. Obrzeże macewy, przybierające zwykle formę kolumn albo pilastrów, malowano na żółto lub brązowo, jako nawiązanie do spiżowych kolumn przedsionka Świątyni Salomona. Półkoliste pole, na którym umieszczano symboliczne płaskorzeźby, zazwyczaj było niebieskie, błękit uważano bowiem za kolor Boga. Kolory symbolicznych wizerunków przedmiotów, roślin i zwierząt najczęściej nawiązywały do ich barw naturalnych.

Macewa nie jest jedynym rodzajem pomnika nagrobnego spotykanym na cmentarzach żydowskich, a ponieważ jest formą najczęściej stosowaną, zwykle zapomina się o innych. Można wyróżnić jeszcze formę tumbi. Jest to nagrobek leżący na ziemi, w kształcie podłużnej kolumny, na której znajduje się napis. Tumbie często towarzyszyła macewa. Kilka grobów tego rodzaju znajduje się na cmentarzu lubelskim.

Nad grobami znacznych osobistości, rabinów, uczonych, cadyków, ale tylko tych naprawdę wybitnych, stawiano ohele. Były to proste murowane budynki z wejściem, w których znajdował się właściwy nagrobek. Mogli się tu schronić pielgrzymi liczący na pomoc czy cudowne uzdrowienie.

Mówię oczywiście o tradycyjnych formach grobów żydowskich, bowiem z początkiem XX wieku pojawiają się nagrobki zawierające jeszcze co prawda elementy właściwe kulturze żydowskiej, ale przypominające już typowe wytwory ówczesnej sztuki kamieniarskiej.

Cmentarz był w kulturze żydowskiej przede wszystkim miejscem spoczynku dla zmarłych, w którym oczekiwali oni nadejścia Mesjasza i zmartwychwstania. Jednak w pewnych momentach dziejowych, nabierał on szczególnego znaczenia. W okresie okupacji, gdy zamknięto wszystkie synagogi, szkoły i uczelnie stał się z konieczności jedynym dostępnym miejscem kultu religijnego. Teraz, po latach dla cmentarzy żydowskich nastał nowy czas. Niewielu jest Żydów w Polsce, wpisane w jej pejzaż cmentarze wyglądają na opuszczone, ale przez to że są, że istnieją, nabrały charakteru nie tylko zabytku, lecz jakby pomnika upamiętniającego naród, który żył na tych ziemiach przez prawie tysiąc lat. Naród, który współtworzył ich klimat i koloryt, walenie przyczynił się do rozwoju nauki, kultury i sztuki, a którego dziś już tu nie ma.

Paradoksalnie, miejsce związane ze śmiercią stało się świadectwem życia.

BIBLIOIOGRAFIA:

1. *Biblia Tysiąclecia*, Poznań – Warszawa, 1980
2. P. Aries, *Człowiek i śmierć*, Warszawa 1989.
3. M. Bałaban, *Historia i literatura, żydowska ze szczególnym uwzględnieniem historii Żydów w Polsce*, Warszawa-Lwów-Kraków 1925.
4. M. Bałaban, *Żydowskie miasto w Lublinie*, Lublin 1991.

5. M. Bąk, *Cmentarze żydowskie w województwie opolskim*, Biuletyn ŻIH nr 4/1984
6. P. Burchard, *Pamiątki i zabytki kultury żydowskiej w Polsce*, Warszawa, 1991.
7. P. Fijałkowski, *Obrządek pogrzebowy Żydów polskich w świetle badań archeologicznych*, Biuletyn ŻIH, nr 3/1989.
8. M. Krajewska, *Cmentarze żydowskie w Polsce: nagrobki i epitafia*, „Polska Sztuka Ludowa”, nr 1-2/1989.
9. M. Krajewska, *Cmentarze żydowskie – mowa kamieni*, „Znak” nr 2-3/1983.
10. J. Olędzki, *Kwilechy z Leżajska. Prośba i dziękczynienie w kultach chasydzkich i katolickich*, „Polska Sztuka Ludowa” nr 1-2/1989.
11. Z. Poniatowski, *Treść wierzeń religijnych*, Warszawa 1985.
12. *Pięć wielkich religii świata*, (red. E. Brunner-Traut), Warszawa 1965.
13. A. Trzciński, *Polichromowanie nagrobków na cmentarzach żydowskich w Polsce południowo-wschodniej*, „Polska Sztuka Ludowa”, nr 1-2/1989.
14. A. Unterman, *Żydzi. Wiara i Życie*, Łódź 1989.
15. A. Unterman, *Encyklopedia tradycji i legend żydowskich*, Warszawa 1994.
16. M. Urbański, *Obyczaje i wierzenia Żydów*, „Mówią wieki” nr 6 i 7/1985.
17. I. Zawadzka, *Cmentarz żydowski w Nowym Wiśniczu*, „Studia Historyczne” nr 2/1993
18. *Z mądrości Talmudu*, opr. S. Datner, A. Kamieńska, Warszawa 1988.

Sławomir Żurek

„AJIN” znaczy „NICOŚĆ”



O pewnym motywie kabalistycznym w poezji Aleksandra Wata

„W pałacu Nicości mieszka Wszystko.”
Józef Taitacak – kabalista (1500 r.)

Aleksander Wat – polski poeta o „obcej” wyobraźni. „Obcej”? Używał języka polskiego, lecz czuł się zakorzeniony w tradycji, w jakiej się urodził. Aleksander Eliasz Chwat. Polski Żyd. Polski poeta o wyobraźni religijnej, wywodzącej się z kręgu biblijnego oraz jego talmudyczno-kabalistycznej interpretacji. Mówił o sobie: „Jestem potomkiem jedenastowiecznego filozofa z Troyes – Raszi, którego aramejskie komentarze do Ksiąg Starego Testamentu dziś jeszcze obowiązują w każdej hebrajskiej edycji Biblii. [...] Pochodzę zatem ze starej rodziny rabinicznej, w XVI wieku mój przodek Izaak Luria odnowił Kabałę, której ojciec mój był najbardziej wtajemniczonym znawcą.” „Potem, w początkach XIX wieku moim przodkiem był Izrael, nie wiem jaki już ‘ben’, cudotwórca z Kozienic, do którego książę Czartoryski jeździł po rady, bo on był jasnowidzem.” Świat żydowski, w którym rodziła się jego wyobraźnia poetycka był światem religijnym. Matka błogosławiąca świece w piątkowy wieczór, ojciec studiujący godzinami zawile, ciemne labirynty tekstów kabalistycznych.

Nam ziemia nie miła. Nas uwodziły
furczące wrzeczona galaktyk
(a mówiąc skromniej:)
iskry z osetki
szlifierza w skórzanym fartuchu
splamionym oliwą. Na sennych
podwórkach dzieciństwa.

„Odjazd Anteusza”

„Na sennych podwórkach dzieciństwa” Aleksandra Wata sypią się luriańskie „iskry” bożego światła, dokonuje się kabalistyczne szwirat ha-kelim – rozbicie naczyń. Wyobraźnia poetky Aleksandra Wata wyraźnie zdradza predylekcję religijną¹.

Aleksander Elias Chwat, podobnie jak reszta polskich Żydów, żył na krawędzi kultur, w sąsiedztwie katolicyzmu, luteranizmu, prawosławia. Jego osobowość, bardzo wrażliwa i chłonna na „światło mistyczne”, zawsze tęskniła do przeżyć głębszych, które gwarantowała religia. Judaizm i chrześcijaństwo stały się dla Aleksandra Wata polami asocjacyjnymi nakładającymi się na siebie wzajemnie, nawet wtedy, gdy był pozornie daleko od świata doznań religijnych, stawszy się zwołennikiem partii komunistycznej. Aleksander Wat wspominał: „(...) – rzuciłem się w komunizm jak w religię (w namiastce) totalną, właśnie dla jej totalizmu.” Po latach gorzkich doświadczeń, rozczarowań, frustracji, świadomość przynależności do świata religijnego pozwoliła mu zaistnieć w literaturze po raz drugi, jako poecie wiary. Poecie o autentycznym doświadczeniu Boga, który wiódł go krętymi ścieżkami historii, wyboistą drogą cierpienia.

Pisać o Bogu. To najważniejsze zadanie, które stawia przed sobą Wat po doświadczeniach komunizmu, sowieckich więzień, rozstań, choroby, bólu, cierpienia.

Pisze o Bogu Żyd. Pisze o Bogu Polak. Pisze o Bogu chrześcijanin. Szyfruje, koduje, proklamuje, wyznaje. Zapis egzystencji. Zapis doświadczenia wiary.

Tu nie istnieje przestrzeń ni wola
tu jest tylko nie-czas, bez-wola
nie-nic i bez-rzecz – miraż i kamień –
Anty-energia w próżni omamień.

Tu jest tylko tautologicznie
nigdy i zawsze i bez-ustawicznie.
Nic nie powstało, nic nie niszczy.
Nic się nie stanie, nic się nie dzieje.

Tu ja nie jestem ja ani nie-ja
tu nie postanie nigdy nadzieja
nie ma tu ruchu ani spoczynku
nie ma odejścia, nie ma ratunku

tu jest tylko bez-chęć i bez-sens
tu jest tylko bez-głos i bez-deń.
Nie ma wyroku. Nie ma oskarżeń.
Oko nie widzi. Ręka nie karze.

¹ W księdze Zohar pojawia się motyw isker w następującym kontekście: „Oto wszelkie zastępy anielskie i ich armie – a zrachować ich niepodobna – różnią się jedne od drugich i wszystkie stworzone zostały w jednej chwili, tak jak spod bijącego młota w okamgnieniu na wszystkie strony wytryskują snopy iskier! W taki to sposób Święty dobywa ku istnieniu rzesze i zastępy najprzeróżniejszych stworzeń. a każde różni się od drugiego, i jest ich bez liku, a wszystkie tworzy w jednej chwili.” (Wajjacje 156) Cytuję za: Ireneusz Kania, *Kabała czyli ku resakralizacji sakralnego*. (w:) Opowieści Zoharu, Kraków 1988, s.7-31. [s.52].

Nawet mniej baczny odbiorca zwróci uwagę na nagromadzone w utworze przeczenia: nie, nic, nigdy, ni... Zabieg ten może zaciekawiać, dziwić, absorbować. Wydawałoby się, że świat przedstawiony w wierszu *** (**Tu nie istnieje przestrzeń ni wola...**), to rzeczywistość bez-Bożna, to świat pogrążony w bez-sensie, bez-woli, chaosie, pustce. Ale przecież mówi Żyd... Wat szyfruje... Píše o Bogu.

Bóg w kabale żydowskiej objawia się jako „Nie”². W całym tekście mówi się więc o Bogu, używając imienia Absolutu nie znanego odbiorcy wywodzącemu się z tradycji biblijnej. Co więcej, określenia te budzą skojarzenia zupełnie odległe, wręcz przeciwstawne. Nicość w topice chrześcijańskiej (poza tradycją mistyczną św. Jana od Krzyża) ma zabarwienie jednoznacznie pejoratywne. W tradycji kabalistycznej tego typu odczyt nie istnieje, gdyż zdaniem Mędrców Kabały łatwiej jest powiedzieć o Bogu czym „nie jest”, niż wyrazić to, czym jest naprawdę. Refleksja ta nawiązuje przede wszystkim do tradycji kabalistyki hiszpańskiej, w której to o Bogu mówi się jako o czystym Nic: „Z perspektywy stworzenia nieskończoność jawi się jako nadbyt nicości – nie jako określenie Boga, lecz jako samo Bóstwo.”³ Mamy więc w wierszu: „nie-czas, bez-wolę, **nie-nic**, bez-rzecz.” Bóg to „Anty-energia w próżni omamień”. „Nic” oraz „Nie” to **kabalistyczne imiona Boga** zaszyfrowane w tekście.

Przedstawioną interpretację, świadczącą o obecności sacrum w liryku, wzmacniają pojawiające się w wierszu biblijne atrybuty Boga: „Oko” i „Ręka”. Lecz „Oko nie widzi.”, a „Ręka nie karze.” Rzeczywistość prezentowana w liryku ma znamiona wieczności, apokalipsy spełnionej, pozbawionej wszelkich realiów ziemskich. Wieczność jest niespójna, nielogiczna, lecz nie potrzebuje sensu, gdyż sama go tworzy, nie wymaga ładu, gdyż jest nim sama. I to, co na ziemi wydaje nam się przygnębiające i bezsensowne, tu w nowej perspektywie, choć opartej na przeczeniach (!), jest harmonijne i uporządkowane, rządzi nim bowiem zupełnie inna logika istnienia. Przecież brak logiki w porządkowaniu świata jest typową cechą myśli żydowskiej. Ambiwalencja i tautologia: „miraż i kamień.”, „nigdy i zawsze.” A jedno nie wyklucza drugiego. „Ja tu nie jestem”, písze podmiot liryczny, ale zaraz później dodaje – „ja ani nie-ja”.

Podobną problematykę podejmuje Wat w „**Wierszach somatycznych**” cz. I–III. Tekst oparty jest na ezoterycznym dialogu Głosów, który przy powierzchownej lekturze wydaje się nader alogiczną paplaniną. Lecz przyjmując założenie o „watoskim kodowaniu”, układ strukturalny tekstu może budzić skojarzenia z polifoniczną konstrukcją Talmudu.

Głos drugi, w części pierwszej, mówiąc o kosmosie stwierdza, że wypełniony jest nicością. Pełen nicości jest zarówno makrokosmos: „Tymczasem/ nicość jest z nami nicość za nami nicość wokół (...)”, jak i mikrokosmos: „(...) i w nas/ wielość nico-

² Problem mówienia w ten sposób o Bogu podejmuje Abraham Joshua Heschel písząc: „(...) tajemnicę Boga lepiej wyraża się *via negationis*, w kategoriach teologii negatywnej, która twierdzi, że nigdy nie możemy powiedzieć, czym On jest – możemy tylko powiedzieć czym On nie jest.” Por. A.J. Heschel, *Szabat i jego znaczenie dla współczesnego człowieka*, przełożył Henryk Halkowski, Gdańsk 1994.

³ Gershom Scholem, *O głównych pojęciach judaizmu*, przekład Juliusz Zychowicz, Kraków 1989, s. 70.

ści.” Istnienie człowieka staje się tylko i jedynie przerwą pomiędzy nicościami, a więc po raz kolejny w poezji Aleksandra Wata pojawia się tak charakterystyczne dla tradycji kabały żydowskiej panteistyczne określenie Boga (=kosmosu) jako nicości. „A to co nazywamy ruchem dzianiem się życiem/ to przerwy między nicościami, wieloma nicościami./ pewno tożsamymi.”

Według kabalistów cały kosmos wywodzi się od pierwszej Sefiry – „najwyższej Korony”, w której ukryta jest cała boska rzeczywistość / pra-nicość (‘ajin gamar’), pra-Wola/ czyli Nicość. Zresztą hebrajskiego słowa-litera „Ajin” [אין], co tłumaczyć możemy jako „Nicość” – „Pustka”, kabałiści używają w odniesieniu do samego Absolutu. Boska mądrość – prapunkt wszystkich rzeczy, chociaż nie „jest”, ale stanowi źródło wszelkiego bytu. Uzewnętrznia się to już w samej strukturze zwrotu „Ehje” – Ja jestem (tradycyjne określenie Boga), w którym to użyta jest litera „Jod” [י], oznaczająca „nic”, niedostępne wszelkiemu pojęciu⁴.

Wiersz rozpoczyna się od przytoczenia pewnej sytuacji: podmiot liryczny, wypowiadający się zresztą w imieniu jakiejś zbiorowości (narodu? ludzkości?), dokonuje obserwacji na kilku płaszczyznach – egzystencjalnej: „Między serca rozkurczem a skurczem jest/ taka chwila gdy jesteśmy śmierci./ Za krótka ona byśmy ją postrzegli.”; filozoficznej: „Spazmatyczne jest nasze postrzeganie poznanie./ A nam się zdaje, żeśmy rzeką. Rzeką/ żywą rzeką. Rzeką/ płynącą szybciej wolniej ale ciągle/ i w kierunku.”; anatomicznej: „kładziemy rękę na sercu”; oraz quasi mistycznej, gdyż całość zdarzenia oparta jest na refleksji dokonanej podczas procesu czytania, który dla Żyda jest otwarciem się na transcendencję. Nicość pojawia się w momencie, gdy podmiot liryczny gasi światło: „I pograżamy się w nicość.” Podmiot liryczny zagłębia się w ten sposób w kontemplację.

Nicość nie wywołuje w podmiocie lirycznym lęku, a wręcz przeciwnie: „Jak piękna może być nicość Orfeusza/ Ile dobroci ile czułości ile słodczy w nicości Orfeusza”. Co więcej, zdaje się, że mamy tu do czynienia raczej z jakimś mistycznym, bardzo intymnym dialogiem kochanki i kochanka. Czyżby to żydowska skłonność do wypowiadania się człowieka w rodzaju żeńskim w obliczu świętości? (por. Biblia – Pnp).

Druga część wiersza pokazuje nam obraz człowieka dążącego ku doskonałości, ależ jaka ta doskonałość inna od jej stereotypowej wizji: „Obciosać się. Uschnąć. Wyżyć się/ z wszystkiego co szpikiem, krwią, wydzieliną.” Obraz odnosi się jakby do zewnętrznego pozbawienia siebie cielesności (etap pierwszy). Później przychodzi kolej na wewnątrz: serce, mózg (etap drugi). Obraz ten budzi skojarzenia z Kabałą Luriańską (wizja kurczącej się doskonałości – Mesjasza)⁵.

Jedynie co ma pozostać jako atrybut doskonałości to woreczek z „drogocenną żółcią”, a więc symbolem cierpienia, co więcej woreczek ten jest „zawieszony”,

⁴ Ibidem, s.74.

⁵ O kabałe luriańskiej i doktrynie tikkun pisze szerzej Władysław Panas w eseju „Mesjasz rośnie pomatu...” O pewnym wątku kabalistycznym w prozie Brunona Schulza.” (w) *Bruno Schulz. In memoriam*, pod red. Małgorzaty Kitowskiej-Łysiak, Lublin 1992.

jak dzwon (...)" (Krzyż?) Wizję mesjańską dopełnia w części trzeciej obraz zmartwychwstania. Pojawiają się atrybuty mesjańskie z księgi Izajasza: „latość”, „źródło życia” oraz apokaliptyczne: „Zejścia zejścia/ w plutonie koloru krwi i popiołu.” Ciekawy jest, wyznaczony przez podmiot liryczny, kierunek podążania doskonałości. Odbyna się on nie ku górze (jak to jest w pojęciu tradycyjnym), ale ku dołowi (egzegeza judeo-chrześcijańska)(!) Część trzecia, co jest najbardziej zadziwiające, może budzić skojarzenia erotyczne, co nie osłabia wyżej postawionej tezy o religijności utworu, a raczej przywołuje żydowskie pojęcie sacrum, bliskie najbardziej intymnym sferom osobowości. Jest to (być może) obraz inicjacji seksualnej: „Tam gdzie czułość i okrucieństwo w jeden się uścisk / [splata/ (...)] O ekstaza ekstaz o skór komunii o bolesna słodycz/ penetracji w inne.” Bliskość Boga i człowieka ucieleśniona w komunii mężczyzny i kobiety. Obcowanie odbywające się na granicy życia i śmierci: „Śmierć za życia! Życie za przedprożem/ śmierci!”

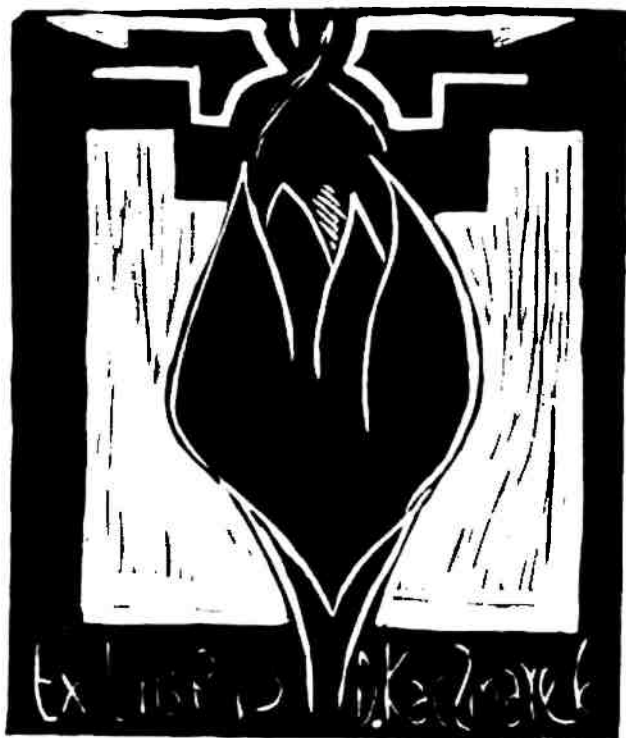
Bardzo interesująco prezentuje się sytuacja liryczna w tekście *** (**Czemu mnie z trumny wyciągasz...**). Podmiot liryczny przywołuje wypowiedź kogoś, z kim znajduje się w bardzo intymnej relacji. Osoba ta zwraca się do podmiotu słowami: „kochany... kochany...” Terminologia oraz sposób mówienia: „szepczesz”, przypomina do złudzenia stylistykę wspomnianej już powyżej Pieśni nad Pieśniami, w której to Bog-namiętny kochanek często rozmawia z Oblubienicą w ten właśnie sposób. Osoba kochanaka znajduje się poza czasem, przestrzenią, ponad ludźmi. Usytuowany jest poza rzeczywistością, poza światem. Tego typu kreacja może wywoływać u odbiorcy skojarzenia z „nicością”, która zresztą zwerbalizowana jest w finale wiersza: „... wołam już tylko nicości!”.

Czy i tym razem mamy do czynienia z kabalistyczną kreacją Absolutu w poezji Aleksandra Wata? Czy jest On Nicością, która znajduje się poza czasem, przestrzenią, ponad ludźmi? Czy jest On mistycznym kochankiem towarzyszącym człowiekowi od kołyski aż do trumny?

Trumna nabiera w wierszu znaczenia zupełnie odmiennego. Nie jest ona symbolem śmierci, czy tradycyjnie pojętej nicości, lecz wiatowska „trumna-kołyska”, podobnie jak łóżko w prozie Bruno Schulza, funkcjonuje jako „środek lokomocji” umożliwiający podróż w kierunku Transcendencji. Trumna kojarzy się podmiotowi lirycznemu z domem, miejscem dającym człowiekowi poczucie bezpieczeństwa, ale jednocześnie miejscem funkcjonującym w kulturze żydowskiej jako replika nieba. Trumna i dom. Doczesność i wieczność.

W tym miejscu powstaje w poezji Aleksandra Wata wyraźne napięcie. Napięcie, które rodzi się w konfrontacji dwóch obszarów. Krzyż i Nicość. Świat w poezji Aleksandra Wata rozpięty jest pomiędzy „nicością a krzyżem”. Poeta wyznaje: „dzisiaj spod krzyża i z krzyża wołam...”

Chrześcijaństwo i judaizm. Biblia i Kabała. Dwie koncepcje tego samego Boga. Dwa światy obecne w poezji Aleksandra Wata, współistniejące i wzajemnie się dopełniające... „W pałacu Nicości mieszka Wszystko.”



przekłady i wiersze

Thomas Stearns Eliot

Portret kobiety

„Popelnieś – cudzołóstwo: ale to było w innym kraju, poza tym, ona umarła.”

„Żyd maltański”

Wśród dymu i mgły grudniowego popołudnia
odgrywasz scenę – jak chcesz to pokazać –
z tym „spodziewałam się ciebie tego wieczoru”;
i cztery świece woskowe w zamroczonym pokoju,
cztery pierścienie świateł powyżej, gdzie sufit,
grobowca Julii atmosfera
tworzyła wszystkie rzeczy będące wypowiedzianymi bądź niedopowiedzianymi.
Jesteśmy tu, powiedzmy to, posłuchać tego
ostatniego Polaka uzewnętrzniającego Preludia palcami i włosami.
„Tak intymny ten Chopin, że jego duszę czuję
mogłaby zmartwychwstać tylko wśród przyjaciół
dwóch lub trzech, co nie chcą tykać kwiatu
kiedy jest zdarty i wypytywany w czasie koncertu.”
– I tak się rozmowa ślizga głupstewkami
pośród aluzji, żalów wychwytywanych ostrożnie,
w delikatnym tonie skrzypiec
zmieszanych z podzwięciem trąbki
i znów.
„Ty nawet nie wiesz, jak wiele znaczą dla mnie moi przyjaciele,
i jak, jak niezwykle, dziwnie obco jest szukać
w życiu układu tak bardzo, bardzo niedobrych i skończonych
(naprawdę go nie kochałam... wiesz? nie jesteś ślepy!
jakiś ty spostrzegawczy kochanie!)
Znaleźć przyjaciela z takimi cechami
co ma i daje
swoje zalety, rozkwitające w przyjaźni.
To wiele znaczy, że ja tobie mówię o tym,
bez przyjaźni – życie koszmar!”
Pośród szmeru skrzypiec
i melodyjek zwariowanych
trąbek
w mojej głowie szalone bam-bam rozpoczyna grę

niedorzecznie tłukąc swe własne preludium
monotonnie kapryśne,
że to przynajmniej fałszywe al capo del fine.
– Zacerpnijmy powietrza, w tytoniowym transie,
kontemplujmy pomniki,
dyskutujmy o ostatnich zdarzeniach,
korygujmy zegarki według publicznego zegara.
Wreszcie siądźmy po
pół godzinie na
garstkę popiołu z cygara.

Portrait of a Lady

*Thou hast committed –
Fornication: but that was in another country,
And besides, the wench is dead.
“The Jew of Malta”*

I

Among the smoke and fog of a December afternoon
You have the scene arrange itself – as it will seem to do –
With “I have saved this afternoon for you”;
And four rings of light upon the ceiling overhead,
An atmosphere of Juliet’s tomb
Prepared for all the things to be said, or left unsaid.
We have been, let us say, to hear the latest Pole
Transmit the Preludes, through his hair and fingertips.
“So intimate, this Chopin, that I think his soul
Should be resurrected only among friends
Some two or three, who will not touch the bloom
That is rubbed and questioned in the concert room.”
– And so the conversation slips
Among velleities and carefully caught regrets
Through attenuated tones of violins
Mingled with remote cornets
And begins.
“You do not know how much they mean to me, my friends;
And how, how rare and strange it is, to find
In a life composed so much, so much of odds and ends,
(For indeed I do not love it... you knew? you are not blind!
How keen you are!)
To find a friend who has these qualities,
Who has, and gives

Those qualities upon which friendship lives.
How much it means that I say this to you –
Without these friendships – life, what *cauchemar!*”

Among the windings of the violins
And the ariettes
Of cracked cornets
Inside my brain a dull tom-tom begins
Absurdly hammering a prelude of its own,
Capricious monotone
That is at least one definite “false note”.
– Let us take the air, in a tobacco trance,
Admire the monuments,
Discuss the late events,
Correct our watches by the public clocks.
Then sit for half an hour and drink our bocks.

Kuzynka Nancy

Panienka Nancy Ellicot
przebywała góry pieszo,
przebywała góry konno –
jałowe góry Nowej Anglii –
podążała za psami
u boków pastusich

Panienka Nancy Ellicot paliła
i tańczyła wszystkie współczesne tańce;
a jej ciotki nie były z tym zbytobyte,
choć wiedziały, że jest to, było, nowoczesne.

Przy oszklonych półkach czuwają
Matthew i Waldon, strażnicy wiary,
armia niestrudzonych praw.

Tłum: Łukasz Garbał

Cousin Nancy

Miss Nancy Ellicott
Strode across the hills and broke them,
Rode across the hills and broke them –
The barren New England hills
Riding to hounds
Over the cow-pasture

Miss Nancy Ellicott smoked
And danced all the modern dances;
And her aunts were not quite sure how they felt about it,
But they knew that it was modern.

Upon the glazen shelves wath
Matthew and Waldo, guardians of the faith,
The army of unalterable law.

Wiktor Hugo**Kontemplacje**

Jutro, wczesną godziną, gdy wioskę świt bieli,
Wyruszę, kochanie. Wiem, że na mnie czekasz.
Będę szedł przez góry, gmatwaninę kniei,
Czymże wobec pustki ta droga daleka?

Będę szedł wytrwale, z pochyloną skronią,
Oczy me oślepną, nie usłyszę zgiełku,
Samotny, nieznany. I przeżegnam dłonią
dzień i noc jednako. I rozpacz mą wielką.

Nie dla mnie już złote, przedwieczne zorze,
Nie ujrzę Harfleur czy żagli patosu,
A kiedy przybędę, na twym grobie złożę
Bukiet ostrokrzewu i kwiatuszek wrzосу.

Tłum: Marta Kuszewska

Un poème De Victor Hugo

Demain, dès l'aube, à l'heure où blanchit la campagne
Je partirai. Vois-tu, je sais que tu m'attends.
J'irai par la forêt, j'irai par la montagne.
Je ne puis demeurer loin de toi plus longtemps.

Je marcherai, les yeux fixés sur mes pensées,
Sans rien voir au-dehors, sans entendre aucun bruit,
Seul, inconnu, le dos courbé, les mains croisées,
Triste, et le jour pour moi sera comme la nuit.

Je ne regarderai ni l'or du soir qui tombe,
Ni les voiles au loin descendant vers Harfleur,
Et, quand j'arriverai, je mettrai sur ta tombe
Un bouquet de houx vert et de bruyère en fleur.

Marta Jedliczko

Pomyłka

kiedy stworzyłeś ostatni ze światów
zmęczony na chwilę odbiegłeś gdzieś wzrokiem
i w zamyśleniu
przez nieuwagę
powołałeś ją do życia
ma białą skórę

mieszanina ciała miłości i gówna
krzyczy jakby mocna była
uzależniona od tysiąca przypadków
popelniona przez Ciebie pomyłka

* * *

mówił masz oczy pełne snu

co z tego
moje oczy nie są moje

tak właściwie
to cała nie jestem sobą
nie wiem
może jeszcze się nie urodziłam

no bo po co
skoro wszystko jest takie
że koń by się uśmieał

Tapczan

ufam mu
bo kiedy wypływam kamienie spod języka
on
nabiera wody w usta

czasami zastawiam nim drzwi
gdy zardzewiały i chore klucze zawiodą
innym razem przesuwam go w stronę okna
na wypadek
gdybym się kiedyś zdecydowała na ostatni spacer

i tylko jedno mi się nie podoba
to
że życia jak tapczanu
nie mogę ustawić

Nie bój się

nie bój się

nawet wtedy
kiedy cię męczy samotność
gdy się wlecze za tobą kulawa sprawiedliwość
nie bój się

strach jest religią ludzi słabych
godnych śmierci

Słów szukam...

słów szukam
takich
co by były akurat
ale to za mało
żeby napisać wiersz

szukam dalej
niczego nie znajduję
ale to już za dużo
żeby nic nie powiedzieć

* * *

przez chwilę stała na palcach przed lustrem
w sukience spokojnej

a potem już biegła
by z ciemności cię na światło wyprowadzić
i pod oknem już śpiewała
myślała
że miłość

nie wiem
może oddychała zbyt szybko
i może śpiewała za głośno
bo się nagle obudziłeś martwością przepelnioną
a potem trzeba było wstać i umyć zęby

* * *

ciągle czekam
i w czekaniu drugi podłączam telefon
cisza
rozpaczliwym porażona krzykiem

życie dźwigam
pełne samotności
lecz jeszcze mam od kogo odchodzić
w przerażeniu odpychać rękami

i błogosławiona nie jestem
nie jestem szczęśliwa
nie jestem

serce mam zatrute
pragnieniami

Andrzej Włodarczyk**Listy**

Siedzę sam już długą godzinę
Wysyłam białe jaskółki
Wykryte na drodze uczuć
Niosą one w sobie
Wszystkie prawdy i kłamstwa
Spięte we mnie
Jak konie w uzdach
Jak dźwięki w nutach
Piszę, czytam, sklejam
I?
Drę, wyrzucam, czasami wrzucam
Do czerwonego jaskółczego gniazda
Do małego domku rozlotów myśli ludzkich

Marta Kuszewska

Spirala

Jak głupia biegam w kółko
po tarczy zegarka

Nazywają to transcendentem
spryciarze
w tym czasie wzbierają
najdojrzalsze bursztyny

zostanę na lodzie
z pękniętą sprężyną
M. Kuszewska, 28 luty '95r

* * *

nocne miasto
przewieszone przez krawędź fotela
suszy się
jak zegary Salvadora

cesarz kocha się we śnie
z blond hurysą

martwa cesarzowa
zwinęta w nogach łóżka

Wabienie

dobrze
wygrzebałeś się już z tej
marmoladowej krwi
która krzepła ci w ustach
spływała do żołądka

wyskoczyłeś z garnka przodków
wspinałeś się po kręgosłupie matki
po jej wszystkich gałęziach
dotknąłeś owocu
wyjrzałeś figlarnie zza liści

i co?
spróbujesz się urodzić?

Ogłoszenie

W archipelagu głupstw
kotłuję się z wiedzą
gu gu gu
obja się o ścianki mózgu

klasówkę z codzienności
zdaję na piątkę
a nawet lepiej

robaka serce
zalewam herbatą
i staram się nie słyszeć
że na balkonie rodzą się szpaki

Zagubiona w pościeli
z pożyczonym długopisem
zasypiam
w pozycji znienacka
horyzontalnej

w najbliższym życiu
i tak nie znajdę czasu
na miłość

Szukam
spokoju do wynajęcia

Marcin Pawłowski

* * *

Sen, ciemność, nocne koszmary,
Nagle, nade mną niesamowity hałas.
Strach,
Może to koniec,
Chwila, która przekształca się w wieczność.
Nakrywam głowę ciepłą kołdrą,
Boję się.
Moja modlitwa odbija się echem
od ścian zimnego pokoju.
I nic, ciągle to samo.
Boję się, pomóż mi.
Przed oczyma mojej wyobraźni
moja przeszłość.
Szczęśliwe chwile, których było tak mało.
Mija godzina za godziną,
Jak niemy film.
I wszystko się kończy
tak samo nagle, jak się zaczęło.

* * *

Jestem człowiekiem dwulicowym.
Ludzie nic o tym nie wiedzą.
To jest we mnie, usycha i dojrzewa,
Ale nie wybuchnie.
Nie dopuszczę do tego,
Na przeszkodzie stoi brak słów
i obawa, że oni nie rozumieją.
Oni są głupcami,
Ja też nim jestem,
Ale ja o tym wiem, jestem lepszy
i cierpię.
Już się przyzwyczaiłem,
Dobrze mi z tym.
Więc nie próbuj zadawać pytań,
Z czasem zrozumiesz,
A teraz chodźmy, nie bój się.

* * *

w pół czwartej godziny
zasypiam
zapominając o modlitwie
zbyt dużo wspomnień
by mogło się skończyć, urwać
jak czas w jednej chwili
jak wzrok umierającego żebraka

chciałem wymodlić dużo słońca
i uśmiechu
na jakieś dalekie przyszłości
ale wspomnienia gaszą moje chęci
budzą mnie w kierunku śmierci
i sam nie wiem czy nie ma odwrotu

wyciągnąłem jeszcze ręce
by twarz zasłonić od twardych urazów
zasnąłem nie bacząc na ból, ani śmiech

XI.93.

Wojciech Marczewski

Ja anioł

Przełykam ulicami po nocy
zimnej i ciemnej.
Ludzie chodzą tacy zagubieni
w swoim strasznym niepokoju.

Przełykam jako nie-cień-orzeł
stoję jako nie-cień-figura
moje ręce-skrzydła otaczają świat
Teraz-Wczoraj-Jutro.

Kończy się noc, zaczyna dzień
świat budzi się do życia.
Ja stoję tu, oglądam was
jakbym był w muzeum figur woskowych.

Dwie i pół nogi słonia

Na parapecie, w moim pokoju stały dwie
I pół nogi słonia. Aż nagle zniknęły.
Czy ktoś wie co się z nimi mogło stać?



recenzje

Inwokacja

Przedstawienie przygotowane w Teatrze NN.

Premiera: 16.05.1992

Scenariusz i reżyseria: Tomasz Pietrasiewicz

Wykonanie: Witold Dąbrowski

W przedstawieniu wykorzystano:

teksty – F. Kafki, W. Whitmana, T.S. Eliota oraz fragmenty

Księgi Hioba i modlitwę wg. św. Łukasza

muzykę – J.S.Bacha, M.Gomółki, Wacława z Szamotuł

**SPEKTAKL NAGRODZONY II NAGRODĄ
NA XXVII OGÓLNOPOLSKIM FESTIWALU
TEATRÓW JEDNEGO AKTORA – TORUŃ '93**

Joanna Kowalczyk

Jasność

Niewymierną rolę w życiu odgrywa światło. To dzięki niemu możemy widzieć kolorowe kształty, gdy jednak coś zakłóci jego przepływ, to przestajemy dostrzegać świat. Światło słoneczne odbiega od pojęcia jasności duszy. Ona właśnie przyświeca każdej istocie ludzkiej. Nie zawsze człowiek odkrywa w sobie ową moc. Żyje w ciemności. Głęboka mgła osadza mu się na duszy. Myśli biegną zwykłym rytmem, ale jedna nie może dogonić drugiej. Wychodzi chaos. Mgła jest tylko namiastką prawdziwej ciemności. Jest jej małą częścią. Jeśli ona gubi myśli, to ciemność zapobiega ich powstawaniu, nie dopuszcza nawet najmniejszej strugi światła. Dusza powleka się grubą otoką.

Co robi więc zgubiony człowiek z zagubioną duszą? Czy nie szuka sposobu, aby przebić mur? Na swojej drodze znajduje wiele rzeczy i rozpoznaje je po dotyku. Trwa to długi czas. W końcu przychodzi do źródła z wodą. Tam odpoczywa i pije wspaniały dar. Woda daje mu to wspaniałe a zarazem straszne uczucie.

Nagle coś pęka. Człowiek przymyka oczy i widzi srebrną nitkę, która wdziera się do duszy. Rozbija mur z wielką siłą i płynie aż do jej środka. Teraz wszystko jest inne. Może patrzeć. Czy to, co ujrzy, będzie spełnieniem marzeń? A może spotka go zawód?

Człowiek waha się, ale już szala się przeważała. Biegnie do siedzib innych ludzi by dać im światło. Krzyczy tę myśl od progu, ale za drzwiami panuje cisza. Powtarza ją głośniej. Nic się nie zmienia. Po kilku próbach odchodzi. Teraz zastanawia się nad sobą i innymi. Czy oni wolą swój solidny mur od światła?

Nie można mówić tu o jakiegokolwiek wolności. Należy im się czas, aby przekonali się o swoim niewolnictwie. Człowiek spuszcza głowę, ale się nie załamuje. Dokonuje wyboru między życiem w ciemności a samotnością. Wybiera tę drugą, bo jest lepsza. Lecz jak długo może to trwać? Zdobywa przyjaźń drzew, ale nie ludzi. Nie jest szczęśliwy.

Taki jest los odkrywcy. Gdy znalazł to, czego szuka, musi pogodzić się z samotnością.

Człowiek siada do swojej łodzi i płynie tak przez całe życie. Dopływa do wodospadu i tu potyka się o kamienie. Spada w dół. Nie ma już człowieka, zostaje po nim tylko dusza w postaci promienia. Biegnie ona do słońca i znika tam, gdzie jej miejsce. Dlatego gwiazdy są jasne i nigdy nie wygasają.

W całej przestrzeni jest niezliczona ilość dusz. Nie wszystkie świecą. Niektóre mają mur wokół siebie i tego nic nie zmieni. Ich czas się skończył. Miały go na ziemi. Teraz po śmierci nie odkrywają niczego. Ci, co zdążyli zapoznać się ze światłem, nigdy go nie utracą. Choć cierpieli samotność i upadki ze skał, teraz otrzymują nagrodę. Spadająca gwiazda to znak, że jakaś dusza chce podzielić się światłem z inną, ziemską. Słońce jest stworzeniem najdoskonalszym Stwórcy. Ono rozdaje promienie ludziom. Wielką stratą jest nieprzyjęcie jasności ofiarowanej przez Boga.



Ciemność

Czerń. Czerń idealna i doskonała. Znalazłeś się w świątyni, by spojrzeć w twarz przeznaczeniu. Wśród czerni i melodii – bo tylko ślepy i wyciszony, wśród nagich staniesz przed Bogiem.

A Bóg jest światłem

Szczęście jest światłem, prawda jest światłem i życie jest światłem. Wszystko, co kochasz, jest światłem.

Światłość nagle ożyła – kapryśna i zmienna. Przygasa, ucieka, kryje się przed tobą, bawi się w chowanego jak ucieleśniona złośliwość – a jednocześnie wciąż tak majestatyczna, święta, twórczy geniusz świata, bez niej zginiesz.

Woda tańczy na zwierciadle, przepływają różnobarwne światła, zagaduje tkając wiołonczela – jacy wyjdziemy z tego sanktuarium fał?

A wokół ciebie wibrują słowa wielkich królów myśli, kuszą, byś stracił nadzieję. Wszędzie jest śmierć i rozpacz, i wahanie; każdy nowy wers zabiera ci coś, tracisz po kolei skarby swej duszy. Zostaniesz ubogi i samotny, bo inni nie dotrzymują ci kroku.

Tak musi być, żeby...

A biegnąc boisz się, by światło nie zgasło, gdyż poza nim jest tylko „kraina mroków śmiertelnych”. Ty zaś, mimo wszystko, nie chcesz jeszcze umierać. Ktoś zaczął mówić zwykłe słowa – już nigdy nie powiesz: „zawalił się most”, bo pełen będziesz tragedii starych pni.

Biegnij za światłem szybciej, wytrwalej.

Zgasło. To przecież koniec. Kres wędrówki, oto cel, nicość.

Gonitwa światła kończy się w ciemności. Pragnąłeś zrozumieć, nie chciałeś być byle kim i pozostać na małym – będziesz nikim i dostaniesz nic.

A jednak jest nagroda – pojąłeś sens. Sens trwał, dopóki szedłeś. Marzenia znikły, gdy je spełniłeś.

Zrozumiałeś pierwszy i za późno. Krzycz do innych, by oni mieli czas. Krzycz, by wiedzieli, byś nie przegrał za darmo! Krzycz, jak biegałeś, zatrzymaj ich!

Musiło tak być, ponieważ...

Cóż, nie słyszą. To nie jest twoja wina, że cię nie dojrzeli – są za bardzo zajęci.
Zbyt szybko biegną.

Skończyło się. Chodźmy gonić nasze światło.

□

Anna Pietrasiewicz

Chcą nagrywać

Był mroźny, styczniowy wieczór. Jakoś przełamalam się jednak i zignorowałam postulaty ciała o „nieopuszczanie budynku (domu)”, podążyłam za głosem duszy. Pędziłam z radością do klubu Graffiti, gdzie za chwilę miał się rozpocząć koncert. Zapowiadał się bardzo intrygująco: w programie szereg kapel, których nazwy wprowadzie nic nie mówiły, ale intuicja kazała mi kojarzyć je ze znakiem skały (rocka). Dodatkowo kusił fakt, iż koncert odbędzie się pod patronatem Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, a do tej akcji mam jakiś szczególny sentyment.

Pierwszym wrażeniem po wejściu do klubu był kompletny szok – sala wręcz świeciła pustkami. Pod sceną co prawda parę osób podrygiwało w takt muzyki rozgrzewającego się właśnie zespołu. Tradycyjna „przystań” dla rozbitek, czyli ściany, też nie znalazły sobie wielu amatorów. Także przy barze niewiele osób zacumowało. Tych wszystkich ludzi było jednak za mało, aby stłumić to wrażenie pustki. Zaskoczyło mnie to kompletnie i zbiło z tropu, bo nosiłam w sobie wciąż wspomnienie pękającej wręcz w szwach sali w czasie koncertu Voo Voo.

Stałam tak i chłonełam tę dziwną i nową dla mnie atmosferę. Czekałam. W końcu koncert rozpoczął się z tzw. tradycyjnym opóźnieniem (tradycja, tradycja, ale takiej raczej nie powinno się podtrzymywać). Jakoś od razu zrobiło mi się lepiej, gdy zobaczyłam w roli osoby prowadzącej chłopaka znajomego z podstawówki i to o rok ode mnie młodszego. Po jego zapowiedzi na scenie pojawia się Silver Hase – przecierający szlaki tego koncertu. To było niesamowite: wokół liderki grupy i muzyka tak wspaniale przesycona latami 60/70. Ogień z jakim zagrali „Fire” Hendrixa sprawił, że dosłownie płonęłam. I to ognisko właściwie stopniowo wraz z przebiegiem koncertu gasło – żaden zespół nie był tak dobry jak ten. Rozpłonęło tylko na nowo przy Mary Jane. Zaskakująca była dla mnie reakcja publiczności. Z największym aplauzem została przyjęta właśnie Mary Jane. A dlaczego? Po prostu mieli największą ilość „swojej” publiczności. Byli to ich kumple, a oni przyszli, żeby zagrać właśnie dla przyjaciół. No cóż, przy takim rozkładzie sił niektóre grupy naprawdę kiepsko wyszły... Specyficzna była ta publiczność. Średnia wieku 17/18 lat, występujący

również coś koło tego, a główny organizator miał 15 lat. Myślę, że ten czynnik miał duży wpływ na charakter koncertu i jego nastrój. Było tak jakoś bardzo kameralnie, ciepło i przyjacielsko. Być może gra wielu z nich była daleka od profesjonalizmu, ale to nie szkodzi. Nawet może lepiej – bo ich zachowanie i nastawienie pozbawione było pozerstwa, sztuczności i gwiazdorstwa (wyłączając jedynie Dżabu Czanachczy – stare wygi lubelskich scen, grający tak jakby z łaski i traktujący nas z góry). Pewnie marzą o tym, by nagrywać płyty, zdobyć sławę, wnieść coś nowego do rocka. To bardzo dobrze, bo nie tracą przy tym swojej naturalności, świeżości, spontaniczności. To jest niesłychanie piękne, ta radość z jaką grają. Wiem coś o tym bliżej, bo mój brat przeżywa właśnie szaloną miłość do gitary i bębnów. Całe „noce i dnie” spędza przy nich, wciąż wierny i tak samo mocno kochający. Na razie jest to jedną wielką amatorszczyzną, ale to się nie liczy. I jest coś wspaniałego w tym, gdy mój brat przybiega do mnie i gra mi to, co właśnie „skomponował” lub kawałek, do którego właśnie dobrał chwyt. Często nie wytrzymuję, daję się sprowokować i śpiewam. Tak po prostu pod wpływem impulsu, spontanicznie i od początku do końca po amatorsku.

Takich jak on napaleńców, którzy „chcą nagrywać”, jest dużo, dużo więcej. To wszyscy ci, którzy się dali ponieść fali rocka, a niektórzy ponadto próbują zmienić bieg tej rzeki. Zaskakujące jest i niesamowite, że mimo tego, jak dużo jest zespołów na tzw. topie i jak bogata jest już historia rocka, jest tak wielu tych, którzy próbują swych sił. Myślę, że duży wpływ na to ma także sam rock. Muzyka ta wyzwala bardzo silną chęć tworzenia i sama w sobie jest muzą, daje natchnienie. Na koniec, chciałabym tylko wyrazić swoje pobożne życzenie, aby ci wszyscy ludzie nigdy swojej naturalności i spontaniczności nie zatracili oraz żeby nigdy nie splamili grzechem komercyjności swojej muzyki.



Chęłm, kwiecień' 95.

Szanowny Panie,

z „taką pewną nieśmiałością” piszę do Pana o eksperymencie, który był również moim udziałem. Od dwóch lat prowadzę klasę humanistyczną, o profilu dziennikarskim w jednym z chełmskich liceów ogólnokształcących. Program autorski, według którego pracuję, był pierwszym w województwie i bodajże czwartym w kraju.

•Powołanie klasy humanistycznej o profilu dziennikarskim było próbą innowacyjnej realizacji programu nauczania języka polskiego w szkole średniej. Nowatorski projekt zakładał zwrócenie szczególnej uwagi na kształcenie językowe i uczynienie zeń równorzędnej do kształcenia literackiego i kulturalnego płaszczyzny działań dydaktycznych. Dotychczasowy model nauczania języka polskiego, hegemonizujący historię literatury, traktuje problemy gramatyki języka polskiego marginalnie, epizodycznie i ilustracyjnie. Tymczasem, jak dowodzą badania psychologów, kształcenie odpowiednio wcześniej kompetencji komunikacyjnych, w tym także w aspekcie publicystyki, sprzyja zintensyfikowaniu indywidualnych zainteresowań i uzdolnień uczniów, rozwija zdolności pisarskie, ułatwia obserwacje rzeczywistości i kontakty interpersonalne. Istotne znaczenie ma także fakt, że mass media kształtują obecnie poziom świadomości literackiej i językowej społeczeństwa. Nauczanie języka polskiego winno więc przygotowywać młodzież do odbioru różnych form przekazów werbalnych i audiowizualnych, a kompetencje odbiorcze poszerzać o nadawcze. Powstanie programu innowacyjnego poprzedziły dwuletnie prace wdrożeniowe, polegające m.in. na wprowadzeniu jako równoprawnych gatunków publicystycznych do form wypowiedzi lekcyjnych, wydawanego w formie broszurowej najlepszych realizacji gatunku (np. reportaży w klasie trzeciej) czy podsumowań pracy semestralnej w formie efemerycznych wydawnictw publicystycznych (kl. I-III). Celem klasy humanistycznej o profilu dziennikarskim nie jest wykształcenie przyszłych adeptów dziennikarstwa. Autorzy programu zakładali realną kompleksową realizację dotychczasowego programu nauczania gramatyki, w zmienionym, dostosowanym do potrzeb warsztatowych, wymiarze. Implantacja ćwiczeń w mówieniu i pisanu różnych form wypowiedzi jest skorelowana z zajęciami warsztatowymi. Struktura bloku jest kilkuwarstwowa – od podstaw gramatycznych kształcących język ucznia, aż po wyższe formy wypowiedzi. Istotną rolę odgrywa wpojenie umiejętności pracy informacyjno-bibliotecznej, naukowej (technika sporządzania wyciągów, fiszek, notatek). Układ zabiegów dydaktycznych (przygotowania rzeczowego, teoretyczno-literackiego i stylistycznego) wpływać ma na treść, strukturę, kompozycję, język i styl wypracowań uczniowskich. W kształceniu ekspresji językowej wykorzystane są różne formy i metody pracy mające na celu przyswojenie jak najlepszych kompetencji komunika-

cyjnych. Dużą uwagę autor programu przywiązuje do samokształcenia się uczniów i ich aktywnego uczestnictwa w kulturze. W ogólnym kształceniu literackim podkreślane są związki między literaturą polską a powszechną, a także wpływy na język polski (mówiony i pisany). W efekcie podejmowanych działań u abiturientów powinien nastąpić rozwój procesów intelektualnych, pogłębienie działalności poznawczej, zmiana stosunku do siebie i rzeczywistości. Stworzony w lutym 1993 roku program autorski nauczania języka polskiego jest próbą wzbogacenia oferty edukacyjnej w szkole państwowej, szkole prowincjonalnej, mimo iż znajdującej się w mieście wojewódzkim. Napisany został z intencją pomocy, choćby w minimalnym stopniu uczniom w ich przyszłym starcie na studia. Realizacja programu napotyka na różne trudności. Szkoła państwowa nie jest bowiem w pełni przygotowana do współdziałania i zaakceptowania nowatorskich koncepcji nauczania i wychowania. Także uczniowie po ośmiu latach edukacji trafiając do licealnych klas autorskich muszą uczyć się innej koncepcji pracy – swobodnej, krytycznej, ale konstruktywnej. Doświadczeń brakuje także piszącemu te słowa – autorowi koncepcji. O efektach podjętych działań można więc będzie mówić za dwa lata, kiedy zakończy się proces kształtowania uczniów klasy autorskiej.

Chętnie korzystam z możliwości współpracy ze „Scriptores Scholarum” i raz jeszcze dziękuję za umożliwienie mi tego.

Serdecznie pozdrawiam

Anna Popielewicz.

* * *

Drogi Łukaszu!

W ręce moje przypadkowo trafił egzemplarz pisma „Scriptores Scholarum”. Muszę powiedzieć, że zadziwiło mnie ono, łącząc prostotę wypowiedzi z doskonałym warsztatem. Ten numer bardzo mi się podobał.

(...)

Andrzej Majewski

(Stypendysta Krajowego Funduszu na Rzecz Dzieci)

* * *

Bukowno, 29 stycznia 1995 r.

A więc ponownie DZIEN DOBRY!

(...)

Powoli, urywkowo wybieram różne artykuły ze „Scriptores Scholarum”. Jak na razie ogromnie zaciekały mnie wszystkie wiersze (z czego wiersze mademoiselle Marty Jedliczko wydają mi się najbliższe moim) oraz „Antysemityzm zagrożenie dla świata żydowskiego w prozie Henryka Grynberga”. Chciałabym móc porozmawiać z autorem tego artykułu – Sławomirem Żurkiem. Bardzo poważnie porozmawiać.

(...)

Ewelina Piętka

* * *

Młodzieżowa Akademia Filmowa filia w Lublinie
kino „BAJKA”, 20-039, ul. Radziszewskiego 8, tel./fax: 388-72

M.A.F. „BAJKA” 1995/96

Szanowna Redakcjo „SCRIPTORES SCHOLARUM”

W jubileuszowym roku stulecia kina zapraszamy Państwa i Waszych szanownych czytelników do współpracy z naszą Akademią. Kilka słów wyjaśnień na temat naszej działalności. Lublin jest poza Warszawą największą filią MAF-u w całym kraju (ok. 7000 studentów). Cztery lata doświadczeń pomogły nam udoskonalić dobór filmów, tematów oraz sposobu prowadzenia zajęć w piątym roku jej istnienia. Formuła Akademii pozwala na comiesięczny udział w zajęciach dostosowanych do możliwości percepcyjnych uczniów, skorelowanych z programem szkolnym (język polski, historia, elementy filmoznawstwa), a także uwzględniających różnorodność i atrakcyjność form przekazu (np. zajęcia z filmoznawcami, krytykami, ludźmi filmu, psychologami; konkursy z nagrodami). Akademia funkcjonuje na poziomie szkół podstawowych i średnich. Poszczególne cykle zajęć obejmują najistotniejsze problemy z zakresu sztuki filmowej, historii kina polskiego i światowego, literatury i jeszcze szerzej – kultury. Dysponujemy obecnie umowami z największymi dystrybutorami filmów w Polsce i na świecie – właścicielami praw autorskich do wszystkich filmów zaproponowanych w programie. W rocznym cyklu odbywa się 8 filmowych spotkań. W każdym poziomie możliwy jest wybór godziny zajęć (8.30 i 11.30). W związku z tym, informujemy, że już można składać zamówienia na piątą edycję MAF-u. W ubiegłym roku szkolnym często brakowało miejsc na interesujące Państwa godziny, a więc wcześniej warto dokonać rezerwacji. Koszt jednego karnetu wynosi około 160 tys. starych złotych i jest najtańszą propozycją ambitnego kina w Lublinie (pomijając liczne atrakcje poza filmami). Jak co roku liczymy na naszych stałych i wiernych szkolnych współpracowników i młodych. Szczególnie serdecznie zapraszamy do uczestnictwa w zajęciach nowe szkoły.

*Łącząc wyrazy głębokiego szacunku
organizatory MAF-u i dyrekcja kina „BAJKA”*

informacje o autorach

ARKADIUSZ BAGŁAJEWSKI – doktor, pracownik Instytutu Filologii Polskiej UMCS, redaktor Kwartalnika Literackiego Kresy.

MARTA CIEŚLAK – uczennica pierwszej klasy Liceum Ogólnokształcącego im. Ziemi Podlaskiej w Komarówce Podlaskiej.

MICHAŁ DACA – uczeń drugiej klasy Prywatnego Katolickiego Liceum Ogólnokształcącego im. ks. K. Gostyńskiego w Lublinie.

ŁUKASZ DOWNAR-ZAPOLSKI – uczeń czwartej klasy SŁO im. A. Stanisławskiego w Lublinie.

GRZEGORZ FILIP – redaktor naczelny Kwartalnika Literackiego Kresy.

TOMASZ GĄB – uczeń pierwszej klasy Liceum Ekonomicznego w Lublinie.

ŁUKASZ GARBAL – uczeń czwartej klasy PK ŁO im. ks. K. Gostyńskiego; stypendysta Krajowego Funduszu na Rzecz Dzieci; wielokrotny uczestnik olimpiady polonistycznej i filozoficznej.

EWA GREŁA – studentka drugiego roku psychologii KUL.

KATARZYNA GRZYBOWSKA – uczennica czwartej klasy SŁO im. A. Stanisławskiego w Lublinie.

ANTONINA GUTOWSKA – psycholog, doktorantka w Katedrze Psychologii Rodziny KUL.

ALOJZY LESZEK GZELA – Redaktor naczelny „Dziennika”.

AGATA JARZMIK – uczennica drugiej klasy IX Liceum Ogólnokształcącego im. M. Kopernika w Lublinie.

MARTA JEDLICZKO – absolwentka Technikum Chemicznego w Lublinie.

GRZEGORZ JÓZEF CZUK – dziennikarz, sekretarz redakcji Gazety w Lublinie.

DOMINIKA KACZMAREK – uczennica trzeciej klasy Liceum Ogólnokształcącego im. S. Żeromskiego w Nałęczowie.

AGNIESZKA KANTOR – uczennica drugiej klasy SŁO im. A. Stanisławskiego w Lublinie.

AGNIESZKA KŁOSKOWSKA – socjolog, zajmuje się problematyką społeczności lokalnych i socjologią polityki.

MATEUSZ KOKOSZKA – uczeń trzeciej klasy PK ŁO im. ks. K. Gostyńskiego w Lublinie.

URSZULA KORONA – architekt, na stałe współpracuje z dodatkiem budowlanym „Gazety w Lublinie”.

TERESA KOSYRA-CIEŚLAK – nauczycielka języka polskiego w Liceum Ogólnokształcącym im. Ziemi Podlaskiej w Komarówce Podlaskiej.

JOANNA KOWALCZYK – uczennica pierwszej klasy ŁO im. Ziemi Podlaskiej w Komarówce Podlaskiej.

- VIOLETTA KRASNOWSKA** – wieloletni współpracownik tygodnika „Polityka”, członek zarządu lubelskiego oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, członek Naczelnego Sądu Dziennikarskiego.
- IRMINA Ł. KRUSZONA** – uczennica drugiej klasy Prywatnego Liceum Ogólnokształcącego im. I. Paderewskiego w Lublinie.
- KATARZYNA KUS** – uczennica czwartej klasy I Liceum Ogólnokształcącego im. S. Staszica w Lublinie.
- MARTA KUSZEWSKA** – uczennica czwartej klasy LO w Tychach; laureatka kilku konkursów literackich „Świata Młodych”.
- ADRIAN LESIAKOWSKI** – uczeń czwartej klasy PK LO im. ks. K. Gostyńskiego.
- RENATA LIS** – uczennica trzeciej klasy VIII Liceum Ogólnokształcącego im. Z. Nałkowskiej w Lublinie.
- MAGDALENA ŁODYGOWSKA** – uczennica trzeciej klasy LO im. S. Żeromskiego w Nałęczowie.
- MICHAŁ ŁUSZCZUK** – uczeń czwartej klasy III LO im. Unii Lubelskiej w Lublinie.
- JOANNA MALARCZYK** – uczennica czwartej klasy SLO im. A. Stanowskiego w Lublinie.
- WOJCIECH MARCZEWSKI** – uczeń trzeciej klasy PK LO im. ks. K. Gostyńskiego.
- AGNIESZKA MONIKA MAZUR** – uczennica pierwszej klasy VIII LO im. Z. Nałkowskiej w Lublinie.
- PIOTR B. NOWAK** – absolwent teologii KUL, student prawa kanonicznego KUL, członek redakcji teologicznej Katolickiego Radia Lublin
- PIOTR PASTWA** – uczeń drugiej klasy PK LO im. ks. K. Gostyńskiego
- MARCIN PAWŁOWSKI** – uczeń czwartej klasy XVI Liceum Ogólnokształcącego Vetterów w Lublinie; drużynowy 4 LDH „Czarna Czwórka”.
- ANNA PIETRASIEWICZ** – uczennica drugiej klasy SLO im. A. Stanowskiego w Lublinie.
- EWELINA PIĘTKA** – uczennica trzeciej klasy Liceum Ogólnokształcącego w Olkuszu, uczestniczka olimpiad polonistycznych, przedstawicielka delegacji polskiej na międzynarodowej konferencji *Dialog dla przyszłości* – Warszawa IV.95.
- MARCIN ROZWAŁKA** – uczeń piątej klasy Zespołu Szkół Elektronicznych nr 2 w Lublinie.
- JULITA A. RYBCZYŃSKA** – adiunkt w Zakładzie Praw Człowieka na Wydziale Politologii UMCS, zajmuje się prawami mniejszości narodowych i problematyką społeczności lokalnych.
- SYLWESTER STRZAŁKOWSKI** – dziennikarz Radia Lublin.
- IZABELA SZEWC** – uczennica drugiej klasy I LO im. St. Staszica w Lublinie..
- ANDRZEJ SZEWCZYK** – uczeń drugiej klasy PK LO im. ks. K. Gostyńskiego w Lublinie.
- PRZEMYSŁAW WIĘCZKOWSKI** – uczeń trzeciej klasy PK LO im. ks. K. Gostyńskiego w Lublinie.; wielokrotny uczestnik olimpiady polonistycznej i filozoficznej.
- KATARZYNA WILCZYŃSKA** – uczennica czwartej klasy I LO im. St. Staszica w Lublinie..

ANDRZEJ WŁODARCZYK – student drugiego roku Etyki Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie.

JACEK WOJTYSIAK – absolwent filozofii KUL, asystent w Katedrze Teorii Poznania KUL. Prowadzi zajęcia m. in. z dydaktyki i metodyki nauczania filozofii. Na stałe współpracuje z PK LO im. ks. K. Gostyńskiego.

PAWEŁ ZIEMBA – uczeń czwartej klasy PK LO im. ks. K. Gostyńskiego. Wielokrotny uczestnik i laureat olimpiady filozoficznej.

STANISŁAW ŻEBROWSKI – uczeń trzeciej klasy PK LO im. ks. K. Gostyńskiego.

GRZEGORZ ŻUK – absolwent polonistyki UMCS, pracownik Teatru NN.

SŁAWOMIR ŻUREK – absolwent polonistyki KUL, doktorant w Instytucie Filologii Polskiej UJ. Na stałe współpracuje z PK LO im. ks. K. Gostyńskiego.

„GRUPA I ZABAWA. Materiały metodyczne”

Kwartalnik **Polskiego Stowarzyszenia Pedagogów Zabawy KLANZA**

Czasopismo ma charakter metodyczno–teoretyczny. Porusza problematykę animacji społeczno kulturalnej i pracy dydaktyczno–wychowawczej, popularyzuje pedagogikę zabawy jako metodę pracy z grupą. Dostarcza pomysłów i wskazówek, jak inaczej, ciekawiej poprowadzić lekcję, konferencję, jak zorganizować zajęcia z dziećmi, młodzieżą i dorosłymi na godzinach wychowawczych, spotkaniach pozalekcyjnych, wycieczkach, spotkaniach towarzyskich, w placówkach opiekuńczo–wychowawczych, kulturalnych, sanatoriach, domach opieki społecznej itp. Zawiera opisy metod aktywizujących i scenariusze zajęć, imprez, uroczystości. Prezentuje instytucje i interesujących ludzi, przedstawia książki, filmy, kasety, pomoce metodyczne, z których warto korzystać pracując z grupą. Pismo adresowane jest do nauczycieli, wychowawców, pedagogów, psychologów, pracowników kultury, pracowników socjalnych, katechetów, liderów grup, studentów psychologii, socjologii, kierunków pedagogicznych i nauczycielskich oraz innych osób pracujących z grupą.

Czasopismo można kupić, a także uzyskać informacje o warunkach prenumeraty, w biurze **Polskiego Stowarzyszenia Pedagogów Zabawy KLANZA** w Lublinie, ul. Jezuicka 4/9 (III piętro), tel. (0-81) 290-18.

W biurze PSPZ **KLANZA** można również uzyskać informacje o ofercie szkoleniowej i usługowej Stowarzyszenia.

Konkurs – Spotkania Kultur

Teatr NN
oraz redakcja kwartalnika
„Scriptores Scholarum”
ogłaszają konkurs literacko-dziennikarski
dla młodzieży szkolnej
pod hasłem

„Wielokulturowe tradycje Lublina i Regionu Lubelskiego”

Autorzy najciekawszych prac otrzymają nagrody:

- I. 500 zł (5 mln zł)
 - II. 200 zł (2 mln zł)
 - III. 100 zł (1 mln zł)
- oraz cenne książki

Komisja konkursowa zastrzega sobie prawo do innego podziału ww sumy nagród.

Prace (wiersz, opowiadanie, reportaż, esej, recenzja,
omówienie, rozmowa lub in.)

opatrzone godłem należy przesłać
do **31 października 1995 roku** na adres:

Teatr NN
ul. Grodzka 34, 20-112 Lublin 40 skrytka nr 2
z dopiskiem „Konkurs – Spotkania Kultur”.

W osobnej (zaklejonej) kopercie powinny znaleźć się następujące dane:

- 1. Imię i nazwisko autora pracy
- 2. Wiek
- 3. Adres domowy i numer telefonu
- 4. Nazwa i adres szkoły

Najciekawsze recenzje zostaną opublikowane
w 9 numerze kwartalnika „Scriptores Scholarum” – Spotkania Kultur
[jesień] 1995

Konkurs na recenzję

Redakcja „Scriptores Scholarum”
kwartalnika uczniów i nauczycieli szkół lubelskich
oraz ich Przyjaciół
ogłasza konkurs dla młodzieży szkolnej
na recenzję wybranego przedstawienia
z repertuaru Teatru im. Juliusza Osterwy
zaprezentowanego na scenie
w 1995 roku.

Autor najciekawszej pracy otrzyma nagrodę
w wysokości 500 zł (5 mln zł).

Komisja konkursowa zastrzega sobie prawo do innego podziału ww sumy.

Prace opatrzone godłem należy przesłać
do 31 stycznia 1996 roku na adres wydawcy kwartalnika:

Teatr NN
ul. Grodzka 34
20-112 Lublin 40 skrytka nr 2
z dopiskiem „Konkurs na recenzję”.

W osobnej (zaklejonej) kopercie powinny znaleźć się następujące dane:

- 1. Imię i nazwisko autora recenzji**
- 2. Adres domowy i numer telefonu**
- 3. Nazwa i adres szkoły**
- 4. Wiek**

Najciekawsze recenzje zostaną opublikowane
w 10 numerze kwartalnika „Scriptores Scholarum”
[zima] 1996

„Scriptores Scholarum” można kupić:

Księgarnia Uniwersytecka KUL
20-950 Lublin, Al. Racławickie 14 (I p.)

•

Księgarnia „Bibliopola”
20-004 Lublin, ul. Narutowicza 27
tel. 220-32

•

„Księgarnie”
20-109 Lublin, ul. Królewska 11
tel. 260-48
Danuta Uszyńska-Gacka

•

Księgarnia Papier Zabawki „EZOP II”
20-076 Lublin, ul. Krakowskie Przedmieście 62

•

Centrum Wspierania Edukacji
Lublin, ul. Kapucyńska 1 a
(obok DT Centrum „Sezam”)

•

Księgarnia Pedagogiczna „SKRYBA”
20-111 Lublin, ul. Dominikańska 5

•

a także:
w siedzibie Redakcji
20-325 Lublin, Droga Męczenników Majdanka 27
tel. 415-09

•

oraz
w siedzibie Wydawcy – Teatru NN
20-112 Lublin, ul. Grodzka 34
tel./fax 258-67

**Następny numer kwartalnika
Scriptores Scholarum
[lato 1995]**

ZESZYT EKOLOGICZNY

- Akademickie rozmowy o ekologii
- Edukacja ekologiczna
- Autorskie programy klas ekologicznych
- Warsztaty ekologiczne
- Najciekawsze prace uczestników Olimpiady Wiedzy Ekologicznej
- Ekologia a zdrowie człowieka
- Technika a ekologia
- Raport o stanie środowiska naturalnego

Do współpracy już zaprosiliśmy:

- Biuro Ekologiczne
- Kuratorium Oświaty w Lublinie
- Lubelską Fundację Ochrony Środowiska Naturalnego
- Lubelskie Towarzystwo Ornitologiczne
- Polskie Stowarzyszenie Pedagogów Zabawy KLANZA
- Towarzystwo Wolnej Wszechnicy Polskiej
- Zakład Ekologii Człowieka KUL
oraz wiele innych instytucji i osób

Zapraszamy do współpracy wszystkich Czytelników „Scriptores Scholarum” zainteresowanych ekologią. Teksty można składać w siedzibie Redakcji lub Wydawcy w terminie do 15 września 1995 roku.

**W najbliższych Zeszytach kwartalnika
SCRIPTORES SCHOLARUM**

- Spotkania Kultur
- Wybory i decyzje